

CZERWONA  
SERIA

**B**ezgraniczna uległość  
**D**espotyczne żądania  
**S**ublimacja instynktów i...  
**M**iłość przeczuwana podskórnice

# HISTORIA CARRIE

MOLLY WEATHERFIELD

# **Historia Carrie**

Molly Weatherfield

Tytuł oryginału

*Carrie's Story*

**Redakcja**

Katarzyna Bratkowska

**Projekt okładki**

Aleksandra Kozuń

**Zdjęcie na okładce**

Guryanov Andrey/Shutterstock

**Skład**

Dariusz Piskulak

**Korekta**

Maciej Korbasiński

**Copyright © 2012 by Molly Weatherfield.**

Published by arrangement with Cleis Press & Viva Editions. All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2013

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).**

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

**Wydanie I**

**ISBN 978-83-7554-622-4**

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: [wydawnictwo@czarnaowca.pl](mailto:wydawnictwo@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

# Spis treści

Dedykacja

Motto

Przedmowa

Rozdział 1 Jonathan

Rozdział 2 Krazy Kat

Rozdział 3 Profesjonalizm

Rozdział 4 Uprząż i wędzidło

Rozdział 5 Antrakt

Rozdział 6 Długie korytarze

Rozdział 7 Co dalej?

Przypisy

*Tę opowieść o dziewczynie – twórczyni i czytelnicze tekstów, dedykuję innym twórczyniom i czytelniczkom – moim przyjaciółkom, a także – jak zawsze – mojemu mężowi.*

Moja ulubiona autorka neowiktoriańskich powieści erotycznych... Zaprzęgać!

Susie Bright

Nie można rozdzielać namiętności i sposobu jej wyrażania. Namiętność ma źródło w tym porywie duchowym, z którego w innych okolicznościach zrodził się w ogóle język. Od chwili, gdy przekracza granice działań instynktownych, namiętność z samej natury swego rozwoju dąży do opowiadania o sobie, czy dlatego, by się usprawiedliwić, czy też po to, by sławić siebie lub po prostu, aby siebie samą podtrzymać i zabawić.

Denis de Rougemont, *Miłość a świat kultury zachodniej*, przeł. L. Eustachiewicz, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1999, s. 136

# Przedmowa

*Carrie* – sadomasochistyczną odyseję bardzo młodej i rozbudzonej intelektualnie dziewczyny – napisałam na początku lat 90., jej korzenie sięgają jednak przeżycia o kilkanaście lat wcześniejszego. Przyjaciółka spytała, czy wybieram się na marsz Take Back the Night<sup>1</sup>. Te z nas, które pamiętają falę feminizmu z lat 70., pamiętają też zapewne kobiety maszerujące przez dzielnice czerwonych latarni i manifestujące swój sprzeciw wobec pornografii. Coś w tych marszach mi przeszkadzało, ale aż do tamtej chwili nie umiałam tego nazwać.

– Nie – odpowiedziałam przyjaciółce. – Nie wezmę udziału w marszu.

– Dlaczego? – spytała.

Wybąkałam w odpowiedzi kilka całkiem wiarygodnych zastrzeżeń w duchu pierwszej poprawki, ale wiedziałam, że nie było to z mojej strony całkiem szczerze.

– Chodzi o to, kim byłam jako kilkunasto- i dwudziestoparoletnia dziewczyna – powiedziałam w końcu.

– Zanim zostałam feministką, przeczytałam sporo sadomasochistycznej pornografii.

Sporo Sade’a w każdym razie. *Historię O* – nieskończenie wiele razy – a także ileś jej dużo słabszych imitacji. Te książki nie wyrządziły mi żadnej szkody. Czytałam je dzielnie i wiernie, z niepohamowaną radością długo w noc. Moje pochłonięte opowieściami młodsze „ja” nie kłopotowało się oddzielaniem seksu od rozumu, władzy od kreatywności. Choć nie myślałam o tym przez te wszystkie lata, wiedziałam, że nie mogę stać się częścią ruchu zamierzającego „chronić” kobiety przed „kłopotliwymi” przyjemnościami, których sama zaznałam.

Im dłużej myślałam o tej rozmowie, tym bardziej chciałam odnaleźć w sobie tę młodziutką osobę, którą niegdyś byłam. Odzyskać dostęp do jej nieopierzonej seksualności, zrozumieć, skąd brała się jej inteligencja (tym bardziej że – jak pamiętałam – miała się wówczas za bezgranicznie głupią). Z biegiem czasu dowiedziałam się nieco o polityce i teorii literatury, ale moje młodsze „ja” doświadczało pornograficznych lektur i ich uwodzicielskiej mocy w sposób czysty i niezapośredniczony.

Rzecz jasna odzyskanie rozkoszy czytania i pisania nie było czymś, czego podjęłam się ja jedna. Nikt urodzony w czasach powojennego wyżu demograficznego nie robił niczego w izolacji. Wystarczyło rozejrzeć się dookoła – lata 80. to okres, kiedy w ruchu kobiecym trwały szalone *sex wars*<sup>2</sup>. Feministki roztrząsały problem pornografii i cenzury. Co ważniejsze jednak, długo i zawzięcie debatowałyśmy nad relacjami między ekspresją seksualną a działaniem, naturą a kulturą. Czytałam i słuchałam, odbierając bezcenne lekcje od najdzielniejszych (i niekiedy najzjadlejszemu atakowanych) bojowniczek spod znaku feminizmu proseksualnego, zwłaszcza Susie Bright<sup>3</sup>, Gayle Rubin<sup>4</sup> i Amber Holibaugh<sup>5</sup>.

Jeszcze więcej nauczyłam się z feministycznej pornografii, która nagle stała się cudownie dostępna. Próbowwała demokratyzować grę starymi konwencjami uległości i dominacji i absolutnie nie godziła się, by łączono ją z jakąkolwiek formą wiktylizacji. Poza Anne Rice, która stanowi tu istotny wyjątek, grono twórców feministycznej pornografii składało się głównie z lesbijek, gejów i osób biseksualnych. Pisali oni teksty z energią charakterystyczną dla ruchu, który odkrywa właśnie sposób wyrażenia swojego głosu w przestrzeni publicznej. Jestem heteroseksualną zamężną kobietą, a mimo to bardzo ceniłam sobie pierwszą serię *Samois*<sup>6</sup>, a wręcz pochłaniałam teksty Pata Kalifornii<sup>7</sup>, Carol Queen<sup>8</sup> i Johna Prestona<sup>9</sup>.

W pewnym sensie przypominało to powrót do ciężkiego francuskiego heteroporno, które czytałam lata wcześniej. Z drugiej jednak strony teksty z końca XX wieku nosiły niezatarte piętno swoich czasów. Pewne siebie, pełne optymizmu i mądrości będącej rezultatem wzrostu samoświadomości i nowego, oddolnego „seksperctwa”, wyrażały wiarę w relacje oparte na obopólnej zgodzie, w spełnienie i szczęśliwe zakończenia.

Zupełnie tak jak ja. Tylko że na innym, prywatnym kanale wciąż słuchałam starych opowieści. Mój mąż ochrzcił je mianem *chateau*-pornosów. I coś w tym było. Zawsze chciwie wyczekiwałam chwili, gdy w końcu zatrzasną się podwójne ciężkie drzwi, a ja zostanę wreszcie sama ze związaną, zakneblowaną bohaterką, własnym przerażeniem i pożądaniem.

Chciałam, by więcej uwagi poświęcono pewnej osobliwości: śmiertelnej powadze dowcipu, jaki skrywa całe to filozoficzne gadulstwo zakneblowanej i związanej O czy Justyny. Może po prostu naczytałam się zbyt wielu francuskich powiastek i – mój Boże, potrzebowałam teraz odrobiny teorii. Jakiż to spisek umysłu i ciała stoi za tworzeniem podobnych historii? Żeby poznać odpowiedź, sama musiałam opowiedzieć jedną z nich.

Jestem bardzo wdzięczna Richardowi Kasakowi – który uznał, że ludzie zechcą moją opowieść

przeczytać – za pierwszą publikację w Masquerade. Ogromnie dziękuję Felice Newman za to, że umożliwiła kolejne wydanie w Cleis. Najgorętsze podziękowania należą się także Darlene Pagano, która przekonała mnie – w chwili, kiedy bardzo tego potrzebowałam – że ludzie mogą wciąż mieć ochotę na czytanie *Historii Carrie*.

*Molly Watherfield*

San Francisco  
maj 2002



# Rozdział 1

## Jonathan

Byłam niewolnicą Jonathana już prawie rok, kiedy oznajmił, że zamierza sprzedać mnie na aukcji. Nie mogłam nic na to odpowiedzieć, bo akurat bardzo starannie wylizywałam mu jaja. Skupiona, by robić to tak, jak lubił, zastanawiałam się, czy już czas wsunąć mu język w odbyt. Czekałam na sygnał, delikatne szarpnięcie za łańcuszek przyczepiony do moich sutków. Uznałam, że idzie mi całkiem nieźle, a w każdym razie nie najgorzej. Jego kutas mocno nabrzmał i Jonathan wepchnął mi go głęboko w gardło. Dochodził gwałtownie, wciąż szarpiąc za łańcuszek. Przełknęłam z trudem. Pozwoliłam sobie na westchnienie i dreszcz. Mocno przytrzymał mi głowę ręką, po czym leciutko tylko rozluźnił uścisk, żebym mogła odsapnąć między jego udami.

Dopiero później, kiedy już przyniosłam herbatę i tost z masłem i klęczałam w milczeniu u jego stóp, a on czytał recenzje książek w „New York Timesie” i „San Francisco Chronicle”, od czasu do czasu głaszcząc mnie po głowie i karmiąc kawałkami tostu, zdecydował się powiedzieć, co miał na myśli.

– Słyszałaś, co powiedziałem, Carrie? – spytał.

– Tak, Jonathanie – odparłam zgodnie z zasadami, których przestrzegaliśmy. Zawsze miałam się do niego zwracać w ten sposób, z szacunkiem. Musiałam też patrzeć mu prosto w oczy. I to właśnie zrobiłam. – Ale nie zrozumiałam, co to znaczy.

– Ubierz się – polecił. – Przejdziemy się i ci powiem.

– Dobrze, Jonathanie.

Zdjął mi z sutków klamerki, do obroży na szyi przyczepił skórzaną smycz, która zwisała między piersiami. Przeciagnał smycz między nogami, okręcił mnie nią w pasie i związał z tyłu. Często mówił, że chciałby mnie wyprowadzać na smyczy zawsze, kiedy razem wychodzimy, ale nie mógłby tego zrobić, nie wywołując przy tym poruszenia na ulicy. Dlatego to musiało wystarczyć. Czułam, jak skóra smyczy wrzyna mi się między wargi sromowe. Włożyłam dzinsy, obszerny golf i botki na wysokich obcasach. Nikt oczywiście nie mógł dostrzec smyczy ani obroży, ale ja byłam świadoma ich dotyku. Jak zawsze. Jonathan ubrał się, kiedy piłam herbatę, pomogłam mu jednak włożyć buty i wyciągnęłam skórzaną kurtkę z szafy.

Podejrzewam, że kiedy tego niedzielnego popołudnia szliśmy wzdłuż Filbert Street, wyglądaliśmy jak para typowych japiszonów. Właściwie to wyglądaliśmy nawet lepiej. A w każdym razie Jonathan, który ma skórę w ciepłym, oliwkowym odcieniu, żywą, niezwykłą, inteligentną twarz i wyjątkowo bystre brązowe oczy. Jest wysoki, ma zgrabne ramiona i smukłą talię. Ja nie wyglądam aż tak wyjątkowo, choć uważam, że prezentuję się całkiem nieźle. I naprawdę myślę, że stanowimy ładną parę. Jego szpakowate włosy i brązowe oczy znakomicie wypadają na tle moich brązowych włosów i szarych oczu. No i oboje mamy prawie identyczne krótkie fryzury. Co do reszty mojej osoby, to jestem nieco wyższa niż przeciętna, drobnokoścista, z wąskimi biodrami. Mam jasną skórę i duże usta. A wokół oczu cienie, nawet gdy porządnie się wyśpię.

Dzień był nieco mglisty, oboje jednak byliśmy rozgrzani od seksu i herbaty, a ja tak czy owak czułam się zbyt zdezorientowana i zaciekawiona, żeby przejmować się chłodem. Jonathan wziął mnie za rękę, ścisnął i zaczął tłumaczyć.

– Zakładam, że nie rozumiesz, czym jest aukcja – stwierdził – ani na czym tak naprawdę polega posiadanie niewolników. Ale powiedz, czy na pokazach ujeżdżania nie zastanawiałaś się, jak wyglądają prawdziwe relacje między ludźmi?

– Tak, Jonathanie – odparłam potulnie. – Miałam nadzieję, że mi powiesz.

Pokazy ujeżdżania należały do tych przedziwnych imprez, na które zabierał mnie Jonathan. One także miały swoje zasady. Odbywały się zazwyczaj w jakimś szalonym wytwornym domu, a raczej posiadłości, zwykle na półwyspie. Teren, który mijaliśmy po drodze, przeważnie otaczał mur. Jonathan oddawał samochód służącemu, który zabierał też mój płaszcz. Pod płaszczem byłam naga, jeśli nie liczyć butów oraz obroży i smyczy. Jonathan brał smycz i prowadził mnie do krzeseł ustawionych w krąg zwykle w jakimś wspianiałym zakątku ogrodu. Przywiązywał smycz do stojącego obok palika i siadał, a ja klękałam przy nim podobnie jak inni niewolnicy.

Przez kilka pierwszych pokazów nie mogłam uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Właściwie wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby Jonathan po prostu przeprowadził casting i wynajął wszystkich tych

atrakcyjnych ludzi. To, co widziałam, wydawało się zbyt nierzeczywiste. Nie potrafiłam uwierzyć czy też przyjąć do wiadomości, że innych mogą łączyć umowy podobne do naszej i że, co więcej, ludzie ci tworzą cały odrębny świat. Czy choćby nawet świątek. Powoli jednak jakoś zaczęłam godzić się z jego istnieniem. Z jego namacalnymi śladami, takimi jak czerwone krechy na udach blondynki z kręconymi włosami. Precyzyjnie rozmieszczone – musiały być dziełem tamtej wysmukłej, wyrafinowanej kobiety w białym jedwabiu, na którą blondynka spoglądała z takim uwielbieniem. Musiałam zaakceptować dowody i zaczynałam się już nawet zastanawiać, czy nie ma tego więcej i na jakich zasadach to wszystko działa.

Jonathan nie miał cierpliwości, żeby zaspokoić moją ciekawość. Istotą pokazu, stwierdził jasno i bez ogródek, były występy. Moim zadaniem było obserwować scenę i uczyć się, a nie pożerać wzrokiem publiczność. Ścisłe rzecz biorąc, dla mnie liczyć się miały tylko te występy, które budziły jego zainteresowanie. Bo tak naprawdę odbywało się wiele różnych pokazów. Były biegi z przeszkodami i wyścigi z udziałem niewolników w butach i uprzężach, przywiązanych niekiedy do kolorystycznie dobranych ekwipaży (czy rzeczywiście istnieli ludzie, którzy mieli więcej niż jednego niewolnika?). Te końskie spektakle niezbyt interesowały Jonathana i zdarzało się nawet, że wychodził z nich wcześniej. Ja zaś szłam za nim pełna najrozmaitszych uczuć i niespójnych obrazów, zastanawiając się na przykład, jak by to było, gdyby ktoś powoził mną, szarpiąc za lejce przymocowane do wędzidła tkwiącego w moich ustach.

Tym, co naprawdę interesowało Jonathana, były występy nazywane prezentacjami. Zwykle odbywały się na samym początku pokazu, zaraz po zapowiedzi, którą wygłaszał zawsze jakiś bardzo zadbany i wyraźnie bogaty mężczyzna lub kobieta. Ostatnim razem gości witała dama w koktajlowej sukni dobranej odpowiednio na przyjęcie w ogrodzie. Aksamitnym głosem przedstawiła biorących udział w pokazie, mimo że wszystkie informacje były wydrukowane na przepięknie zdobionej karcie, którą właścicielom niewolników wręczono przy wejściu.

Jej zapowiedź brzmiała jakoś tak:

– W naszym pierwszym pokazie bierze udział sześć uroczych zawodniczek. Elizabeth należąca do pana Eliasa Johnstone’a, Janet należąca do pana Franka Murphy’ego, Tina będąca certyfikowaną własnością pana Johna Rudnera...

I tak dalej. Sześć nagich, bardzo pięknych młodych kobiet przemaszerowało dwukrotnie po okręgu i po kolei uklękło przed kobietą, żeby ucałować jej stopę. Wszystkie miały swoje imiona, imiona swoich właścicieli i jakieś numery, których znaczenia nie rozumiałam, elegancko wypisane na plecach, tuż nad pośladkami. Gospodyni uśmiechnęła się do nich i przedstawiła sędziego. Po reakcji publiczności zorientowałam się, że musiał być wszystkim znany. Może właśnie z tego, co tu robił. Podśledzałam, jak ktoś szeptem powiedział, że cudownie sprawdził się w roli trenera czyichś niewolników, cokolwiek miało to znaczyć. W każdym razie miał wspaniałe ciało i niezbyt ciekawą fryzurę. Nosił dziwaczny strój à la Jack LaLanne. Powitano go gromkimi brawami.

Sam pokaz był bardzo prosty i niezwykle trudny zarazem. Niewolnice musiały po kolei przybierać przepisowe pozycje – nazywano to demonstracją. Były to pozycje seksualne – wyrażające całkowite podporządkowanie i absolutną dostępność. Bez trudu można się domyślić jakie: oralna, pochwowa, analna i ich rozmaite wariacje. Chodziło o to, żeby przybrać pozę, w której można cię najwygodniej wypieprzyć, i jednocześnie wyglądać przy tym pociągająco. Wiele zależało od kontroli mięśni. Nawet jeśli nie było się sędzią testującym niewolnice, można było zauważyć, że istnieją poprawne i błędne wykonania.

Szczególnie dobrze zapamiętałam Elizabeth, bo uznałam, że jest naprawdę dobra. Nosiła na szyi wysoką obrozę, która wyglądała na srebro, choć pewnie była ze stalowej plecionki, jak elastyczne bransoletki od zegarka. Elizabeth miała ciemne włosy, zwinięte w kok na czubku głowy niczym baletnica, i duże, szczerze jasnoniebieskie oczy w czarnej oprawie. Jedyłą jej ozdobą stanowiła para błyszczących, pewnie także stalowych klamerek na sutkach i biała orchidea przypięta z boku głowy. Piersi miała ogromne i kształtne, ramiona zaś i talię wąskie i delikatne.

Trener dzierżył niewielki pejcz, który służył mu przede wszystkim do wskazywania niewolników i podkreślania gestykulacji. Wycelował nim w dziewczynę i spokojnym tonem zakomenderował:

– Elizabeth. Usta.

Powoli i z niezwykłą gracją uklękła przed nim, tak że jej usta znalazły się dokładnie tam, gdzie mogła przyjąć jego kutasa. Trener był w spodniach, więc nie mam pojęcia, jak udało jej się ocenić kąt jego erekcji, ale zatrzymała otwarte usta piętnaście centymetrów od jego krocza, wyginając ciało od krzyża aż po szyję w idealny łuk. I kiedy rozpiął rozporek, oto jej wargi były już dokładnie tam, gdzie powinny, choć niewprawne oko nie mogło dostrzec żadnego ruchu; wzięła w usta jego kutasa i zaczęła ssać. Widać było, że jej gardło stoi otworem, że jest rozluźniona i lekko oddycha przez nos. Oczy miała szeroko

otwarte, spojrzenie pogodne. Rozległy się pojedyncze oklaski.

Rzecz jasna trener nie trzymał kutasa w jej ustach zbyt długo. Wyciągnął swoją olbrzymią, naprężoną pałę i rozkazał:

– Elizabeth. Cipa.

To wydało mi się wyjątkowo trudne, bo Elizabeth miała do dyspozycji tylko miękką trawę. Ona jednak wcale się nie położyła. Przeciwnie, stanęła na palcach i powoli zaczęła się opuszczać na kutasa trenera, dopóki nie objęła go do końca, po czym zarzuciła mężczyźnie rękę na ramię – trochę jak akrobatka spuszczaająca się po linie.

– Elizabeth. Dupa – zakomenderował znowu mężczyzna, a ona zsunęła się z niego i uklękła, podpierając się rękami.

Jakimś cudem było widać, że jej tyłek był zachwycająco otwarty, a jednak wciąż gorący, ciasny i młody. Twarz miała potulną, piękną, obojętną, a mimo to w jakiś sposób lubieżną. Trener wszedł w nią szybko, wyszedł i pogładził po głowie. Wtedy dopiero dało się słyszeć więcej oklasków. Elizabeth odwróciła się, ucałowała jego stopę, a potem ziemię przed publicznością.

To wzbudziło już całkiem spory aplauz. Dziewczyna wstała i wróciła do kręgu. Byłam pod wrażeniem, ale swoimi odczuciami postanowiłam zająć się później.

Tak się jednak złożyło, że to nie Elizabeth zdobyła pierwszą nagrodę. Zajęła dopiero drugie miejsce. Pierwsze przypadło Tinie, certyfikowanej własności Johna Rudnera. Nie byłam pewna, dlaczego tak pomyślałam, ale uznałam, że muszę się jeszcze wiele nauczyć. W każdym razie na Jonathanie Elizabeth również zrobiła wrażenie – w czasie przerwy na szampana podszedł porozmawiać z jej właścicielem. Widziałam, jak zawstydzona Elizabeth pocałowała go w stopę, on zaś uściśnął dłoń jej pana i pogładził dziewczynę po piersi. W nagrodę za zajęcie drugiego miejsca nosiła przyczepioną do obroży czerwoną wstążkę. Ja oczywiście wciąż klęczałam razem z innymi przywiązanymi do palików niewolnikami. Obok mnie klęczał absolutnie fantastyczny chłopak. Wszystko w nim było cudowne: barki, opalenizna, kości policzkowe, opadające na ramiona włosy. Szepnął do mnie:

– Twój pan wygląda bajecznie. Jesteś certyfikowaną własnością?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zresztą i tak bym nie zdążyła, bo jeden ze służących, którzy rozstawiali poidła, żebyśmy mogli chłęptać wodę, podszedł i wymierzył chłopakowi tęgi policzek za to, że ten odezwał się bez pozwolenia. Po chwili zjawił się następny z opakowaniem kremu przeciwsłonecznego i zaczął mnie obficie nim smarować. Tarł mocno, boleśnie mnie przy tym poszturchując i podszczypując, tak by nikt nie zauważył.

W każdym razie, jak tłumaczył mi teraz Jonathan, „certyfikowana własność” – którą Tina była, a Elizabeth nie – oznaczała, że Tina została przez swojego pana kupiona. Prawdopodobnie na aukcji. Nie bardzo wiedziałam, o czym mówi, ale uznałam, że dobre i to na początek.

– W takim razie, Jonathanie, ja jestem tylko zwykłą własnością? – spytałam.

– Nie – odparł. – Nawet nie to. Nasza umowa ma charakter nieformalny. Ale chciałbym ją sformalizować, żeby móc cię sprzedać.

– A dużo na tym zarobisz?

To pytanie tak dziwnie zabrzmiało w moich ustach, że zapomniałam dodać: „Jonathanie”.

– Po powrocie do domu dostaniesz dziesięć batów – odparł, po czym spokojnie ciągnął dalej: – Nie, to tak nie działa. Nie w naszym stuleciu. Jeśli formalnie oddasz mi się na własność, sporządzimy dokument, na mocy którego stanę się twoim właścicielem i będę mógł cię odsprzedać. Ale zapłata, jaką dostanę, będzie czysto umowna. W rzeczywistości pieniądze trafią do ciebie – zostaną ulokowane w funduszu powierniczym, na którym do końca twojej służby będą rosły odsetki. Okres służby wynosi zwykle rok albo dwa lata.

Milczałam. Po części dlatego, że myślałam o czekającym mnie biciu. Ale też miałam co przetrawiać.

– Ile, Jonathanie? – spytałam.

– Tina kosztowała swojego pana 250 tysięcy dolarów za dwa lata służby – odparł. – Wracajmy.

Gdy znaleźliśmy się z powrotem w domu, pomogłam Jonathanowi zdjąć i odwiesić skórzaną kurtkę. Usiadł w fotelu, a ja podeszłam i stanęłam przed nim drżąca. Miałam nadzieję, że zapomni o tych dziesięciu batkach. Ale wiedziałam, że to niemożliwe.

– Wiesz, co masz robić – powiedział cicho. – Nie guzdraj się.

– Tak, Jonathanie – odparłam.

Opadłam na kolana, ściągnęłam sweter, buty i dzinsy i złożyłam je najszybciej, jak potrafiłam. Podpełzałam szybko do szafy, odłożyłam ubranie i na czworakach pomaszerowałam do szafki, z której wyjęłam ratanową trzcinkę. Trzcinka przyprawiła mnie o jeszcze większe drżenie. Jonathan wziął ją ode mnie, odpiął smycz i sprawnie rozwiązał supeł przy talii.

– Na stół – rozkazał.

Nieopodal fotela, na którym siedział, stał niewielki stolik. Położyłam się na nim, splatając ręce na krzyżu. Jonathan podniósł się z siedzenia, lewą dłonią mocno złapał mnie za nadgarstki i podciągnął do góry. Dobrze, nie będę musiała się martwić, jak schować ręce przed trzcinką. Poza tym, trzymając mnie w ten sposób, Jonathan pomagał mi zachować równowagę. Ja miałam tylko znosić ból i liczyć razy. I wtedy się zaczęło. Boże, ale bolało. Trzymałam się jakoś i pojękiwałam tylko z cicha aż do czwartego uderzenia. Wtedy z łkaniem i szlochem poddałam się bólowi, odliczając kolejne razy. Przed dziesiątym uderzeniem Jonathan wepchnął mi stopę między nogi i rozwarł je nieco, tak że ostatnim razem trzcinka trafiła dokładnie w miejsce, gdzie zaczynały się wargi sromowe. Zdaje się, że krzyknęłam, zanim przypomniałam sobie, że mam powiedzieć „dziesięć”.

Jonathan puścił moje nadgarstki, a ja znów osunęłam się na kolana. Wepchnął mi trzcinkę do ust. Na czworakach odniosłam ją na miejsce. Kiedy wróciłam, uklękłam przed nim, podziękowałam i obiecałam, że na przyszłość będę lepiej przestrzegała zasad. Ujął moją twarz w dłonie i powoli pocałował mnie w usta i w zimne, mokre od łez policzki. Potem pochylił głowę i pocałował moje piersi, podczas gdy mną wstrząsały jeszcze ostatnie spazmy szlochów.

– Na czworaka i do kuchni – wyszeptał. – Zobaczymy się później.

W kuchni pani Branden dała mi obiad w misce na podłodze, a kiedy skończyłam jeść, zaprowadziła na górę, do sypialni Jonathana. Czekałam na niego w psiej pozycji na łóżku z obrozą przyczepioną u wezłowia. Doszłam do wniosku, że pewnie wyszedł gdzieś na kolację albo na piwo z przyjaciółmi. Wiedziałam, że będę musiała czekać tak co najmniej godzinę, ale cóż, to należało do moich obowiązków. Zadziwiająco, że zwykle pozostawałam w tej pozycji, nawet jeśli nikt nie patrzył. Gdy Jonathan wszedł do sypialni, pstryknął palcami. Opuściłam twarz na poduszkę i splotłam ręce na karku. Wyginając plecy w łuk, otworzyłam się rozluźniona i gotowa.

Pogładził mnie po głowie, sięgnął pod ramiona i zaczął pieścić piersi.

– Dobra Carrie – powiedział, a ja wymamrotałam podziękowanie.

Byłam naprawdę szczęśliwa, moja hańba dobiegła końca. Pośladki piekły mnie jak diabli – sprawiały wrażenie opuchniętych i nabrzmiałych – zabawne jednak, że wcale nie było to takie przykre. Czułam się – hm, jak to ująć? Czułam się *tam* otwarta i dostępna. Nie miałam cienia wątpliwości, gdzie owo *tam* jest. Wiedziałam znakomicie.

Zaskomlałam, gdy Jonathan w zamyśleniu dotknął palcami moich pośladków. Przejechał językiem po śladach razów. Zaczęłam jęczeć. Wstał. Słyszałam, jak krząta się w łazience: robi siku, myje się, czyści zęby. A potem wrócił do sypialni, żeby się rozebrać. Powoli i starannie odkładał ubranie, pogwizdując temat z kwintetu *Pstrąg*. Lubił oczekiwanie na przyjemność; sama jestem raczej nerwowa i niecierpliwa, ale nauczyłam się doceniać, ile to niespieszne, dostojne tempo mu daje. Drżałam na łóżku z twarzą ukrytą w poduszce, starając się powstrzymać westchnienia i jęki, więc nie widziałam Jonathana. Słyszałam za to drobiazgi – szcęknięcie zawiasów przy drzwiach szafy, odgłos rozpinanego suwaka, szelest ubrania, cichy, przypominający westchnienie dźwięk, który wydała butelecarka Charlie's Sunshine. Wszystko to na tle smutnej, słodkiej melodii, którą tak radośnie pogwizdywał.

W końcu nagi, pachnący pastą do zębów i owsianym mydłem wdrapał się za mną na łóżko. Odgwiszał porywający finał Schuberta – zarówno smyczki, jak i fortepian – po czym jednym pchnięciem wbił się we mnie od tyłu. Mówiłam, że jestem gotowa? Chyba jednak trochę przesadziłam. Choć właściwie zawsze mnie to szokuje. Ta inwazja. Podporządkowanie mu – tak to odbieram – wszystkiego. Zwłaszcza mojej woli. Ale potem zaczynają do mnie docierać znajome drobne wrażenia, czyste małe rozkosze, słodycz jego brzucha, cudowne czarne włoski, gra mięśni miednicy idealnie pokrywającej mój obolały tyłek. Nie spieszył się, pieprzył mnie w dupę powoli i z lubością. Unoszona, miotana falami doznań, próbowałam uchwycić się czegoś poza przyjemnością i agonią, całując i skubiąc zębami dłoń, którą oparł obok mojej twarzy.

Gdy było już po wszystkim, sennie odpiął mi obrozę i uwolnił ręce, a ja pochyliłam głowę i podziękowałam mu. Odesłał mnie do maleńkiej sypialni na końcu korytarza. Zasypiałam oszołomiona, próbując zrozumieć całą tę historię z własnością, kupowaniem i sprzedażą i zalew uczuć, jaki spowodowała.

Następnego dnia wstałam wcześniej. Spieszyłam się do pracy. Podejrzewałam, że Jonathan wciąż śpi – jest architektem, ma własną firmę i zdarza się, że nie zaczyna dnia przed wpół do dziesiątej. Doceniam takie poranki po nocy spędzonej u niego w domu. Żadne z nas przecież nie chciałoby wpaść na to drugie, kiedy właśnie zbiera się do pracy. Nie żeby nam to przeszkadzało; po prostu nie wiemy, jak się zachować, kiedy mijamy się w korytarzu. Dlatego dobrze, że Jonathan może czasami wstać później, bo ja, odkąd pracuję jako kurier rowerowy w centrum, z całą pewnością nie mogę sobie na to pozwolić.

Jak prawie co rano wciągnęłam czarne rajtuzy, podarte, ucięte pod kolanami workowate spodnie w kolorze khaki, jaskrawopomarańczowe converse'y za kostkę i złachaną skórzaną kurtkę pilotkę na koszulkę z napisem „Dead Elvis”. Byłam obolała i półprzytomna, więc działałam na zwolnionych obrotach. Co oznaczało możliwość spóźnienia. Ale umierałam z głodu. Lodówka Jonathana zwykle była pełna pysznego jedzenia – czasami zastanawiałam się, czy to dlatego, że ktoś myśli o moich potrzebach w związku z ciężką pracą fizyczną, jaką tu wykonywałam, czy też po prostu Jonathan sam lubi dobrze zjeść. Zdarzało się, że robiłam sobie przed wyjściem ogromnego omleta z serem, ale dziś nie było na to czasu. Miałam nadzieję, że znajdę zimną pizzę albo coś w tym rodzaju. Otworzyłam drzwiczki i – bingo! – w środku było pół opakowania wieprzowiny mu shu. Żadnej pity do owinięcia, ale nie można mieć wszystkiego. Pożarłam mu shu prosto z pudełka i wybiegłam z domu.

Zazwyczaj lubię swoją pracę. Lubię robić hałas, lubię być szybka, twarda, niegrzeczna, lubię szum ulicy i lubię pedałowac. Ale nie dziś, nie z obolałą dupą. Głowę wciąż miałam pełną mglistych obrazów aukcji, własności i pieniędzy, aż straciłam czujność i omal nie dałam się zabić jednemu z tych palantów, co to otwierają drzwiczki samochodu, akurat kiedy człowiek mija ich pędem na rowerze.

W sumie wcale nie planowałam kariery kuriera. Kiedy spotkałam Jonathana na imprezie w pewnym fikuśnym domu w Pacific Heights, studiowałam na ostatnim roku na Uniwersytecie Kalifornijskim i myślałam, że będę robić podyplomowe studia z literatury.

To nie była impreza w moim stylu. Organizował ją bogaty prawnik, który, jak się wydawało, znał ludzi z branży filmowej. Trafiłam tam, bo Jane, moja współlokatorka, chciała zostać reżyserką i lubiła pokręcić się w środowisku. Wybrałyśmy się do kina w centrum i spotkałyśmy ludzi, których ledwie znała, a oni zabrali nas ze sobą. To była jedna z tych imprez, które odbierają człowiekowi całą śmiałość, jeśli akurat jest ubrany tak jak ja – w czarne dżinsy i koszulkę na ramiączkach z nadrukiem Mime Troupe. Jak na październik w San Francisco noc była wyjątkowo ciepła. Kobiety miały na sobie cudownie powiewne jedwabie, a mężczyźni sprawiali wrażenie tak odpicowanych, jakby ktoś wyciął ich z „GQ” razem z marynarkami od Armani. Jane chyba nieźle się bawiła w towarzystwie ludzi z branży. Ja wzięłam piwo i onieśmielona snułam się po domu.

W jednym pokoju na ekranie o dużej rozdzielczości pokazywano filmy wideo. Weszłam do środka i usiadłam na podłodze. Uznałam, że w ten sposób poczuję się mniej samotna i nie będę się musiała zastanawiać, co z sobą począć. Załapałam się na ostatnie piętnaście czy dwadzieścia minut rozkosznie zabawnego *Tribulation 99* i po raz pierwszy ucieszyłam się, że tu jestem. A potem ktoś włączył film SM. Był okropny, ewidentnie puszczono go ze względu na walory kampowe. Z gwizdów i rozmów wywnioskowałam, że nakręcił go czy wyreżyserował, czy może zagrał w nim wiele lat temu któryś z gości, będąc akurat w rozpaczliwej sytuacji finansowej. Film opowiadał o dominie i jej mężu. Domina była wielką tlenioną blondyną, rozmemłaną, z ogromnym biustem i ciężkimi kolczykami w sutkach. Natomiast gość – jak się ktoś taki nazywa? dominator? – nosił skórzane spodnie i wprawdzie nie miał koszuli, ale za to miał trądzik. W każdym razie ponieważ życie seksualne niezbyt im się układało i potrzebowali pomocy, zamieszkała z nimi para uroczych lesbijek, którym udało się zdziałać cuda. Całość była straszliwie tandetna i nieudolnie nakręcona, a lesbijki co jakiś czas chichotały. Niemniej wciągnęło mnie to.

Właściwie „wciągnęło” to mało powiedziane. Raczej pochłoneło do tego stopnia, że poczułam, jak ogarnia mnie skrajne zażenowanie. Policzki mnie paliły. Cała spocona, zdałam sobie sprawę, że gapię się w ekran z rozdziawionymi ustami. Prędko przywołałam się do porządku. Miałam nadzieję, że nikt nie zauważył. Zablęskło światło i ruszyłam do wyjścia, gdy nagle jakimś cudem zmaterializował się przede mną Jonathan.

– Naprawdę tacy są, wiesz? – uśmiechnął się czarująco. – Poznałem ich.

– Masz na myśli sir Jacka i lady Anastazję? – Byłam dumna, że potrafię odpowiedzieć z takim spokojem. – Dobrzy są w tym?

– Prawdę mówiąc, tak – odparł. – Niezbyt reprezentacyjni, ale tak, dobrzy.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Nagle dotarło do mnie, że właśnie gawędzę o sadomasochizmie z najwspanialszym Armaniakiem na imprezie. Szczupłym, opalonym, i jeszcze wyglądającym na inteligentnego. Z czarną perełką w uchu. W swobodnym eleganckim garniturze, który nosił z niedbałą lekkością. A te jego cudowne zwierzęce brązowe oczy były zmysłowe, przyjazne i jednocześnie wystarczająco chłodne, by mógł udawać, że wcale nie stara się sprawić, żebym poczuła się swobodnie.

Mój Boże, pomyślałam. Niech mnie. Przed czterdziestką. Bogaty. Hetero, a przynajmniej z grubsza hetero. I piękny. Nigdy dotąd nie określiłam tak mężczyzny, nawet w myślach, ale tak było. Taki był. Czulałam się przy nim niezdarnie. I jakbym była spocona. Nie mogłam wykrztusić ani słowa. Ale nie

potrafiłam oderwać od niego wzroku.

Był na tyle dobrze wychowany, żeby potraktować to jak komplement. I nadal ze mną rozmawiał, miło i inteligentnie, nie drażąc tematu sir Jacka i lady Anastazji. Wyszliśmy na balkon i usiedliśmy na kamiennej balustradzie z widokiem na zatokę. Ani się spostrzegłam, jak zaczęłam mu opowiadać o swoich studiach, literaturze i o tym, co mnie faktycznie interesowało. To znaczy o poezji trubadurów. W ten sposób zaczęliśmy rozmawiać o południu Francji. Facet był bystry, odczytany i sprawiał wrażenie, jakby wiedział wszystko na temat średniowiecznej architektury. Jestem pewna, że zorientował się, jak pociąga mnie erudycja. W każdej dziedzinie, naprawdę. No, może poza statystykami sportowymi. Pomyślałam, że jest niesamowity, byłam oczarowana. Schlebiał mi. Powiedzmy sobie szczerze, jeszcze nikt w takim wieku i z taką klasą nie okazał mi tyle zainteresowania. Może go nawet polubiłam, ale prawdę mówiąc, byłam tak zauroczona – i podniecona, do czego najpierw przyczynił się pornos, a potem on – że trudno mi to było stwierdzić. I w sumie było mi to obojętne. Ale chciałam, żeby zabrał mnie do siebie. Chciałam bardziej niż czegokolwiek innego.

Dopóki w końcu nie położył mi ręki na ramieniu i nie wziął głębokiego wdechu. O matko, pewnie ma AIDS albo coś w tym rodzaju, pomyślałam gorączkowo. Tymczasem...

– Słuchaj – powiedział – jesteś ładna, wyjątkowo bystra i lubię cię, ale to nie dlatego gadam z tobą od godziny. Chodzi mi o coś znacznie poważniejszego. Chcę, żebyś została moją niewolnicą.

O. Mój. Boże. (Gdybym to powiedziała na głos, zabrzmiałoby, jakbym się urwała z *Beverly Hills 90210*). O mój Boże i fuj, obrzydlistwo. Czy w ogóle istnieje jakakolwiek sensowna odpowiedź na taką propozycję? Czy to jakaś najnowsza wariacja na temat filmowej sceny pierwszego spotkania kochanków? Gapiłam się na niego przez chwilę, zastanawiając się, czy przypadkiem źle go nie zrozumiałam. Ale Jonathan ma świetną dykcję, na balkonie było cicho, a ja mam dobry słuch, więc naprawdę nie mogłam się przesłyszeć. Ześlizgnęłam się z balustrady i odwróciłam do wyjścia.

– E, miło się z tobą gadało – wybałam.

Do licha, wydawał się taki fantastyczny. A okazało się, że jest po prostu chory. Trudno, będzie z tego niezła historia. Już sobie wyobrażałam, jak ją opowiadam znajomym.

– Stój – powiedział z tak niezmaconym spokojem, że zanim się zorientowałam, już stałam zwrócona do niego twarzą. – Słuchaj – zaczął cierpliwie – oglądaliśmy razem wybitnie tandetnego i głupiego pornosa, a twoimi dżinsami można by było wytrzeć na mokro podłogę. – Rzeczowym spojrzeniem obrzucił moje biodra i zatrzymał się na nich nieco dłużej, niż trzeba. – Dlatego wcale nie sędzę, żebyś była aż tak zaszokowana i zgorszona, jak ci się wydaje. Przecież myślałaś o takich rzeczach już wcześniej. Założę się, że całkiem sporo. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że ciągnęło cię do pornosów sado-maso, odkąd jako dwunastoletnia opiekunka do dzieci znalazłaś egzemplarz *Historii O*. Ale nie sędzę, żebyś wyszła poza samo czytanie i masturbację. A to wstyd. Bo myślę, że byłabyś w tym dobra. Ja jestem dobry.

Trzydzieści i pół roku. Prawie czterdzieści. Tyle naprawdę miałam lat, kiedy znalazłam egzemplarz *Historii O*. To oczywiście typowy przykład niemal patologicznej uprzejmości Jonathana – jeden z gestów, których się od niego nauczyłam. Komplementy na wyrost nic nas nie kosztują. Pewnie na swój perwersyjny sposób chciał mi sprawić przyjemność, ale jednocześnie wiedział, że się nie myli co do mojej pasji. Pornosy sado-maso to była jedna z moich tajemnic. Nie rozumiałam, dlaczego je lubię, ale czułam, że są dla mnie naprawdę ważne. Jakimś cudem znalazły sobie miejsce w moim sercu tuż obok banalnych romantycznych namiętności: dziecinnego durzenia się w aktorach, gwiazdach rocka czy nauczycielach angielskiego, obok bezmyślnej rozkoszy, która ogarniała mnie zawsze, kiedy czytałam *Dziwne losy Jane Eyre*. A także – Jonathan sprawił, że wydało się to tak żenujące – obok romantycznego uczucia, które zaczęło we mnie kiełkować, kiedy gadałam z nim wcześniej. Zanim nasza rozmowa przybrała ten niepokojący obrót. To wszystko wystraszyło mnie. Poczułam się obrażona.

Ale przecież musiałam coś odpowiedzieć. Wybrałam więc opcję pod tytułem: dość już o mnie, porozmawiajmy o tobie.

– To towarzystwo sir Jacka i lady Anastazji tak na ciebie wpłynęło?

– Obracam się wśród dewiantów z większą klasą. A w każdym razie wśród bogatszych i znacznie atrakcyjniejszych dewiantów niż tych dwoje. Ale tak, w pewnym sensie masz rację. Naprawdę doceniam tę pocieszającą parę. Potrzeba prawdziwej pasji, żeby odgrywać swoje fantazje, kiedy człowiek jest tak zupełnie pozbawiony wdzięku. Umiem dostrzec pasję czy może szczerłość. Dzięki temu wyłowilem cię.

Włożył rękę do kieszeni, wyciągnął kawałek papieru i zapisał swoje nazwisko i adres. Literki były małe, ale – jak można się było spodziewać – wyjątkowo kształtne.

– Jeśli chcesz się zabawić – powiedział – wpadnij jutro o trzeciej.

Po czym wrócił na imprezę.

Narodziny gwiazdy, pomyślałam obłąkańczo. Moimi dzinsami można było wytrzeć na mokro cały taras. A w tej chwili nawet całą willę.

Następnego dnia o trzeciej, drogi czytelniku, nic nikomu nie mówiąc, poszłam do niego do domu. W ramach przygotowań nawet się wydepilowałam. Dom Jonathana był dość nietypowy jak na San Francisco – z brązowego kamienia, odsunięty od ulicy, stał wśród zimozielonej roślinności. Zadzwoiłam do drzwi, a on otworzył mi ubrany w dzinsy i sweter. Był równie przyjacielski i czarujący jak poprzedniego wieczoru. Wyglądał nawet lepiej. Ale zauważyłam, że się nie ogolił. Uznałam, że jesteśmy kwita. Podobał mi się sposób, w jaki zarost wydobywał zmarszczki i cienie wokół jego ust. Pod wypielegnowanym obliczem trzydziestoparolatka kryła się nuta dzikości. Yves Montand w *Cenie strachu*. Ten wygląd kontrastował z jego pogodnym, uprzejmym spokojem.

– Cieszę się, że przyszłaś. Wejdz, proszę.

Zaprowadził mnie do pięknego, pełnego książek gabinetu. W kominku płonął niewielki ogień i Jonathan mnie przed nim ustawił. Bardzo sprawnie – żadne z nas nie wypowiedziało przy tym ani słowa – zdjął mi koszulkę i stanik, pomógł pozbyć się dzinsów i majtek, a potem butów i skarpetek. Wręczył mi parę szpilek i powiedział, żebym je włożyła i przespacerowała się kilka razy tam i z powrotem, żeby się do nich przyzwycząić. Leżały jak ulał, ale nigdy dotąd nie nosiłam nic, co miałyby aż tak wysokie obcasy. Potem założył mi na szyję skórzaną obrozę z klamrą na karku, obręcz na przeguby, ujął za ramiona i zaprowadził z powrotem do kominka. Ze stolika obok wziął pilota, przycisnął guzik i z sufitu nade mną zjechał łańcuch. Jonathan złapał za skórzane obrączki na moich nadgarstkach i przypiął je do łańcucha. A potem bawił się guziczkami, dopóki łańcuch odpowiednio się nie naprężył. Stałam prawie na palcach, nie mogąc oprzeć się nawet na tych niebotycznych obcasach. Z trudem oddychałam. Jonathan zaś rozparł się wygodnie w fotelu i spokojnie, powoli badał mnie wzrokiem.

– Miałem rację – powiedział. – Podoba ci się to. A teraz odpowiesz na moje pytania i za każdym razem będziesz się do mnie zwracała per Jonathanie. I patrz na mnie. Żadnego uciekania do wewnątrz i fantazjowania na temat tego, co się dzieje. Nie odzywasz się nieproszona. Jesteś tu, żeby mi powiedzieć to, co chcę wiedzieć. Pytania będziesz mogła zadawać później.

Jego pytania były chłodne i rzeczowe, choć zadawał je z pedantyczną wręcz uprzejmością. Wiek, wzrost, waga. Rodzina. Rozkład dnia i obowiązki. Choroby, alergie. Doświadczenie seksualne w najdrobniejszych szczegółach. Kilka rzeczy nawet zapisał. Trudno mi było złapać oddech, wydobyć z siebie głos, stale patrzeć na Jonathana i pamiętać, żeby każdą odpowiedź kończyć posłusznym „Jonathanie”. Ogień za plecami grzał, ale i tak musiałam walczyć z drżeniem.

– Odwróć się – powiedział w końcu. – Chcę zobaczyć twoją dupę.

To nie było łatwe, zważywszy na obcasy i napięty łańcuch. Ale – „Tak, Jonathanie” – zrobiłam to. Pochylił się i złapał mnie za krocze – czułam jego kciuk tuż przy odbycie i środkowy palec na cipie. Trzymał tak, jakbym była towarem sprzedawanym na metry, a on zastanawiał się, czy mnie kupić. Drugą ręką obrysował kształt mojej pupy. Poczulałam pod jego palcami krągłość swoich pośladków i dwa dołeczki powyżej – zupełnie jakby malował na mnie obraz. Pomyślałam o wybieraniu grejpfrutów na straganie. Właściwie wszystkie obrazy, które przemykały mi przez głowę, miały coś wspólnego z targiem.

Wciąż trzymając moje krocze jedną ręką, drugą, tą, którą przed chwilą mnie obmacywał, wymierzył mi zniecka porządnego klapsa. Wciągnęłam gwałtownie powietrze. Co takiego robiłam? Otworzyłam oczy i obejrzałam się, żeby sprawdzić, o co mu chodziło. On jednak w ogóle nie zareagował, zacieśnił tylko nieco uchwyt palców. Wpatrywał się w miejsce, które uderzył – zaróżowione, jak podejrzewałam. Miałam wrażenie, że podoba mu się ten widok, i jednocześnie zrozumiałam, że ma to niewiele wspólnego ze mną. A w każdym razie nie z tą mną, z którą dotąd się utożsamiałam. Jonathanowi chodziło wyłącznie o fakturę mojej skóry, kształt i ciężar ciała. Moje skojarzenia z targiem okazały się słuszne. Jonathan sprawdzał towar niczym wytrawny kupiec. I – Boże dopomóż – pragnęłam, żeby zechciał kupić.

Przecież już wtedy, na balkonie, użył słowa „niewolnica”. Tylko że, jak by to powiedzieć, wtedy zupełnie inaczej to rozumiałam. Skojarzyło mi się raczej z „niewolnicą miłości” czy czymś równie głupim. Nie sądziłam, że Jonathan będzie na serio badał, oceniał i kupował. Moja twarz, jak pewnie i cała reszta ciała, spłonęła rumieńcem. Zaczęłam pochlipywać z upokorzenia. Czułam się straszliwie zażenowana tym obnażeniem mojej głupoty i banalności skojarzeń – przeoczyłam sens jasny jak słońce. Ale najbardziej upokarzające było skrepowanie, bezradność, obnażenie i oczywistość sytuacji. I nie tylko to – ze wstydem muszę przyznać, że ewidentnie mnie to podniecało. Szczerze mówiąc, cała w środku zwilgotniałam i oczywiście Jonathan mógł to wyczuć. A ja nawet nie wiedziałam, czy w ogóle go to obchodzi.

W końcu puścił mój tyłek i odwrócił mnie twarzą do siebie. Rozparł się w fotelu, przyglądając się, jak szlocham. Zupełnie jakby i to uznał za ciekawe zjawisko.

Gdy wreszcie trochę się uspokoiłam, spytał cicho:

– Lubisz, jak się na ciebie patrzy?

– Tak, Jonathanie, lubię – powiedziałam, pociągając nosem. Byłam zaskoczona zdecydowaniem, jakie usłyszałam w swoim zapłakanym głosie.

– To dobrze – odparł Jonathan i przycisnął guzik luzujący łańcuch. – Uklęknij – dodał – tylko trzymaj plecy prosto. I uniesiony podbródek. To pozycja, którą lubię. – Uszczypnął mnie mocno w sutki i klepnął po piersiach. – Byłaś kiedyś chłostana albo bita? – spytał.

– Nie, Jonathanie – odparłam.

– To będziesz. Dość mocno, żeby zostały ślady, ale nie na tyle, żeby rozciąć skórę albo cię zranić.

Wyciągnął pasek ze spodni, złożył na pół i uderzył mnie w piersi. A potem obrysował mi nim usta. Zapach skóry był obezwładniający. Odplynęłam – zamknęłam oczy i zaczęłam pojękiwać.

– Cicho – powiedział surowo. – Masz być przytomna i świadoma.

Otworzyłam oczy przestraszona nowym tonem w jego głosie. Spoglądał na mnie przez chwilę, po czym w uprzejmym, w pewnym sensie pedantycznym stylu ciągnął dalej:

– Nauczysz się nie robić podobnych rzeczy. Ja cię tego nauczę. Mam trzcinki i pejcze. Możesz być pewna, że zadam ci tylko odrobinę więcej bólu, niż myślisz, że jesteś w stanie znieść. Będę cię bił za łamanie zasad, wszelkie naruszenie formy i granic afektu, a czasami po prostu dla zabawy. A teraz – powiedział, uwalniając mi ręce – idź na czworakach w drugi koniec pokoju, trzymając tyłek wysoko w górze. Podnieś ustami ratanową trzcinkę z tamtego krzesła i mi ją przynieś. Tylko jej nie zaśliń.

– Tak, Jonathanie – powiedziałam i zrobiłam, co mi kazał.

To była zwykła giętka trzcinka, długa na jakieś trzy czwarte metra, nieco grubsza na jednym końcu, tym, za który chwycił Jonathan, kiedy z nią wróciłam. Kazał mi wstać i wyciągnąć przed siebie ręce.

– To najboleśniejsza rzecz, z jakiej będę korzystał – powiedział – i tylko po to, żeby cię ukarać. Dlatego chcę, żebyś wiedziała, co to za uczucie. Podobnych używają w tych wszystkich znanych z brutalności angielskich szkołach dla chłopców.

Trzcinka naprawdę zaświstała, przecinając powietrze, i naprawdę bolało jak diabli. Natychmiast pojawił się siny, zaogniony obrzęk. Znowu gwałtownie wciągnęłam powietrze, ale tym razem powstrzymałam napływające łzy. Bałam się, że jeśli uderzy mnie jeszcze raz, to rozplacę się na dobre. Ale nie sądziłam, żeby to zrobił. W końcu to była lekcja, a nie kara. Zostałam zapoznana z walutą, którą będziemy się posługiwać. Tak w każdym razie powiedział, a ja poczułam, że mu wierzę. Uznałam, że to dobry znak. Ale choć jego przekaz był precyzyjny, był też momentami celowo niejednoznaczny – Jonathan nie powiedział przecież, ile razy mnie czeka.

– Ubierz się i usiądź tam. Chcesz kawy?

Pokiwałam głową.

– Pani Branden, czy moglibyśmy dostać filiżankę kawy? – powiedział przez interkom. – Dziękuję.

Pani Branden? Pospiesznie ubrałam się i usiadłam na prostym krześle nieopodal. Jonathan wziął pilota i schował łańcuch w suficie. Bogu dzięki. Nie sądzę, żeby udało mi się skoncentrować, widząc jego fragment choćby kątem oka.

– No dobra – uśmiechnął się. – Teraz umowa. Ale najpierw pytaj o wszystko, na co masz ochotę. I zwracaj się do mnie, jak chcesz. Jeśli zawrzemy umowę, nie będziesz miała po temu zbyt wielu okazji.

Do pokoju weszła sympatyczna kobieta koło pięćdziesiątki. Miała na sobie tweedowy sweter i spódnicę, a do tego artystyczną biżuterię. Przyniosła tacę z kawą i ciasteczkami. Pomyślałam, że wygląda jak niezwykle elegancka sekretarka z kancelarii prawnej.

– Witaj, Carrie – uśmiechnęła się.

– Dzień dobry – udało mi się wykrztusić, a ona uśmiechnęła się jeszcze raz i wyszła.

Jonathan nalał kawy.

– Pani Branden jest moją gospodynią. I owszem, doskonale wie, o co chodzi. Ale to w niczym nie przeszkadza.

Odwróciłam się do niego z wściekłością.

– Co to znaczy: nie przeszkadza? Myślałam, że jesteśmy sami.

Zaproponował mi filiżankę czarnej kawy. Pokiwałam głową i wzięłam naczynie. Roześmiał się niefrasobliwie.

– Będziesz się musiała do tego przyzwyczaić. I przywykniesz. To pornotopia, Carrie, miejsce, gdzie ludzie żyją tak przez cały czas. To, co się wydarzyło dzisiaj popołudnia, i wszystko, co nas czeka w przyszłości, tutaj jest czymś normalnym. Normalność to nic innego jak pewne ścisłe i bezwzględne zasady, które zawczasu przyjęli wszyscy zainteresowani. A to znaczy, że nie ma w tym żadnej wielkiej tajemnicy. Istnieją też świadkowie. I stanowią ważny element tego życia, a także jedno ze źródeł



przyjemności. To naprawdę pełny, kompletny świat, a w każdym razie jego wielce przekonująca kopia. Wirtualna rzeczywistość.

Próbowałam nadażyć, ale mój umysł zdawał się otepiał i ospały. Dlatego upiłam łyk kawy i wzięłam głęboki oddech.

– Chwileczkę – powiedziałam. – Chciałabym to wszystko dobrze zrozumieć. Pani Branden pracuje dla ciebie. Wie, co tutaj wyprawiasz, i uważa, że to jest w porządku.

– A ty uważasz, że to w porządku? – spytał.

Nad tym musiałam się zastanowić.

– Nie wiem – wybałałam. – Wiem tylko, że mnie to przeraża. To znaczy, e, to znaczy... To znaczy, nie jestem pewna, czy coś, co sprawia, że czuję się tak... że czuję się tak jak teraz... faktycznie może być w porządku. Wiem za to na pewno, że tego chcę. Może po prostu będę musiała poczekać, żeby się przekonać, czy uważam, że to w porządku.

Sama mnie zdziwiło, kiedy usłyszałam, że tego chcę, ale wiedziałam, że to prawda.

Jonathan pokiwał głową.

– To uczciwe z twojej strony – stwierdził. – I odważne. I mądre. W końcu między innymi dlatego chcę właśnie ciebie. Bo jesteś mądra.

Miałam wrażenie, że tego rodzaju życzliwe, rzeczowe uwagi stanowiły jego specjalność. Strzelał nimi jak pociskami, które miały roznieść w pył te resztki spokoju, jakie mi jeszcze zostały. Nie wiedziałam, co na to odrzec. O czym zresztą w ogóle rozmawialiśmy? A, tak...

– A pani Branden? – spytałam. – Bierze w tym udział? Lubi to?

– Skąd niby miałbym wiedzieć – roześmiał się Jonathan. Miał zaskakująco miły, zwyczajny śmiech. – Nigdy jej o to nie pytałam. Nie mam zielonego pojęcia. Dostaje mnóstwo pieniędzy, jesteśmy wobec siebie bardzo mili i serdeczni. Bez niej byłoby mi dużo trudniej stosować się do tych wszystkich zasad. Słuchaj, Carrie, rozumiem, że obecność pani Branden była dla ciebie szokiem, ale może chciałabyś zapytać jeszcze o coś innego?

– Dobra – odparłam – powiedz mi coś o tych swoich zasadach.

– Będziesz tu przychodziła zawsze zgodnie z umową. Biorąc pod uwagę twoje studia, ile by to było? Dwa wieczory w tygodniu i od soboty po południu do niedzieli w południe? Nie zajmę ci więcej czasu niż chłopak. Może nawet mniej. Będziesz wchodziła bocznymi drzwiami. Pani Branden wpuści cię do kuchni. Rozbierzesz się, założysz obrożę, smycz i wszystko, co ci każe. Pani Branden przyprowadzi cię tutaj. Będziesz czekała przywiązana, w pozycji na baczność, dopóki nie przyjdę. A potem zrobisz absolutnie wszystko, co ci każe. To ta łatwiejsza część programu.

– Nieprawda – odparłam, próbując ukryć skrepowanie i, tak, podniecenie. „Będziesz czekała przywiązana...”

– Masz rację. To wcale nie jest łatwe. Ale myślę, że ci się opłaci. Jestem bardzo odpowiedzialną i metodyczną osobą. W gruncie rzeczy niezły ze mnie sztywniak. Choć ma to swoje dobre strony: jestem konsekwentny, drobiazgowy i godny zaufania. To dobry układ, naprawdę. Robisz wszystko, co każe, a w zamian dostajesz mnóstwo tego, czego pragniesz.

– Skąd wiesz, czego pragnę? – spytałam.

– No cóż, nie trzeba być Einsteinem – odparł. – W końcu tu jesteś, prawda?

Pokiwałam ponuro głową.

– Przepraszam – uśmiechnął się – to był cios poniżej pasa. Ale faktycznie wiem, czego chcesz. Nie muszę znać wszystkich twoich pragnień, żeby wiedzieć, co ci się podoba. Lubisz, kiedy się na ciebie patrzy, nieważne, czy będzie to podziw, czy pogarda, uwielbienie czy kara. Chcesz, żeby *coś z tobą robiono*, chcesz podlegać pragnieniu bardziej samolubnemu i określone niż własne. Marzysz o czystym, obezwładniającym momencie ulgi, poddania się, świadomości, że wszelki opór jest bezużyteczny. To, czego pragniesz, to swobodny lot w przepaść, który wyprzedza wszelkie słowa, nawet takiej mądrali jak ty. Będziesz gotowa znosić nudną powtarzalność detali, absurdalną nadmiarowość tego, co będziemy robić, bo zamierzam ci pokazać, w jaki sposób można każdy z tych momentów chwycić wciąż na nowo. Nadam im formę narracyjną, sprawię, że będą trwałe, i z czasem ujawnię ci wszystkie szczegóły. I zawsze będę o krok przed tobą. O to nie musisz się martwić.

Właśnie w tym momencie zasyczał ogień i jedno z polan zważyło się, przerywając wypowiedź Jonathana teatralną feerią iskier. Siedziałam bez ruchu, z całych sił próbując uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Potarłam bolesny, opuchnięty ślad na ręce, ciesząc się, że mam coś, co przypomina mi o namacalnej rzeczywistości. Popatrzyłam na Jonathana twardym wzrokiem, na co on odpowiedział pogodnym spojrzeniem. Wiedział, że mnie ma.

Zadrżałam, łapiąc się na tym, że kiwam głową na znak zgody. Ale nie miałam zamiaru kończyć swoich

indagacji.

– Założmy, że zechcę to wszystko odwołać.

– Cóż – wzruszył ramionami – znasz mój adres. Dałem ci numer telefonu. Ja nie mam twojego i w porządku. Nie potrzebuję. Więc jeśli chcesz, możesz to zakończyć w dowolnym momencie. W dowolny sposób. Napisz list. Albo zadzwoń, kiedy przyjdzie ci na to ochota, i powiedz, że się więcej nie zjawisz. Możesz zostawić wiadomość na sekretarce. Wysłać mi ją faksem, mailem, jakkolwiek. Albo po prostu nie przyjść. Ale jeśli się pojawisz – ciągnął – lepiej, żebyś była punktualna.

Bardzo już poważny wyciągnął z kieszeni wizytówkę i zaczął szperać na stole w poszukiwaniu koperty.

– To wizytówka mojego lekarza. Umów się z nim na test na HIV i zrób wszystkie badania. Ja zapłacę. Tu masz kopię moich badań na AIDS. Wyniki możesz zweryfikować u niego. Co miesiąc będziesz miała do wglądu wyniki mojego testu na HIV.

– Czyli robisz badania co miesiąc – stwierdziłam. – A przypuścimy, że ja zacznę się pieprzyć z kimś innym?

– Nie zaczniesz.

Oślupiałam.

– Co takiego? Co za bezczelność! Niby dlaczego nie? Owszem, jesteś atrakcyjny, ale to wcale nie znaczy, że nie będę się chciała pieprzyć z innymi.

– Nie w tym rzecz – odparł na to. – Bardzo się cieszę, że uważasz mnie za atrakcyjnego, ale nie o to mi chodzi. Nie będziesz się pieprzyć z nikim innym, a w każdym razie nie w czasie, który będziesz miała dla siebie, bo będziesz zbyt obolała, wyczerpana i przerznęta, żeby chcieć. Uwierz mi.

Uwierzyłam, choć jego okropna przemowa w stylu „kto jest największym macho na podwórku” niezbyt mi się spodobała. Sposób jednak, w jaki wypowiedział te słowa, robił wrażenie – zwyczajnie i powściągliwie, jakby zamawiał burrito: „Tylko odrobinę więcej bólu, niż myślisz, że jesteś w stanie znieść. Z cebulką i pikantnym sosem poproszę”.

Wyciągnął z kieszeni kolejne wizytówki.

– Idź do fryzjera. Obetnij włosy tak jak ja, krótko, może nawet jeszcze krócej. Po męsku. To nie znaczy, że będziesz wyglądała jak mężczyzna. Będiesz... zresztą sama zobaczysz. W każdym razie w tym zakładzie wiedzą, czego chcę. Ach, i jeszcze woskowanie nóg.

– Za to też zapłacisz? Będziesz płacił regularnie? – spytałam.

– Tak. Jestem bogaty, a w każdym razie dość bogaty. I dobrze wiem, czego chcę. Dużo czasu spędzam, obmyślając, jak to zdobyć. Kiedy człowiek jest bogaty, ceną nie gra roli. Chodzi o to, żeby zorganizować wszystko tak, jak się tego chce. Dlatego płacę. Ty natomiast masz tym swoim pięknym tyłkiem na to zarobić – masz być równie idealna jak sceneria wokół. A właśnie, skoro już mowa o scenerii. Jeśli układ zadziała, będziemy mogli wybrać się do Prowansji.

– Nie! – krzyknęłam, zanim zdążyłam się zorientować.

Moja reakcja zaskoczyła nas oboje.

– Chodzi o to – wyjąkałam – że Prowansja to prawdziwe, historyczne miejsce, a nie jakaś pieprzona wirtualna rzeczywistość. Miejsce, na którym mi zależy, które chcę poznać i zrozumieć. I kiedy się tam wybiorę, to jako ja. W okularach i niezgrabnych buciorach. To nie ma nic wspólnego z tym tutaj.

Ironiczne zmarszczki wokół jego ust pogłębiły się.

– No to może do Rio.

– Może – zgodziłam się.

Wszystkie przygotowania – lekarz, fryzjer i cała reszta – zajęły jakieś dwa tygodnie. I w żadnym z tych drogich, wykwinnych miejsc, do których wysłał mnie Jonathan, nikt nie wydawał się zdziwiony, kiedy prosiłam, żeby rachunkiem obciążyć jego konto, choć było to dla mnie wielce upokarzające. Przecież ci układni funkcjonariusze wielkiego miasta muszą wiedzieć, powtarzałam sobie w myślach. W każdym razie fryzjer z całą pewnością doskonale wiedział, czego chciał Jonathan. Nie, wcale nie wyglądałam jak mężczyzna. Kiedy skończył, długą chwilę gapiłam się na siebie w eleganckim chromowanym lustrze. Prawdę mówiąc, w jakiś zimny, hitechowy sposób wyglądałam fantastycznie. Pomyślałam, że Jonathan musi mieć oko, skoro wiedział, że w tej niezwyklej fryzurze będzie mi aż tak dobrze. Ale to było coś więcej. Coś nieuchwytnego, co wydawało się dziwnie znajome.

Przez resztę dnia przyglądałam się sobie w każdym mijanym lustrze, w każdej wystawie i nie potrafiłam dojść, w czym rzecz. Aż do chwili, kiedy następnego dnia zerwałam się o czwartej rano przerażona. Zrozumiałam, że wyglądam jak kolaborantka – jedna z tych smutnych francuskich dziewczyn, które sypiały z nazistowskimi żołnierzami. Po wojnie mściła się na nich cała wioska, między innymi goląc im głowy do gołej skóry. Mój Boże, pomyślałam, więc taki ma plan. Subtelny przekaz na temat sypiania z wrogiem, którego autorem – i sponsorem – jest ów wróg. Przez kilka godzin chodziłam po

pokoju owinięta w kołdrę, z kubkiem kawy w dłoni, kursując nieprzytomnie między lustrem a oknem, za którym wstawał właśnie zimny szary świt.

A potem musiałam podać pani Branden milion informacji na temat swoich wymiarów, pani Branden zaś pobrała kolejny milion miar z tak dziwnych partii mojego ciała, że wolałam nawet nie myśleć, czemu miało to służyć. Ani że ktokolwiek miałby z tymi częściami mnie mieć do czynienia. Dobrze widać, jak mało realistyczne były moje wyobrażenia. Cóż, gdybym była większą realistką, to przede wszystkim w ogóle bym się w nic takiego nie pakowała. Aż wreszcie w czwartkowy wieczór zaraz po Halloween wybiła godzina zero.

Trudno opisać tych kilka pierwszych dusznych, zawstydzających tygodni. Może dlatego, że większość czasu sprawiałam wrażenie zupełnej niedorajdy. Wolę pamiętać chwile, kiedy czułam się przynajmniej częściowo atrakcyjna, opowiadać, jaka to byłam dowcipna. Tymczasem te pierwsze straszliwe tygodnie... Weźmy choćby pierwszy raz, kiedy przyszedłam do Jonathana po wszystkich przymiarkach i wizytach. Czekałam na kolanach, trzęsąc się ze strachu i podniecenia, przywiązana do haka w ścianie nieopodal kominka. Zastanawiałam się, co powie, byłam ciekawa, jak to będzie pieprzyć się z nim naprawdę. Wstyd przyznać, ale myślałam nawet, czy spodoba mu się moja fryzura. Czekałam jakieś dziesięć minut, nim w końcu się pojawił. Popatrzył na mnie i z niezmaconym spokojem zapytał:

– Jak się ze mną przywitasz?

Podchwytliwe pytanie. Rzecz jasna nie miałam pojęcia. Pomyślałam o powieściach pornograficznych, pochyliłam głowę i ucałowałam jego but. I zabrudziłam cały czubek szminką, którą mi kupił. Trzasnął mnie mocno szpicrutą (nigdy wcześniej żadnej nie widziałam, ale rozpoznałam ją dzięki pornograficznym lekturom) i kazał zlizać szminkę. A potem powiedział szorstko, że oczywiście nie mogłam wiedzieć, jak mam się z nim przywitać, bo mi tego jeszcze nie powiedział. I że pierwszą rzeczą, jakiej powinnam się nauczyć, jest to, żeby nie udawać, że wiem coś, o czym nie mam pojęcia, i oszczędzić mu owoców swoich nastoletnich mokrych lektur.

Uderzenie szpicrutą to był szok, ale znacznie bardziej bolesny okazał się chłodny, pogardliwy ton jego głosu. Tak było przez kolejne tygodnie. Wiem, że to śmieszne, ale Jonathan cholernie zranił moje uczucia. Nie żeby wykazał się jakąś szczególną serdecznością w czasie naszej pierwszej rozmowy, ale wtedy był otwarty i sprawiał wrażenie, że podoba mu się to, co widzi. Prawdę mówiąc, przez dwa tygodnie, zanim zaczęłam do niego przychodzić, wciąż przytapywałam się na tym, że powtarzam sobie w głowie fragmenty naszej rozmowy. Komplementy „jesteś ładna”, „bardzo bystra”, a zwłaszcza „piękny tyłek” należały do moich ulubionych. Jednak w trakcie szkolenia szybko pogodziłam się, że nigdy więcej nie usłyszę nic podobnego.

Bo tym w istocie była nasza relacja: szkoleniem. I choć tak namiętna czytelniczka pornosów jak ja powinna była wiedzieć, czego się może spodziewać, przeżywałam wciąż szok i czułam się, jakby mnie spotkał ciężki afront. Wyobrażałam sobie, że jakimś cudem natychmiast odgadnę, jak dać Jonathanowi wszystko, czego pragnie. Do diabła, myślałam, że w jakiś – nie wiem – magiczny sposób to on się wszystkim zajmie. Okazało się, że kiedy bohaterką zdarzeń jestem ja, a nie „O”, Jamie czy inna moja ukochana literacka wszetecznicza, zmieniam nagle w wyobraźni fabułę czy nawet gatunek powieści: oto nasze relacje z Jonathanem przypominają sceny pseudogwałtu z dziełek, które można znaleźć na półkach w supermarkecie. No wiecie: „Trzymał ją w stalowym uścisku. Jego zachłanne pożądanie przyprawiało ją o utratę zmysłów”. W moich fantazjach miało to w każdym razie wiele wspólnego z omdlewaniem. Spodziewałam się, że jego „zachłanne pożądanie” odwali za mnie całą robotę. Myliłam się.

Jonathan jednak dobrze wiedział, czego chce. Czego, kiedy, gdzie i w jaki sposób. To, że wiedział tak dokładnie, było zdumiewające, a zarazem w przedziwny sposób krzepiące. Nie zdawałam sobie sprawy, że to w ogóle możliwe. Żaden chłopak, z którym sypiałam w ciągu ostatnich kilku lat, nie zbliżył się nawet do takiej wiedzy. A w każdym razie żaden się z tym nie zdradził. Nie wiedział nic o swoich oczekiwaniach nawet Eric, moja największa miłość, facet, z którym na pierwszym roku przez parę miesięcy bawiliśmy się we wspólne życie. Byliśmy z siebie naprawdę dumni – mnóstwo głośnego seksu, non stop i wszędzie. Za najbardziej odjazdowy wyczyn uważaliśmy seks pod prysznicem. Jak przystało na uprzejmą parę, robiliśmy sobie dobrze za każdym razem, gdy sądziliśmy, że druga strona ma na to ochotę. Tak naprawdę jednak zawsze tylko zgadywaliśmy, bo oboje byliśmy zbyt wstydliwi, żeby zapytać.

Cóż, o wstydzie mogłam teraz zapomnieć. Jonathan nie był ani trochę nieśmiały i z całą pewnością też o nic nie pytał. Posługiwał się bardzo precyzyjnymi, bardzo poprawnymi językowo zdaniami, żeby otrzymać dokładnie to, czego chciał, przy czym „dokładnie” to najwłaściwsze określenie. A ja zaczęłam się zastanawiać, skąd ludzie w ogóle wiedzą, czego chcą, jeśli – no wiecie – nikt o tych oczekiwaniach nie mówi. Hm, może pary, które trwają w małżeństwie od milionów lat, dochodzą do tego w końcu

metodą prób i błędów, ale ta droga nie wydawała mi się zbyt atrakcyjna. Docierało do mnie, że umowa, którą zawarliśmy z Jonathanem, była na swój osobliwy sposób całkiem logiczna i spójna. Zgodnie z nią miał prawo dostać to, czego chciał, a moim obowiązkiem było precyzyjnie spełnić jego pragnienia.

Tymczasem, ponieważ najczęściej nawet nie zbliżałam się do ideału, traktował mnie jak szczeniaka, który stale brudzi. Z tym że był wobec mnie o niebo mniej serdeczny, niż byłby wobec psiaka. Gdybym chciała znaleźć metaforę, która by najlepiej opisywała ten wczesny etap naszej znajomości, byłaby to pewnie tresura, której głównym celem jest nauczanie psa całkowitego posłuszeństwa. I nie jest to kwestia żadnej oryginalności czy przenikliwości z mojej strony. To Jonathan sam przywołał tę metaforę, przyczepiając upokarzającą zawieszkę z brązu z wygrawerowanym imieniem „Carrie” do nowej twardej skórzanej obroży, którą pani Branden zapinała mi na szyi w owe letnie popołudnia.

Było ciężko, nieustannie czułam się upokorzona, a co najgorsze, Jonathan nie dotrzymał żadnej ze swoich obietnic. Pamiętacie tę imponującą przemowę o tym, jaka to będę obolała, wyczerpana i przetrzęta? Prawdziwym szokiem było dla mnie to, że pieprzył mnie naprawdę rzadko. Dziewięć na dziesięć razy wołał skorzystać z moich ust, a zwłaszcza z gardła.

Czułam się zażenowana, bo wcale nie byłam w tym dobra. Na początku kilka razy się zakrztusiłam, broniąc się właśnie wtedy, kiedy chciał, żebym była najbardziej bezbronna. Nie tylko moje usta miały się całkowicie do niego dopasować, nos wypełnić jego zapachem, ale też moje gardło powinno się było otworzyć na niego bez reszty. Cokolwiek i jakkolwiek głęboko wchodziło we mnie, miało się znajdować poza moim wyborem.

Jonathan był zabójczo cierpliwy – „Uważaj!”, powtarzał z naciskiem – i często mnie bił. Chłodny, precyzyjny i przerażający. Zastanawiałam się, czy tak będzie to wyglądało już zawsze. Czułam, że nie mam wyboru, że muszę wciąż ponawiać próby, i – rzeczywiście – stawałam się coraz lepsza. Swoją nową moc poznawałam po sile dreszczy towarzyszących jego orgazmom. To jasne, że pragnął mnie w ten właśnie sposób, uświadomiłam to sobie pewnego późnego popołudnia, patrząc na niego przez mgiełkę bólu i łez. Chodziło mu o moje usta, usta gaduły, panny mądralińskiej, otwór, który ma najwięcej wspólnego ze świadomością, inteligencją. Chciał, żebym się nimi posługiwała świadomie i inteligentnie, żebym za ich pośrednictwem się go uczyła, żebym pieściła i wielbiła każdy załomek, kontur i zapach jego ciała. A gdy był gotów dojść, chciał tym wszystkim zawładnąć, przekształcając mój czynny rozum w czysty pojemnik na jego spermę. To była potworna wymiana, obejmująca znacznie więcej niż tylko płyny. Zaczęłam czuć z tego powodu osobliwą dumę.

Było też oczywiście mnóstwo łażenia na czworakach z pupą wysoko w górze, mnóstwo obrączek, policzków i klapsów – jak to ze szczeniakiem – za niezdarność albo bałagan, którego narobiłam (i który czasem musiałam zlizywać), mnóstwo razów trzcinką za odzywianie się bez pytania albo bez należytego szacunku. Bardziej subtelne były powody lania za to, co podczas mojej pierwszej wizyty Jonathan nazwał „naruszeniem formy i granic afektu”. Nauczyłam się, że może to oznaczać wszystko, w praktyce jednak zwykle dotyczyło sytuacji, gdy okazywałam zbytne podniecenie, traciłam nad sobą kontrolę i nie dość szybko orientowałam się, jakie jest jego następne pragnienie. Albo gdy dawałam się obezwładnić rzadkim przejawom czułości, jak wtedy, kiedy przyniosłam mu coś w ustach, a on wziął to i pogłaskał mój policzek. Miałam nadzieję, że jego dłoń znajdzie się w pobliżu moich ust, tak że będę mogła ją pocałować, a może nawet polizać albo possać palec. I zrobiłam to. Troszeczkę. I było warto, choć skrępował mi potem ręce za cikliwość i głupotę.

Zresztą bez obaw, tej czułości i tak było tyle, co kot napłakał. Przeważało pożądanie. Od skrępowania, zażenowania, potknięć i konsternacji ważniejsza była wszechobecna, wszechogarniająca, oszałamiająca żądza. I choć szłam do domu obolała, upokorzona, nieszczęśliwa i przyrzekałam sobie, że więcej się u niego nie pojawię, zawsze wracałam. Punktualnie.

Aż w końcu wrzucił inny bieg. Stało się to pewnej ciemnej nocy podczas burzy. Wcale nie żartuję. Jeśli myślicie, że próbuję wprowadzić gotycki klimat, żeby was uwieść uduchowioną przyrodą, to cóż, może macie rację. Tylko że noc naprawdę była ciemna i burzowa. W listopadzie takie się zdarzają. I choć nie sędzę, żeby pogoda odzwierciedlała stan moich uczuć, wprawiła mnie w nastrój, który idealnie zgrał się z jej gwałtownością. Bo pewne jest, że tamtej nocy byłam równie chmurna i ponura jak ona. Wlokąc się pod górę wśród świszczącego wiatru i zacinającego deszczu, zastanawiałam się, po kiego diabła wylazłam na dwór tylko po to, żeby dać sobie wychłostać tyłek.

Nie mogę mówić za Jonathana, skrupulatnego Jonathana, któremu pewnie nigdy, bez względu na to, co by się działo, nie zdarzyło się odstąpić od planu zajęć. Podejrzewam, że jakakolwiek zbieżność między stanem jego uczuć a pogodą byłaby wyłącznie kwestią przypadku. Choć może zresztą się mylę.

W każdym razie byłam tak samo mokra, chmurna i ponura jak pogoda, kiedy zadzwoniłam do kuchennych drzwi. Otworzyła mi pani Branden, opanowana, miła i spokojna jak zwykle. Zdjęłam ubranie,

strząsnęłam wodę i odwiesiłam je na wieszak w kącie. A potem weszłam do maleńkiego pokoiku tuż przy kuchni, zapaliłam jaskrawe światło przy toaletce i jak zwykle bardzo starannie zrobiłam sobie makijaż.

Wróciłam do kuchni i usiadłam na krześle, a pani Branden uklękła, żeby zasznurować mi buty. To były brązowe botki z haczykami przy kostkach – dzięki czemu nie potrzebowałam osobnych obrączek na nogi – i szaleńczo wysokimi obcasami w kształcie klepsydry. Mogłam włożyć je sama, ale zgodnie z zasadami miała to zrobić pani Branden. Potem przysła kolej na obrozę z tą okropną zawieszką z imieniem i parę obrączek na przeguby rąk. Akcesoria były tak twarde, że czułam ich ucisk, nawet kiedy nie miałam ich już na sobie. Pani Branden spięła mi ręce za plecami, przyczepiła smycz do obroży i jak zawsze zaprowadziła mnie do gabinetu. Tylko że tym razem, zamiast zostawić mnie w zwykłym miejscu obok haka w ścianie, podeszła do skórzanej otomany przed kominkiem.

– Uklęknij i pochyl głowę. Unieś tyłek i rozsuń nogi – powiedziała całkowicie neutralnym tonem (jeśli chodzi o zachowanie śmiertelnej powagi, dorównywała Jonathanowi w każdym calu, a może nawet była lepsza).

Usłuchałam, a ona przyczepiła obrozę do haka w otomanie, tak że moja twarz znalazła się na wprost skózanego obicia. Rozsunęła mi jeszcze bardziej kolana i pętelki przy kostkach przyczepiła do kolejnych haczyków. Potem położyła swoje chłodne, sprawne dłonie na moich biodrach i poprawiła kąt ustawienia tyłka o kilka stopni, unosząc go nieco w górę. Po czym wyszła bez słowa.

Z doświadczenia wiedziałam, że na Jonathana będę musiała zaczekać. Dwie minuty, a może dwadzieścia. Zawsze myślałam, że mam szczęście, mogąc czekać na niego w tym pokoju – okna z szybkami w ołowianych ramkach, piękny orientalny dywan, prawdziwe dzieła sztuki na ścianach, wszędzie książki, książki, książki, choć nigdy ich nie dotykałam, i wreszcie kominek. Być może całość była odrobinę sztuczna i zanadto przypominała wytworny snobizm rodem z *Powrotu do Brideshead*. Tym bardziej że reszta domu była przestronna, prosta, urządzona w stylu Arts and Crafts i nowoczesna. Właśnie taka, jakiej bym się po Jonathanie spodziewała. Natomiast ten gabinet w oczywisty sposób tworzył teatralną scenografię i jego hiperrealistyczny styl bardzo mi się podobał. Lubiłam nadmiar głębokich kolorów i faktur, ich szczególną gęstość. Nawet tego wieczoru, choć twarz miałam wciśniętą w miękką skórę obicia, kątem oka widziałam ogień w kominku i słyszałam jego trzask. Skoncentrowałam się na tym dźwięku, trochę po to, żeby zagłuszyć odgłosy wiatru, deszczu i miotanych za oknem drzew, a trochę po to, żeby odsunąć myśl o tym, co się miało wydarzyć. Dlatego nie usłyszałam, kiedy wszedł Jonathan, i spłoszyłam się, gdy poczułam, że uwalnia mi nadgarstki.

– Rozsuń szerzej pośladki rękami – powiedział.

Chwyciłam za pośladki i poczułam napływ zimna, gdy zaczął smarować mnie jakimś kremem.

– Otwórz – powiedział łagodnie i powoli, bardzo wolno zaczął wsuwać we mnie gumowe dildo w rozmiarze, jak podejrzewałam, jego kutasa w stanie erekcji.

Wsuwał je niespiesznie i nieubłagane, znajdując przy tym tak pokrętną drogę, że choć chciałam stawić opór, nie mogłam trafić na właściwy moment ani na odpowiednią grupę mięśni, żeby faktycznie to zrobić. Jednak w chwili, kiedy powtarzał szeptem zaklęcie „otwórz się”, jakaś część mnie odkryła, że naprawdę istnieje sposób, by stać się całkowicie i przerażająco „otwartą”.

Udało mu się wsunąć dildo do końca. Być może krzyknęłam. Jęczałam i trzęsłam się straszliwie. Znów poczułam zimno na pośladkach. Od spodu dildo miało trzy łańcuszki. Jeden powędrował w górę, do podstawy kręgosłupa, dwa pozostałe między nogami, obrysowując mi cipę. Wszystkie trzy były przymocowane do skózanego paska ze sprzączką na plecach. Rozpoznałam tę technikę – dzięki Pauline Réage – ale emocje, które wzbudziła we mnie, to była zupełna nowość. Czułam się tak, jakbym potrzebowała dłoni Jonathana, jego głosu, jego pragnienia. Jakbym – tak absolutnie otwarta – straciła część władzy nad światem i nad własnym radosnym, bezrozumnym ciałem. Czułam, że gdybym nie potrafiła zadowolić Jonathana, zastosować się dokładnie do jego poleceń, mogłabym spaść w przerażającą, piekielną sferę poza „ja” i poza świadomością.

Odczepił mnie od otomany i pomógł wstać. I pocałował tak, jakby jednocześnie zadawał jakieś nieme pytanie. Przedziwne. Poczułam, że odpowiadam mu takim samym pocałunkiem. Ta chwila wprowadziła w zamieszanie nas oboje. Podejrzewam, że jego pytanie brzmiałoby: „Co czujesz?”, a moje „Czego chcesz?”, ale jego sens byłby głębszy niż kiedykolwiek wcześniej. Byłby ostateczny: „Proszę, powiedz mi, czego chcesz. Umrę, jeśli nie uda mi się spełnić twojego pragnienia”. Odsunął się, żeby się przez chwilę zastanowić.

– Boli? – spytał.

– Nie, Jonathanie. W każdym razie niezupełnie – odpowiedziałam, ważąc słowa. – To dziwne uczucie, inne od wszystkich, jakich do tej pory doświadczyłam.

– Hm – odparł. – No to przekonajmy się, o co w tym chodzi.

Usiadł i zaczął mi wydawać rozmaite polecenia, chciał, żebym robiła różne psie sztuczki – chodziła, stała, siadała, przykuciała, prosiła, pełzała, bawiła się ze sobą, przynosiła różne rzeczy w ustach. Wszystko, co robiłam, wydawało się przedziwnie wzmocnione. Wreszcie polecił, żebym go rozebrała, i – dildo ani trochę w tym nie przeszkadzało – przez długi, długi czas pieprzył mnie na dywanie. Na koniec kazał mi wstać. Sam leżał przykryty kraciatym kocem, opierając się na łokciu, z twarzą zwróconą do mnie.

– Powiedz mi, jak to jest, kiedy ma się dildo w dupie – polecił.

Popatrzyłam na niego z wysoka. Czułam się słaba, miednicę miałam posiniaczoną i poobijaną. Było mi zimno, nogi się pode mną uginały, uda lepiły od potu i spermy. Szukałam odpowiednich słów, choć czerwieniłam się i drżałam, a mówić mogłam tylko bardzo powoli.

– Sprawia, że czuję się jak bardzo niegrzeczna dziewczynka, Jonathanie – powiedziałam z wahaniem, bardzo łagodnie.

On też przemówił łagodnie:

– Ale wiesz, że dziś wieczorem byłaś bardzo grzeczną dziewczynką? Dziwne, prawda? No cóż, nie dręcz się, próbując to zrozumieć. – Wstał, wziął spodnie z krzesła, na które je odłożyłam, i wyciągnął z nich pasek. – Ukłęknij na fotelu, czeka cię małe lanie – powiedział łagodnie. – Jak skończę z twoją dupą, odwróć się, dostaniesz parę razów na cycki. Tylko żeby się zaróżowiły. Potem cię rozepnę i będziesz mogła dzisiaj spać tutaj. Na górze jest dla ciebie sypialnia. To zbyt niebezpieczne, żebyś wracała w taką nawałnicę przez most.

Ale oczywiście wbrew radzie Jonathanana zadrezczałam się, próbując to zrozumieć. Razem z moim przyjacielem Stuartem gadaliśmy na temat tej nocy bez końca. Ze Stuartem przyjaźniliśmy się od pierwszego roku studiów, ale współlokatorami zostaliśmy dopiero w czerwcu, po obronie. On studiował dalej, robił doktorat z literatury, bo dostał stypendium, które prawdopodobnie przypadłoby mi, gdybym się o nie ubiegała. W te noce, kiedy nie spałam u Jonathanana, tylko utykając, wracałam do domu, Stuart rozcierał mi ramiona i czytał François Villona albo siostry Brontë. Wynajmowaliśmy duże mieszkanie w Mission razem z Henrym, kurierem z UPC, i prestidigitorką (Jo wprawdzie na co dzień pracowała w biurze, a sztuczki pokazywała najwyżej na przyjęciach dla dzieci, ale moim zdaniem była naprawdę dobra). Typowa banda dwudziestoparolatków mających w głębokim poważaniu swoją przyszłość – kurier, pracownica biurowa aka prestidigitorka, doktorant na stypendium i wreszcie kurierka rowerowa łamane przez niewolnica seksualna. Słabo opłacana, nieproduktywna, postindustrialna siła robocza w mikroskali.

Tylko Stuart wiedział o moim życiu z Jonathanem, mimo że Jo i Henry byli naprawdę kochani i na pewno by mnie nie osądzali. Ale nie chciałam mówić o tym komukolwiek poza Stuartem – zbyt trudno byłoby mi to wytłumaczyć. Sama miałam kłopot, żeby to zrozumieć.

Stuart był, jak to ujmował, mniej lub bardziej bi, ale przede wszystkim był nieśmiały. Dlatego choć byłam gotowa wysłuchiwać jego miłosnych zwierzeń, klepać po ramieniu i pocieszać, gdy tego potrzebował, przykra prawda była taka, że nic w jego życiu nie mogło konkurować ani z tą niesamowitą historią, jaka mi się przydarzyła, ani z moją nieustającą potrzebą wsparcia. Dodajcie do tego jeszcze nałóg, w który popadliśmy na studiach, a mianowicie namiętność do teorii. Nasze życie sprowadzało się do tego, że leżeliśmy na wielkim łóżku Stuarta i gadaliśmy bez końca, próbując przeanalizować historię z Jonathanem. Zresztą czy mogło być inaczej?

– A może w tym wszystkim chodzi po prostu, bo ja wiem, o relację z obiektem? – zastanawiałam się. – *Kultura jako źródło cierpień*. Pieprzony banał, wczesna socjalizacja. A może powinniśmy umieścić relację z obiektem w odpowiednim kontekście politycznym? Jonathan miał bogatego ojca, który się nim nigdy nie zajmował.

– Uważam, że potrzebujemy teorii relacji z obiektem o nieco bardziej filozoficznym zabarwieniu. Dorzuciłbym heglowską dialektykę pana i niewolnika. Jedna samowiedza zwycięża drugą, ale nie zabija, bo to zabiłoby zabawę. Taka teoria wydaje się dość prawdziwa, choć całkowite wchłonięcie raczej ci nie grozi, a w każdym razie nie wtedy, kiedy masz na sobie strój kuriera. Właściwie można by tu zastosować wszystkie koncepcje z zakresu nauk społecznych, które mieliśmy na zajęciach, gdybyście to potraktować jak patologię. A ja nie chcę. Nie w sytuacji, kiedy dla ciebie oznacza to wspaniały seks, a dla mnie wojerystyczną rozrywkę. Jesteś moją heroiną – powiedział, kończąc tym samym fazę wspierania przyjaciółki, i popatrzył na mnie wyczekująco.

– Tak, tak, dobra – westchnęłam jak zwykle. – Możesz obejrzeć nowe ślady, możesz nawet ich dotknąć, tylko bardzo delikatnie. Ale najpierw przynieś kubek kakao z rumem i dwie pianki marshmallow. I włącz telewizor, bo leci *Zdrowko*.

## Rozdział 2

### Krazy Kat

Wprawdzie żadna z tych teorii mnie nie zadowalała, za to z Jonathanem udało nam się wypracować całkiem zadowalający wspólny rytm. Niedługo potem zaczął mniemotorycznie pieprzyć w dupę, a ja przytapałam się na tym, że mu dziękuję. Podziękowania nie do końca były zgodne z zasadami, jakie ustanowił, ale mieściły się w ich granicach – pozwoliłam sobie na drobną wariację. W ramach prezentu z okazji tego, że ukończyłam szkolenie, szczenięcą obrozę i botki zastąpiły akcesoria z czarnej, lśniącej skóry. Nie znaczy to wcale, że skończyło się bicie czy poniżanie. W końcu na tym właśnie polegała nasza zabawa. Co do jednej rzeczy miałam wszakże pewność – i być może do tego

sprowadzała się wartość wszystkich tych teorii – że mianowicie prowadziliśmy naszą grę, balansując na krawędzi wstydu, na przysłoniętej cieniem granicy cywilizacji. To, że graliśmy w nią w arcykulturalnym gabinecie, pośród tych wszystkich dzieł sztuki, książek i antyków, było – jestem pewna – ironicznym si gni fiant czytelnym dla nas obojga.

Doceniałam to, gdy tylko okoliczności pozwalały mi tego typu rzeczy doceniać.

Wraz z nastaniem zimy Jonathan zaczął kupować nowe zabawki – groźnie wyglądające klamerki na sutki i inne delikatne części ciała, niekiedy z małymi dzwoneczkami.

Powiedział pani Branden, żeby dawała mi liżankę kawy po przyjściu i nie pozwoliła sikać.

W ten sposób rosły szanse, że będę musiała przykucnąć nad nocnikiem, który trzymał dla mnie w kącie. A gdyby zdarzyło mi się uronić kilka kropli na podłogę, musiałabym je zlizać.

Wypróbowywał na mnie różne rodzaje pejczy – bicze i szerokie skórzane packi.

Któregoś razu „tylko dla draki” potraktował mnie twardą szczotką do włosów, i to naprawdę bolało. Kiedy indziej sprawił sobie staromodny pasek do ostrzenia brzytwy – zamówił go z jakiegoś katalogu, chyba Petermana, tylko po to, żeby sprawdzić, jak się będzie na mnie sprawował; nie sędzę, żeby używał go do czegokolwiek innego. Był też taki okres – święta Bożego Narodzenia i cały styczeń – kiedy non stop robił mi prezenty. Pod małą choinką w gabinecie znajdowałam przepięknie niekiedy opakowane przedmioty służące do zadawania bólu i upokarzania. Musiałam je rozpakowywać, oczywiście nie rozrywając przy tym papieru, i dziękować za prezent. Zdarzało się, że widziałam jakiś przedmiot pierwszy raz w życiu – były to na przykład przedziwne wiktoriańskie urządzenia do ćwiczenia postawy – i Jonathan kazał mi zgadywać, do czego dana rzecz służy, zanim to zademonstrował.

A potem, gdy igiełki choinki uschły i drzewko zostało wyrzucone na ulicę, pojawiły się kostiumy.

Nie zawsze – najczęściej Jonathan wciąż chciał, żebym była naga, tylko w obroży i obrączkach – ale czasami, kiedy się tego nie spodziewałam, po przekroczeniu kuchennych drzwi znajdowałam czekające na mnie kostiumy. Bardzo obcisłe, ciasne wręcz gorseciki z wymyślnie przypinanymi podwiązkami.

Zwykle czarne, ale niekiedy zabytkowe, z białego muślinu lub płótna, razem ze stelażem z prawdziwych – z tego, co wiedziałam – szbin. Sznurówki i haftki przy gorsetach doprowadzały opanowaną zwykle panią Branden do szału. Naprawdę musiała się zapierać kolaniem o moją pupę –zupełnie jak na osiemnastowiecznych sztychach – żeby móc mnie mocno zasznurować. Pociła się i rzucała mięsem, a raz na koniec, poirytowana, dała mi klapsa.

Nawet jeśli gorset utrzymany był w stylu jakiejś konkretnej epoki, buty zawsze stanowiły eklektyczny kontrpunkt. Najwyraźniej w ten sposób Jonathan znajdował ujście dla swego zamiłowania do tandety. Mówię o tym na wypadek, gdybyście tak jak ja nie posądzali go o podobne upodobania. Cóż, buty stanowiły wyjątek – efekciarskie, takie, w których kostki i podbicie cierpiały straszliwe katusze. Zastanawiałam się, skąd brał te wszystkie piętnastocentymetrowe szpilki ze srebrnej lamy, oletowego brokatu czy też bez pięty, z miliona cieniutkich paseczków. Podejrzewam, że pewnie z tego samego źródła, co drag queens czy Tina Turner. Wkładałam do nich czarne pończochy ze szwem, które przed końcem wieczoru miały być całe w strzępach.

I kiedy pani Branden stroiła mnie w te frymuśności, z pewnym sentymentem myślałam o tym, co Jonathan oznajmił mi tamtego popołudnia, gdy przyszedł do niego po raz pierwszy. Że będę gotowa znosić wszystkie te nudne detale. Miał rację. Byłam gotowa tak samo jak on. Choć prawdę mówiąc, w jego przypadku to było coś więcej niż gotowość. Ten człowiek, o którym moglibyście sądzić, że jest esencją wyra nowania, zupełnie szczerze upajał się akcesoriami w stylu lalki Barbie. Kiedy pierwszy raz

założyłam biały, staromodny i zdaje się szbinowy gorset, obszedł mnie powoli dookoła i rozmarzonym głosem powiedział:

– O, tak.

Mimo wykształcenia, ton przeczytanych pornosów i bujnej wyobraźni nie byłam w stanie pojąć, na czym ma polegać działanie tych fetyszystycznych rekwizytów. Zrozumiałam to dopiero, kiedy kilka razy je włożyłam – chodziło o sposób, w jaki współgrają ze sobą różne techniki profanacji. Zaczęłam dostrzegać, że gorset, gdy założę go razem z butami na śmiesznie wysokich obcasach, eksponuje moją pupę. Ze wysoka obroża zmusza mnie do trzymania prostych pleców i wysoko uniesionej głowy, wypychając w ten sposób do przodu piersi. Czasami czułam się tak, jakby moje ciało nie należało już do mnie – zmuszone do przyjęcia postawy, która czyniła je maksymalnie dostępnym dla Jonathana, nie zostawiało mi miejsca do ukrycia. Niekiedy z zażenowaniem orientowałam się, że sama chcę przybrać podobną pozę, i byłam wdzięczna wszystkim tym akcesoriom, że nie pozostawiają mi wyboru, że tak skandalicznie wystawiają każdą część mnie na widok publiczny. Przede wszystkim jednak między tymi dwiema siłami – chęcią ukrycia się i pragnieniem ostatecznego obnażenia – toczyła się w moim wnętrzu bitwa: żadna nie była w stanie całkowicie zwyciężyć, obie zatem wytrącały mnie kompletnie z równowagi.

Tego popołudnia jednak coś w rodzaju poczucia władzy wywołanego przez „O, tak” Jonathana przyprawiło mnie niemal o zawrót głowy. Spodobało mi się, że mogę go aż tak rozpalić. Przywarł do mnie, położył mi dłonie na pośladkach i zaczął całować ramiona.

– Myślisz – wymruczał – że Emily Dickinson nosiła taki gorset? No wiesz, pod tymi swoimi białymi sukniemi.

Takiego pytania się nie spodziewałam. Cóż, w końcu obiecywał, że zawsze będzie krok przede mną, prawda?

Postarałam się, żeby na mojej twarzy malowała się szczerłość i szacunek.

– Nie wiem, Jonathanie. Nie sędzę, ale nie wiem tego na pewno.

– Ale okres się zgadza, prawda? – powiedział, ugniatając i podszczypując moje pośladki. – A jeśli nie Emily, to może jej szwagierka? Ta, która się pieprzyła na bilardowym stole.

Pomyślałam, że nosiły je raczej piękności z Południa. Ale Jonathan miał rację, faktycznie w czasach Emily Dickinson. Wiedziałam jednak, że panny z plantacji mówiące: „Tere-fere, Rhet”, wcale go nie interesowały.

Ciekawiły go raczej kobiety tragiczne, takie, które byłyby w stanie napisać coś w rodzaju: „Podoba mi się w Agoni /To – że jest zawsze prawdziwa”<sup>10</sup>. Więc czy noszono gorsety także na Północy, w sprzyjającym abolicji Amherst w stanie Massachusetts?

Upierałam się przy swojej ignorancji co do zwyczajów garderobianych zarówno Emily, jak i Susan, jej namiętnej szwagierki, podczas gdy Jonathan kierował nas w stronę kanapy.

– A ja myślałem, że jesteś dobrze wykształcona – powiedział. – Na szczęście teraz to ja się zajmuję twoją edukacją.

Usiadł na kanapie, zmuszając mnie, żebym przed nim uklękła, i zaczął mnie całować, trzymając moje piersi w dłoniach. Często tak robił – bawił się sutkami, sprawiając, że twardniały niczym pestki wiśni. Zwykle był to wstęp do tego, żeby przyczepić do nich klamerki, ale choć o tym wiedziałam, moje sutki i tak zawsze upokarzająco posłusznie twardniały pod jego palcami. Ja mogłam mieć swoje narowy, one nigdy. Tym razem jednak Jonathan się nie zatrzymał. Wciąż mnie całował, badał językiem wnętrze ust, zwijając sutki

w palcach. Poddałam się i nie próbowałam już zrozumieć, czego chce. Chciał tego, co robił, robił to, czego chciał. Powinam się zaniepokoić? Coś przeoczyłam? Miał zamiar mnie za coś ukarać? Było mi jednak zbyt dobrze, ciepło i błogo, i bicie wydawało się doprawdy niską ceną za te doznania.

Poluzował obrozę. Wciąż była zapięta ciasno, ale przesunięcie sprzączki o jedną dziurkę (w każdym razie takie miałam wrażenie) dało mi nieco większe pole manewru, pozwoliło odrzucić głowę w tył, złapać powietrze, drzeć i jęczeć.

Przeniósł usta na moją pierś, a jego dłoń powędrowała do cipy. Język i palce miał nieustępliwe, badawcze i cierpliwe. Cudowne dłonie. Spokojnie mógłby nimi kleić te niewiarygodnie delikatne modele budynków, które wciąż zdarza się robić architektom nawet w czasach coraz powszechniejszej komputeryzacji. Nie żebym widziała go kiedykolwiek przy pracy, ale na pewno znalazłby się jakiś model w jego gabinecie, obok kleju i skalpela na półce.

Rósłby z dnia na dzień, coraz masywniejszy i bardziej złożony, a ja słabłabym z pożądania, wyobrażając sobie, jak długie palce Jonathana tną i kleją cieniutkie paseczki balsy i pianki.

Teraz właśnie jeden, nie, dwa palce powoli przesuwały się w kierunku mojego odbytu, a palec drugiej



ręki bez przerwy rysował maleńkie kółka wokół mojej łechtaczki. Sprawiał wrażenie, jakby mógł to robić w nieskończoność, a w każdym razie dopóty, dopóki czułabym się tak niemożliwie cudownie. Miałam wrażenie, jakbym była kukielką, jakbym do piersi i cipy miała przyczepione sznureczki, za które Jonathan pociągał leciutko, ale nieprzerwanie, sprawiając, że podskakiwałam i tańczyłam. W końcu poddałam się, krzycząc, a nawet śmiejąc się ochryplym, gardłowym głosem.

Opadłam na niego, próbując odzyskać oddech, na pół tylko świadoma gwałtownych paroksyzmów w swoim wnętrzu.

– Połóż się na podłodze – wyszeptał mi w szyję.

Złapał mnie za ramiona i zaczął popychać. Uległam presji jego rąk i położyłam się na plecach.

Ukląkł obok, uniósł mi kolana do góry, tak że nogi miałam zgięte, rozchylił je i powoli zaczął delikatnie skubać ustami wewnątrz ud, tuż ponad czarnymi pończochami. Czułam, jak liże, podgryza i całuje – jego wargi, zęby i język zachowywały się tak, jakby moje ciało było czymś w rodzaju wyszukanego dania, a on delectował się nim w skupieniu.

Pod zasnuowanym ciasno gorsetem poczułam łaskoczące wibracje w brzuchu. Tak, jego usta przesuwały się w górę – powoli, niemal bezwiednie, ale zdecydowanie – w kierunku mojej cipy. I podczas gdy dłońmi trzymał mnie nieruchomo za biodra, językiem rozchylił moje wargi sromowe.

Chciałam się poruszyć, stawić opór. Dreszcze i wibracje w brzuchu zaczęły się rozprzestrzeniać, rozchodzić falami, wirować. Jakaś część mnie chciała go odepchnąć – bałam się tych doznań, intensywności nie tylko jego języka, ale nawet samego oddechu. To ciepło, powietrze, które wydychał i które czułam w swojej cipie, wydawało się równie subtelne, jak natarczywe. Sprawilo, że zaczęłam jęczeć. Faktycznie jęczałam? Zdaje się, że tak. Ale wiedziałam, że Jonathan nie pozwoliłby się odepchnąć. I wiedziałam, że w rzeczywistości wcale nie chcę, żeby przestał. Mogłam jedynie kołysać miednicą w przód i w tył, wychodzić na spotkanie jego języka, gonić za nim, a potem uciekać, udawać, że się przed nim chowam, żeby w końcu się poddać, jęcząc i wreszcie krzycząc, gdy wszystko eksplodowało. I najpierw było tak, że spadałam z bardzo wysoka, a potem byłam już roztopioną kałużą na dywanie, na którą przez szybki w ołowianych ramkach padało zimowe popołudniowe światło.

Jonathan siedział obok, nie wiem jak długo, wodząc palcem po skomplikowanym ściegu gorsetu.

W końcu jednak podniósł się, wrócił na kanapę i powiedział: – Ukłęknij i wyprostuj się.

Teraz – pomyślałam, krzywiąc się – dowiem się, czego nie zrobiłam. A czego on tak naprawdę chciał. Spojrzałam na niego. Rozsiadł się wygodnie na kanapie, rozpostarte ręce oparł na zagłówku, założył nogę na nogę. Czy powinnam mu podziękować? Albo uczcić w sposób, który powinnam już znać? Czy w ogóle powinnam robić cokolwiek, zamiast tylko czuć się cudownie wyczerpana i wycieńczona? Nie sprawiał wrażenia złego ani nawet surowego, choć przyglądał mi się uważnie – A więc – powiedział.

Nie wiedziałam, co odrzec. Po prostu gapiłam się otumaniona, kiedy sięgnął po moją obrozę i zapiął ją ciasniej.

– A więc – powiedział z uśmiechem – podoba mi się twój wyraz twarzy. Sprawiasz wrażenie zaskoczonej, wdzięcznej, wystraszonej i skołowanej zarazem. Doskonale. To było – ciągnął – równie miłe jak bicie i seks analny.

Oczywiście inne, ale tak samo urocze. Miałam na to ochotę już od jakiegoś czasu, ale wcześniej by nie wyszło. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że wcale mnie nie bawiło wstrzymywanie się z tym przez tyle miesięcy.

Miałam zaledwie mgliste pojęcie, do czego zmierza. Prawdę mówiąc, cały wysiłek wkładałam w to, żeby trzymać się prosto i nie zwalić jak kłoda na podłogę. Mętnie i powoli uświadamiałam sobie, że nie zamierza mnie ukarać. To w każdym razie dobrze.

Mówił coś, co uważał za ważne, i wiedziałam, że powinnam słuchać, ale jedyne, czego chciałam, to trwać długo i szczęśliwie w tym cudownym stanie ciała. I spać na górze w jego łóżku, przy otwartym oknie, w podmuchach wiatru.

– Słuchaj mnie – pociągnął za łańcuch i wymierzył mi lekki policzek.

– Tak, Jonathanie – wymruczałam. – Przepraszam, Jonathanie.

– Tak lepiej – stwierdził. – Dobrze. Uwielbiam patrzeć, jak się stosujesz do zasad, kiedy wcale nie masz na to ochoty. No cóż, po to właśnie są, prawda?

Zgodnie z zasadami wymamrotałam, że ma rację. Fakt, cholerne zasady. Czułam, jak świat wokół znów nabiera kształtów, przerywając moją idylę. Zaczęłam zdawać sobie sprawę, że

dogłębne przyswojenie sobie jego katechizmu zajmie mi trochę czasu, i stwierdziłam, że wcale mi się to nie podoba.

– Sporo się już nauczyłaś, prawda? – powiedział znów tym swoim pedantycznym tonem. – Oczywiście wciąż daleko ci do ideału, ale jest coraz lepiej. Nauczyłaś się otwartości, dostępności i uważności.

Nauczyłaś się przyjmować kary. Zresztą pewnie kary nie są tak trudne do zniesienia jak nieuzasadniony ból, który zadaje ci czasem, bo akurat mam taki kaprys. Ból, który bierze się tylko stąd, że mam ochotę go zadać. Jeśli chcę zobaczyć ślady bicia na twoich udach, po prostu cię biję, prawda? Jeśli chcę widzieć, jak płaczesz, doprowadzam cię do łez.

A teraz właśnie nauczyłaś się, że jeśli mam ochotę sprawić ci absolutną rozkosz, to też mogę to zrobić.

Wierzcie mi lub nie, ale zupełnie zapomniałam, że to właśnie powinno być celem relacji seksualnej. A w każdym razie zwykle bywa. I o tym właśnie – z grubsza rzecz biorąc – mówił teraz Jonathan.

– Tego wieczoru, kiedy poznaliśmy się na tym głupim przyjęciu, wyobrażałaś sobie, że zabiorę cię do domu i sprawię, że tak właśnie będziesz się czuła, prawda?

– Tak, Jonathanie – przyznałam blado. To było równie upokarzające jak wszystko, czego od niego doświadczałam.

– W sumie dlaczego miałabyś tak nie myśleć – stwierdził. – Zaslugujesz na to.

Pewnego dnia może znajdziesz kogoś równie atrakcyjnego, kto będzie na to zasługiwał tak samo jak ty, i będziesz co noc kochać się z nim namiętnie, robiąc równocześnie doktorat i pisząc książki. A potem będziecie mieć dzieci i przytrafią się wam różne inne dobre rzeczy. Tylko że – mówił dalej – to nie jest coś, czego ja chcę. I wydaje mi się, że nie jest to też coś, na co ty miałabyś ochotę. Przynajmniej nie w tej chwili.

Przez tych kilka miesięcy powstrzymywałam się przed kochaniem się z tobą w ten sposób, bo gdybym to zrobił wcześniej, mogłabyś mnie źle zrozumieć. Wciąż nie jestem pewien, czy rozumiałaś mnie w pełni. Nie chciałem, żebyś oczekiwała, że będziesz się czuła w ten sposób. Ani żebyś myślała o tym jako o zapłacie czy nagrodzie. Nie spodziewaj się tego. Nie wyczekuj. Zrobię to, gdy będę miał ochotę, a ty nie będziesz potrafiła przewidzieć kiedy. I nie próbuj żadnych sztuczek, żeby mnie do tego skłonić. Jeśli kiedykolwiek uznam, że starasz się to zrobić, ukarzę cię bardzo surowo. Zrozumiałaś?

– Tak, Jonathanie – wymamrotałam żałośnie.

– Tak, myślę, że rozumiałaś – powiedział, a potem bezceremonialnie rozpiął rozporek.

– Dobra, teraz moja kolej.

Otwórz buzię.

A kiedy już było po wszystkim, po prostu odesłał mnie do domu – stwierdził, że na dziś wystarczy.

Ubierając się, przypomniałam sobie *Ca ro usel*, stary musical, który wystawiano w moim liceum.

Piosenki takie jak *My Boy Bil* i *You'll Never Walk Alone*. Wszyscy się z nich naśmiewali, bo były kliwne, ale ja w sekrecie je uwielbiałam: ryczałam na myśl o tym, że nigdy nie poznam kogoś, kto mnie pokocha. I zasypiałam, próbując wyobrazić sobie uderzenie w twarz namiętne jak pocałunek.

Wciąż tego nie umiałam. Ale wierzyłam Jonathanowi, że nauczy mnie pocałunków, które będą smakować jak policzek.

I taki był koniec mojego terminowania. Złota lekcja na końcu tęczy. Bez względu na to, co się między nami działo, zawsze było to następstwem i urzeczywistnieniem całkowitego monopolu Jonathana na władzę. Dowiódł tego w owo zimowe popołudnie, tak jak bomba w Alamo dowiodła słuszności odkryć Einsteina. Nie żebym wcześniej to kwestionowała. Dopiero teraz jednak wiedziałam, w pełni świadomie wiedziałam, że nie jestem w stanie przeniknąć jego zamiarów. W pewien sposób przyniosło mi to ulgę. Mogłam sobie odpuścić, rozluźnić się.

Tak jakbym zaczęła śnić w obcym języku – języku bicia i poniżeń, rzadkich, ekstrawaganckich przyjemności, rytuałów i ceremoniałów. W skomplikowanym i dziwnie wciągającym języku, który opierał się na jednej tylko głębokiej strukturze syntaktycznej, na jednej tylko zasadzie – „chcę” wypowiedzanym przez Jonathana.

A ja – muszę się wam przyznać – uwielbiałam, kiedy mówił „chcę”. Medytowałam nad tym słowem. Mogłam go słuchać jak mantry. Odlatywałam, myśląc o tym, jak uprzywilejowaną pozycję zajmuje Jonathan. W ostatnim tygodniu szkoły zdarzyło się nawet, że musiałam wyjść z biblioteki, żeby wybrandzłować się w toalecie na myśl o tym, jak cudownie i niezmiennie było to niesprawiedliwe. No cóż, czytałam też trochę tekstów teoretycznych, które zdawały się wyjątkowo pasować do mojej sytuacji. Zresztą miałam wrażenie, jakby cały program przewidziany na ten semestr dotyczył seksu – wszystkie lektury wydawały się w rzeczywistości ociekającą erotyzmem sadomasochistyczną wersją zupełnie innego tekstu. Intelktualnie tego nie akceptowałam, uważałam, że w życiu musi istnieć coś poza seksem i władzą, nawet jeśli chwilowo w moim własnym na nic więcej nie było miejsca. Ale zważywszy na to, że i tak zupełnie nie potrafiłam się na niczym innym skoncentrować, stwierdziłam, że mam dużo szczęścia. W pewnym sensie można uznać, że to Jonathan pomógł mi przebrnąć przez ostatni semestr studiów.

Pozornie moje uczelniane życie w ogóle się nie zmieniło. Pisałam prace, wychodziłam z przyjaciółmi, z których część wiedziała, że łączy mnie jakiś tajemniczy związek z facetem z naszego miasta, i

akceptowała fakt, że nie zamierzam zdradzić na ten temat nic więcej. Właściwie jedyną rzeczą w moim codziennym życiu, która uległa zmianie, było to, że tej wiosny zrezygnowałam z pływalni i zaczęłam biegać. No cóż, nie mogłam już dłużej przebierać się we wspólnej szatni, prawda?

W marcu dostałam elektryzujący list: jedna z moich prac miała zostać wydrukowana w pewnym mało znanym akademickim piśmie; wysłałam ją tam zeszłej jesieni. Profesor, który mnie do tego namówił, uparł się, żeby otworzyć butelkę szampana schowaną w lodówce w jego gabinecie – za pierwszą publikację, powiedział. Czytałam list wciąż, na okrągło, dopóki nie nauczyłam się go na pamięć.

To był jedyny raz, kiedy spóźniłam się do Jonathana całe piętnaście minut. W dodatku huczało mi w głowie od szampana – całe szczęście, że się nie zabiłam, przejeżdżając przez most. Pamiętam, że kiedy pani Branden wpuściła mnie zaczerwienioną i podchmieloną, Jonathan popatrzył na mnie z troską i tłumionym gniewem. Spytał, dlaczego się spóźniłam, i pamiętam, jak zmienił się wyraz jego twarzy, kiedy powiedziałam mu o publikacji. Mój Boże, co za ciepły, przemiły uśmiech, pomyślałam.

– To wspaniale, naprawdę wspaniale, Carrie – powiedział, odpinając łańcuch od obroży. – Cudowna wiadomość, wiedziałem, że ci się uda. A teraz przynies trzcinkę, żebym mógł ci wymierzyć pięć razy za spóźnienie.

Tak więc moje życie wciąż biegło tym dziwnym, schizofrenicznym torem, którym kierowała jednak pewna logika. To z myślą o przyszłości nie potrafiłam sobie poradzić. Bez trudu prowadziłam podwójne życie jako studentka, ale nie potrafiłam się zmusić, żeby złożyć podanie na studia doktoranckie. Wciąż myślałam, że to może poczekać. Że przyszłość może poczekać. Czułam się, jakbym się znajdowała w połowie lektury – i przeżywania – pewnej historii i jedyne, co mogłam zrobić, to szybko przerzucać kartki. Wszystko inne musiało zaczekać.

Ostateczny termin składania podań minął, a ja miałam to w nosie. Zaczęłam mówić ludziom, że chcę sobie zrobić rok przerwy. Wymyśliłam nawet bardzo przekonujące wytłumaczenie – twierdziłam mianowicie, że nie sposób naprawdę zrozumieć, czym jest postmodernistyczna Ameryka, dopóki się człowiek przez jakiś czas nie poobija. Powtarzałam to w kółko, aż pewnego dnia się przejęczyłam i zamiast „chcę się poobijać, całkiem wolna” powiedziałam: „chcę być obita jak niewolnik”. Ludzie co prawda uznali, że chodzi mi o nowe niewolnictwo na rynku pracy, ale na wszelki wypadek skończyłam z wyjaśnieniami.

Czasami zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zamieniam się w jakąś obłąkaną sekciarę, fanatyczną wielbicielkę Mansona albo nawiedzoną wyznawczynię Moona. Czyżbym marnowała swoje obiecujące życie? Wcale tak nie sądziłam. To znaczy owszem, zrobiłabym – no dobra, robiłam – wszystko, co kazał mi zrobić Jonathan, nie było to jednak sprzedawanie sekciarskich kwiatków na lotnisku. I nie uważałam, żeby to było całe moje życie. Tak po prostu wyglądało w tej chwili. To był mój czas terazniejszy. W każdym razie zaraz po skończeniu studiów zaczęłam pracować jako kurier rowerowy. Jonathan nigdy nie pytał mnie o plany na przyszłość. Pewnie z typowym dla siebie samozadowoleniem sądził, że przez jakiś czas będę się trzymać w pobliżu. Z całą pewnością nie było w tym nic pochlebnego, ale też ja nie szukałam żadnego pochlebstwa.

Po prostu chciałam kontynuować tę przygodę, chciałam, żeby się rozwijała, biegła swoim niezbadanym torem.

Wyobrażałam sobie, że jesteśmy jak Krazy Kat i Ignatz albo Wiluś E. Kojot i Struś Pędziwiatr – odwieczna para antagonistów grających w niekończących się wariantach spektaklu władzy i pożądania, pomysłowości, nadmiaru i bólu. Pewnego dnia, myślałam, spojrzę w dół i zobaczę, że unoszę się w powietrzu. A wtedy gwałtownie runę na ziemię. Ale to będzie kiedyś, nie teraz.

Ucieszyłam się, że dodał kilka godzin do naszego grafiku, kiedy oznajmił mi, że mój rozkład zajęć uległ zmianie.

W lipcu, jakiś miesiąc po tym, jak skończyłam studia, Jonathan stwierdził, że musi wyjechać na dwa tygodnie do Chicago. W interesach.

– Chciałbym, żebyś pojechała ze mną – powiedział. – Niedobrze byłoby teraz stracić impet. A poza tym nie chcę się tyle czasu bez tego obywać.

Kłęczałam akurat przed nim z plecami wygiętymi w łuk. Posłusznie odpowiedziałam, że dowiem się, czy dadzą mi wolne w pracy. Prawdę mówiąc, uważałam, że to kiepski pomysł. Chicago w sierpniu. Pewnie pozwoliłby mi kilka godzin pokręcić się po Instytucie Sztuki, żeby pokojówka mogła posprzątać pokój, ale potem musiałabym Bóg wie jak długo czekać na kolanach, aż wróci cały spięty i zestresowany, z objawami japiszońskiego pracoholizmu, w poluzowanym krawacie, szelkach i przepoconej koszuli typu oxford.

Pomyślałam, że może wynajmie kogoś, żeby mnie krępował na godzinę przed jego powrotem (bo zawsze będzie wracał co najmniej godzinę później, niż zamierzał).

W szczegółach pomysł wydał mi się beznadziejny. Odkryłam jednak, że pociąga mnie w formie abstrakcyjnej.

Podniecało mnie czyste uprzedmiotowienie, instrumentalizm sytuacji. Dlaczegoż by Jonathan nie miał zabrać ze sobą niewolnicy? Po co komu niewolnica, jeśli nie może się w nią wbić, kiedy jest napalony, zestresowany i wyczerpany.

Pomyślałam, że może uda mi się wziąć wolne. To była jedna z zalet pracy kuriera. Obiecałam, że spróbuję.

Jonathan przejechał ręką po moich piersiach i ramionach i leciutko pocałował mnie w czoło.

– Rozbierz mnie – wyszeptał.

Zaczęłam od butów i tak jak mnie nauczył, rozsznurowałam je zębami. Pomógł mi, zdejmując koszulę i rozpinając rozporek. Byliśmy bardzo podnieceni. Zrozumiałam, że oboje wyobrażamy sobie tę podróż, choć nigdy nie dowiedziałam się, czy nasze fantazje się ze sobą pokrywały. Wszystko odbywało się bardzo powoli, jakbyśmy już byli spoceni i otaczało nas ciężkie, wilgotne powietrze (mimo że w rzeczywistości na zewnątrz było zaledwie dziesięć stopni Celsjusza – szare lato w San Francisco). Ssałam go, przesuwając w ustach jego jaja, a on w tym czasie gładził mnie po twarzy.

W końcu oderwał się ode mnie i kazał wybrać pejcz z szafki. Wisiało tam na hakach kilka rodzajów. Jak we śnie wybrałam grubszą z dwóch nahajek. Miała na końcach supły.

Dlaczego wybrałam akurat tę? Może chciałam, żeby mnie bardziej bolało, a może wiedziałam, że tę Jonathan lubił bardziej. Może wreszcie (i tak właśnie to pamiętam) pomyślałam po prostu, że ta jest ładniejsza. Wręczyłam mu ją w milczeniu, a on trzepnął mnie nią lekko po piersiach.

– Nie musisz liczyć – powiedział.

Pokiwałam głową. Zrozumiałam, co to znaczy. Nie musi słyszeć mojego głosu, żeby się zorientować, że mam już dość. Będzie widział.

Skuł mi ręce nad głową i zaczął chłostać niemal w rozmarzeniu z przodu i z tyłu, od kolan aż po ramiona. Miałam wrażenie, jakby kłuło mnie naraz milion maleńkich żadełek.

Sapałam i jęczałam, starając się nie odrywać od niego wzroku. Patrzyłam na jego uda, na mięśnie przedramion, usta, pięknego, zaczerwienionego kutasa w erekcji, z elegancko zarysowanymi żyłami, wyraźnie pobudzonego. Gdy odpiął mnie, osunęłam się na niego, a on uniósł mnie do góry. Oplotłam go w pasie nogami, z pożądliwą niecierpliwością próbując nabić się na jego twardego fal usa. Nie mogłam znieść ani chwili dłużej, nie mając go w sobie. Wiedziałam, że nie powinnam zachowywać się tak agresywnie, ale nic mnie to nie obchodziło. Miałam świadomość, że Jonathan też chce znaleźć się wewnątrz mnie. Usadził nas na fotelu i zaczął mnie przesuwać w górę i w dół. Dłonie na moich płonących pośladkach, usta na szyi i piersiach. Zdaje się, że poczułam jego zęby.

Później, kiedy już oboje doszliśmy, usta Jonathana nadal przesuwały się po mojej twarzy i szyi, a ja odwzajemniałam jego pocałunki z taką samą pożądliwością i wściekłością. Oboje co chwila uderzaliśmy zębami w kości szczęki, jakbyśmy chcieli pożreć się żywcem, jakby całe to bicie i pieprzenie nam nie wystarczało i jakbyśmy nie wiedzieli, czego można chcieć jeszcze. Siedziałam mu na kolanach, dopóki oboje nie odzyskaliśmy oddechu, a potem ześlizgnęłam się. Jonathan wstał i znowu zaczęliśmy się nawzajem pożerać, najpierw ja jego, potem on mnie, póki siły nie wróciły nam na tyle, żeby znów móc się pieprzyć, tym razem jednak na łóżku – „Raz na jakiś czas możemy to zrobić wygodnie” – stwierdził Jonathan, prowadząc mnie po schodach na górę. Na koniec zdrzemnęliśmy się trochę, a kiedy się obudziliśmy, odpiął mi obrozę i odprawił. Ruszyłam więc na podbój lodówki, po czym poszłam spać do swojego pokoiku na końcu korytarza.

Nigdy jednak nie pojechałam z nim do Chicago. Następnego dnia pożeglowałam do pracy, czując się jak Scarlet O'Hara po scenie, w której Rhet przemocą wnosił ją na schody. Z lubością odgrywałam w myślach co pikantniejsze szczegóły i zachichotałam, kiedy przypomniało mi się, jak Jonathan nalegał, żebyśmy za drugim razem pieprzyli się w jego łóżku. Zdaje się, że to była taka nasza prywatna scena na schodach.

Ale potem dotarłam do pracy i o wszystkim zapomniałam. Bo panowało tam istne pandemonium.

Jeden z najbardziej niezawodnych kurierów poprzedniego dnia został ranny, a ktoś inny odszedł.

Dlatego naprawdę musiałam się sprężyć. A kiedy w końcu udało mi się spytać o wolne, powiedziano mi, że brakuje ludzi, a poza tym za krótko pracuję. Byłam zawiedziona i bałam się, co powie Jonathan. Słusznie zresztą. Kiedy mu powiedziałam, że nie dam rady pojechać do Chicago, nie odezwał się, ale oczy mu spochmurniały, a szczeka zadrgała. I cała duszna atmosfera miodowego miesiąca uleciała, a w pokoju zrobiło się lodowato.

– To nie twoja wina – powiedział tylko, ale w moich uszach zabrzmiało to, jakby mówił: „Chciałbym, żeby to była twoja wina, żeby spuścić ci lanie, jakiego świat nie widział”.

Oczywiście i tak znalazł powód, żeby mnie wychłostać. W końcu nie było to takie trudne, skoro sam ustalał zasady. Nasze relacje stały się bardzo oficjalne i znów było niemal tak jak na początku.

Tym razem jednak to nie mój brak doświadczenia był przyczyną trudności, tylko sama nasza umowa – emocjonalne wyzwanie, jakie stanowiło ciągłe kursowanie między prawdziwym życiem a tym, co się działo w gabinecie Jonathana. Potraktowałam to bardzo poważnie. Myślę, że Jonathan miał nadzieję, że zdecyduję się rzucić pracę, ja jednak wcale nie zamierzałam tego robić, a on nie zamierzał mnie o to prosić. Dlatego przez cały następny tydzień, dopóki nie wyjechał do Chicago, trudno powiedzieć, żebyśmy się dobrze bawili. Nadal do niego przychodziłam, wystawiałam się na nieustanną krytykę i bicie, mnóstwo czasu spędzałam z klamerkami na sutkach, co sprawiało mi ból, ale poza chłodnym, bolesnym seksem analnym nie miałam na co liczyć. I owszem, przełknęłam to bez mrugnięcia okiem. Będzie się zachowywał inaczej, myślałam ze stoickim spokojem, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota.

Na jedną rzecz za to zupełnie nie byłam przygotowana, a mianowicie, że po jego wyjeździe będę cały czas napalona. Planowałam dużo wypoczywać, przeczytać tych kilka książek, co to udawałam, że już je znam, i tym podobne. Tymczasem okazało się, że przysypiam nad książkami i budzę się z ręką w cipie. Dobra, myślałam, jest, jak jest, Jonathan przecież niebawem wróci. Ale przestałam czuć się dłużej „obolała, wyczerpana i przerżnięta”

i brakowało mi tego. Więc cóż, zaczęłam się rozglądać dookoła.

I znalazłam Kevina. Choć chyba bliższe prawdy będzie stwierdzenie, że to on znalazł mnie. Od kilku tygodni majaczył gdzieś na obrzeżach mojego pola widzenia. I gdybym się chwilę zastanowiła – czego nie zrobiłam – zauważyłabym, że usilnie próbuje znaleźć się w jego centrum. Kręcił się w holu budynku, do którego dostarczałam ostatnio mnóstwo przesyłek. Była to dość szykownie zmodernizowana ceglana fabryka kawy, w której teraz rezydowali programiści. Kevin robił coś przy klimatyzacji – majstrował przy przewodach. Mówił mi co, ale zapamiętałam tylko, że dobrze mu płacili i że był członkiem związku kotlarzy. Tak więc przez kilka tygodni migał mi wciąż w pięknym marmurowym holu w stylu retro. Nosił podarty kombinezon z całą masą cudownych, pomysłowo zrobionych dziur, a pod nim jasnoniebieską bieliznę narciarską. Miał błękitne oczy, różowe policzki i piękną chłopięcą twarz pod włożoną tył na przód bejsbolówką, spod której wysuwały się kosmyki włosów w kolorze popielatego blondu. Z jakiegoś powodu zwróciłam też uwagę na jego buty, zakurzone robocze trzewiki w stylu L'il Abnera, które wyglądały, jakby miały wzmacniane noski. Może to Jonathan zaraził mnie swoją obsesją.

Gdy człowiek regularnie porusza się w pracy tymi samymi ścieżkami, spotyka ludzi, do których widoku się przyzwyczaja i do których na wpeł świadomie się uśmiecha – recepcjonistki, bezdomnych czy sprzedawców kwiatów. Kevin stał się częścią tła w mojej pracy i była to, muszę przyznać, jedna z części najładniejszych, wciąż jednak schowana na drugim planie. Rzecz w tym, że plan pierwszy zajmował Jonathan.

Aż niespodziewanie Jonathan zniknął, a ja byłam napalona i miałam wrażenie, jakby nagle otworzyły mi się oczy na świat. Boże, pomyślałam któregoś dnia już w połowie pierwszego tygodnia, czy ten słodki facet w bejsbolówce w ogóle cokolwiek tu robi? Jak to możliwe, że zawsze kręci się w pobliżu, kiedy przychodzę? Och. Co za przenikliwość, Carrie. A zresztą co mi tam.

– Cześć – powiedziałam.

Punkt za błyskotliwość. Okazało się jednak, że ta wcale nie była potrzebna. Blondyn pojechał ze mną windą na górę. Po drodze spytał, jak się nazywam, i sam się przedstawił, ja zaś uświadomiłam sobie, jaki jest przystojny i jakie to zadziwiające, że przez te wszystkie tygodnie w ogóle nie zwracałam na niego uwagi. Zawsze pociągali mnie chłopcy tacy jak on – sprawiali, że czułam się jak niezgrabna, erotycznie wygłodniała prostytutka.

Byłam odrobinę rozczarowana, że nie zatrzymał windy między piętrami – czyżby nie wszyscy ci techniczni faceci z pękiem wszelkiego rodzaju kluczy wiedzieli, jak to się robi? Najwyraźniej Kevin nie wiedział albo nie miał ochoty tego robić. Sam zachowywał się jak niezdarny prostak – i wtedy za pierwszym razem w windzie, i przy każdym następnym spotkaniu. Do piątku jednak zdążył mnie zaprosić do siebie na kolację.

– To naprawdę fatalny pomysł – powtarzał z naciskiem Stuart w piątek wieczorem. – Sukienka jest super, ale powinniśmy raczej pójść gdzieś potańczyć czy coś. Ta kolacja to będzie niewypał.

Sukienka rzeczywiście była super – z lejącego się jedwabiu w kwiaty, z przodu zapinana na guziki. Prawdziwy skarb znaleziony w sklepie z używaną odzieżą. Cudownie wyglądała ze skarpetkami i wojskowymi butami. Świetnie się bawiłam, ubierając na randkę.

– Do diabła, dlaczego miałabym tego nie robić? – spytałam. – Jonathan nie zabronił mi się pieprzyć z innymi.

Powiedział tylko, że nie będę chciała. Poza tym może wcale nie będę się z nim pieprzyć.

– Akurat – odparł Stuart. – Od tygodnia ślinisz się na myśl o tym gościu. Wskoczysz mu do łóżka i będziesz żałowała. Co za głupi pomysł. Myślisz, że nie zauważy śladów bicia na tyłku?

– Coś wymyśle.

I faktycznie wymyśliłam.

Kolacja była naprawdę w porządku – Kevin poskładał ją do kupy z produktów kupionych w modnym sklepie z włoskim żarciem – więc ledwo udawało nam się podtrzymać rozmowę. Jego praca. Moja. Kable i przewody. Było za to dużo patrzenia sobie w oczy i mnóstwo przypadkowych muśnieć, kiedy sięgaliśmy po chleb czy wino.

Panowała urocza atmosfera zażenowania i podniecenia, poczucie, że coś się wydarzy.

Kevin mieszkał z dala od centrum, nieopodal Ocean Beach, na jednej z tych cudownie zwyczajnych uliczek, które pachną oceanem i wyglądają, jakby wiecznie rozmazywała je gęsta mgła. Po kolacji poszliśmy na spacer po plaży, odmroziliśmy sobie tyłki i roześmiani biegiem wróciliśmy do domu, ściągając po drodze wszystkie swetry, które na siebie powkładaliśmy. Zdaje się, że chciał sięgnąć po moją dłoń, ale ja miałam lepszy pomysł. O ile tylko uda mi się wyczuć odpowiedni moment. Dobra, Carrie, trzy, cztery. . Dajesz.

– Zdejmij z siebie wszystko – powiedziałam spokojnie, choć głos, który z siebie wydobyłam, był o oktawę wyższy niż zwykle.

Kevin był tak zaskoczony, że zyskałam minutę, by odzyskać oddech i przywrócić głosowi zwykłe brzmienie.

Usadowiłam się na kanapie, założyłam nogę na nogę i ze spokojem rozpięłam guziki ostatniego swetra.

– Słyszałeś, co powiedziałam – ciągnęłam (dużo lepiej). – Chcę na ciebie popatrzeć. Na całego ciebie.

Przez krótką szaloną chwilę myślałam, że mnie udusi. Przed oczami przemknęły mi sceny z W poszukiwaniu idealnego kochanka. Ale nie. Stał skamieniały, a ja patrzyłam w jego rozszerzone, zaszklone oczy i na szeroko otwarte usta. Znałam ten wyraz twarzy – Jonathan kazał mi czasami spoglądać w lustro, kiedy posuwał mnie w dupę; sprawiało mu to przyjemność. Wreszcie po chwili Kevin zaczął powoli rozpinąć koszulę.

– No dalej – powiedziałam z nutą zniecierpliwienia.

I rzeczywiście przyspieszył. Poczulałam nagłe poruszenie – rany, nie ma to jak władza.

Pomyślałam, że dam radę. Co wy tam wiecie?

Pasek jednak rozpinął stanowczo za długo. Może ręce mu się trzęsły albo były spocone.

Zastanawiałam się, jak go pospieszyć

– Ale z ciebie niezdar – stwierdziłam. – Chodź tutaj. Zostaw to na chwilę.

Wyciągnęłam stary wojskowy pasek ze szlufek i zaczęłam się nim bawić. Złożyłam go na pół i leciutko uderzyłam nim w dłoń. Kevin spojrzał na moje ręce i szybko, a nawet z pewnym lękiem pozbył się reszty ubrań.

– Buty i skarpetki też zdejmij – rozkazałam.

I oto stał przede mną – jasnowłosy, niebieskooki, z różowymi policzkami, małym, rozkosznie okrągłym tyłeczkiem, złotym puszkim na szerokich barach i monstualną chłopięcą erekcją.

Patrzyłam na nią wygłodniałym wzrokiem, a Kevin patrzył na mnie, jakby chciał się zapaść pod ziemię.

– Całkiem nieźle, prawda? – spytałam. (Jezu, dziewczyno, nie możesz wyluzować choć na chwilę? Scena musi się rozwijać, tak? Nigdy bym cię o to nie podejrzewała). W milczeniu pokiwał głową.

– Mam na imię Carrie – powiedziałam. – Wiesz o tym. Możesz się do mnie odzywać, jeśli masz ochotę. Ja będę cię nazywała, hm... Lucky.

Sprawał wrażenie, jakby nie łapał, o co chodzi, a ja zastanawiałam się, dlaczego zdecydowałam się dorzucić jeszcze tę niepotrzebną część snobistycznego okrucieństwa.

Pewnego dnia, pomyślałam, żona albo dziewczyna wyciągnie go do teatru na Czekając na Godota i chłopak będzie miał zrujnowany cały wieczór. Albo i cały tydzień.

Moje okrucieństwo brało się prawdopodobnie stąd, że byłam straszliwie zdenerwowana i bałam się, że wszystko zepsuje.

– Uklęknij przede mną, Lucky – rozkazałam.

A kiedy usłuchał, zrobiłam pętlę z paska i założyłam mu go na szyję, jakby to była smycz. W drugą dłoń chwyciłam jego włosy i odchyliłam głowę tak, żebym go mogła pocałować. Smakował słodko.

Była to poniekąd zasługa wina, które wypiliśmy, ale poza tym taki po prostu miał smak.

Zdjęłam mu pasek z szyi, wciąż jednak trzymałam unieruchomioną głowę, patrząc mu w oczy.

Wyglądał, jakby był zahipnotyzowany.

– Rozepnij mi sukienkę – powiedziałam.

Sukienka była zapinana na dwa tuziny staroświeckich metalowych guziczków. Kevin sięgnął po

najwyższy, a ja trzasnęłam go paskiem w tyłek.

– Zębami.

Rozpinanie guzików zębami wcale nie jest proste, wiecie? Ale Kevin poradził sobie nad podziw dobrze – dotarł aż do pasa, podczas gdy ja głaskałam go po głowie i wymierzałam leciutkie klapsy w tyłek. Nagle jednak pomyślałam, że mógłby mnie ugryźć z frustracji, dlatego kilka następnych guzików szybko rozpięłam sama.

– Zdejmij mi majtki – ciągnęłam. – Pozwalam ci do tego użyć rąk. Ale najpierw masz mi podziękować.

Myślę, że najtrudniejsze jest mówienie. Bo angażuje w tę grę umysł, świadomość i sprawia, że człowiek musi przyznać sam przed sobą, że to właśnie on znosi wszystkie te poniżenia, a nie po prostu jego durne zwierzęce ciało.

Kevin spojrzał na mnie z udreką, kilka razy otworzył i zamknął usta, aż wreszcie wymamrotał „dziękuję” tak nieszczęśliwym głosem, że nie miałam serca, żeby kazać mu dodać „Carrie”.

Szybko zdjął mi majtki, a ja przyciągnęłam jego twarz do cipy. Zaczął mnie lizać i skubać i pomyślałam, że robi to naprawdę znakomicie. Poczułam, że się rozluźniam, że mogę odpocząć od tego całego reżyserowania. Och, pysznie, pomyślałam. Ale to nie była prawda. Facet wyraźnie czuł się wykiwany. Zwłaszcza że kazać mu mówić, straszliwie go upokorzyłam i teraz chciał nagrody.

Dlatego uniósł głowę i spojrzał na mnie zagniewanym wzrokiem. A ja nagle zdałam sobie sprawę, że jest naprawdę bardzo silny i że wcale nie mam ochoty dalej kusić losu.

Poza tym – czy też przede wszystkim – musiałam przyznać, że strasznie ciężko było utrzymać tę maszynę zdarzeń w ruchu, a moja inwencja była na wyczerpaniu.

– Dobra, Kevin – powiedziałam przyjaźnie – a teraz coś dla ciebie. – I wślizgnęłam mu się między nogi.

Łapczywie wciągnęłam jego kutasa, który – jeśli to możliwe – uniósł się jeszcze bardziej.

Przypuszczam, że nie potrafiłabym sobie z nim poradzić, gdyby nie to, że Jonathan był aż tak zbzikowany na punkcie wpychania mi swojego utra głęboko w gardło. I nie sądzę, żeby Kevin zamierzał spuszczać mi się do buzi – podejrzewam, że nie należał do chłopaków, którzy robią takie rzeczy na pierwszej randce. Tylko że nigdy wcześniej nie był na randce takiej jak ta i naprawdę nie potrafił nad sobą zapanować. Dochodził i dochodził, płamiąc wszystko, jego nasienie ściekało mi po brodzie. Pomyślałam, że sobie na to zasłużył, i w sumie cieszyłam się, że mogę wyświadczyć mu tę przysługę.

Po tym wszystkim był wykończony. Skorzystał z tego, żeby przekręcić się na bok i przez jakiś czas nie musieć na mnie patrzeć. W końcu przysunęłam się do niego i nieśmiało pogładziłam go po głowie.

– Nienawidzisz mnie? – spytałam.

Odwrócił się do mnie, więc mogłam się przekonać, że w zasadzie nic mu nie jest.

Przed chwilą miał właśnie kosmiczny orgazm, co pewnie jakoś pomogło. Przejechał palcem po białym osadzie z zaschniętej spermy na moim podbródku. Sprawiał wrażenie absurdalnie dumnego z siebie.

– Nie – odpowiedział. – Ale z pewnością jesteś dziwna, Carrie. Zawsze tak to robisz? Paradujesz w lateksowej bieliźnie?

Co miałam mu powiedzieć? Pomyślałam, że zasługuje na to, żeby poznać prawdę. Dlatego zapoznałam go, no cóż, z pewną jej wersją – skróconą, w stylu „Reader’s Digest”.

Zacząłam od czegoś w rodzaju: „Wiesz, jest taki gość, Jonathan, i czasami przychodzę do niego do domu. .”, a potem opowiedziałam mu naszą historię w wersji okrojonej, takiej, jaką uznałam za stosowną.

Pokazałam mu jednak ślady na tyłku, co wzbudziło w nim spory podziw.

A na koniec jego twarz przybrała naprawdę przedziwny wyraz. Zrobił głęboki wdech i powiedział:

– A pieprzyć to. Właściwie też powinienem ci się do czegoś przyznać.

Wstał i zniknął na kilka minut. A kiedy się pojawił z powrotem, miał ze sobą kajdanki.

– Trzymam je w sypialni – powiedział. – W szufladzie nocnego stolika. Jakiś rok temu zwinąłem je wujowi. To policjant, jest już na emeryturze, a ja zauważyłem je u niego w biurku i... Oj, no wiesz, w telewizji, w Prawnikach z Miasta Aniołów i tego typu filmach ludzie zawsze używają kajdanek. Tak sobie wyobrażałem naprawdę wyrafinowany seks. I pomyślałem, że może mógłbym skorzystać z nich z tobą. No wiesz, cały tydzień się napalałem, wyobrażając sobie ciebie przykutą do łóżka. Choć nie wiem, czy faktycznie bym się na to odważył.

Cóż, musiałam przyznać, że pewne rzeczy dobrze zrozumiał. Przynajmniej w ogólnych zarysach.

Bo jeśli chodzi o szczegóły, trafił jak kulą w płot. Kajdanki – ten element gejowskiej fantasmagori spod znaku Mr. Bensona i Folsom Street, który przedostał się do mainstreamowych wyobrażeń na temat wymyślnego seksu – nigdy nie wydawały mi się pociągające. Może dlatego, że w przeciwieństwie do wielu ludzi w dzieciństwie nigdy nie uważałam policjantów za przyjaciół czy wrogów. Zresztą nieważne

– dla mnie zawsze będą się liczyły tylko obroże, gorsety, szpicruty i szpilki. Ale Kevin najwyraźniej uważał, że wszystko kręci się wokół kajdanek, a kimże byłam ja, żeby go krytykować?

– To naprawdę musi boleć – powiedziałam uprzejmie, wodząc palcem po wnętrzu.

– O tak – potwierdził skwapliwie i nieco się zaczerwienił.

Domyśliłam się, że je wypróbował. Pocałowałam go w szyję, przytuliłam się do niego i po chwili zaczęliśmy się obściskować. Tak w każdym razie moglibyście to nazwać. I owszem, spełniło się jego życzenie. Triumfalnie zaniósł mnie do łóżka, przykuł do zagłówka i mogę zaświadczyć, że od kajdanek naprawdę bolą nadgarstki. On jednak był przeschęśliwy i grzecznie użył gumki. Na całe szczęście, bo prawda jest taka, że wcale na to nie nalegałam, niezbyt dobrze wszystko to przemyślawszy. W każdym razie nawet mimo skutych kajdankami rąk podobało mi się, kiedy był we mnie. Poza tym uznałam, że jestem mu to winna za Lucky'ego. I za to, że pomógł mi dowiedzieć się czegoś o sobie samej. Nawet jeśli było to coś równie głupiego i oczywistego jak fakt, że zupełnie nie nadaję się na dominę.

Cóż, moja nieporadna przygoda z Kevinem sprawiła przynajmniej, że przestałam być tak napalona, i nawet udało mi się przeczytać kilka książek. Cieszyłam się ostatnimi dniami wakacji i równocześnie z niecierpliwością czekałam na powrót Jonathana. To, że okazałam się tak nieudolna, próbując odegrać jego rolę, sprawiło, że zaczęłam patrzeć na niego w inny sposób i bardziej go doceniać. Przypomniałam sobie wieczór, kiedy się poznaliśmy. Powiedział wtedy, że byłabym dobra w SM. Przypomniałam sobie też, jak ze spokojem przekonywał mnie, że on jest w tym dobry.

Uświadomiłam sobie, że miał rację. Naprawdę był dobry. Nie mogłam się doczekać, aż wróci i znów będziemy mogli zagrać w naszą grę.

W sobotę, w dzień jego powrotu, pani Branden ubrała mnie w gorset, tym razem czarny, niewiarygodnie mocno ściągając sznurówki. Gdy Jonathan wszedł do pokoju, odczepił smycz od mojej obroży.

– Wstań – powiedział. – Niech ci się przyjrzę.

Stałam nieruchomo, tak samo jak on, kiedy patrzył. Był blady, sprawiał wrażenie zmęczonego, wręcz wycieńczonego. I był równie piękny jak zawsze. A nawet piękniejszy, choć z drugiej strony zawsze najbardziej mi się podobał, kiedy wyglądał na zestresowanego. Wreszcie bez słowa wsunął palec w zaczepek przy mojej obroży, a drugą ręką z całej siły wymierzył mi policzek.

Cofnął się i splótł ręce na piersiach. Nie wydawał się tak zły, jakby wskazywało na to uderzenie w twarz.

Sprawił raczej wrażenie nieco wyprowadzonego z równowagi.

– To pewnie był chłopak – powiedział z namysłem. – Dziewczyna byłaby wprawdzie ciekawsza, ale to był chłopak, prawda, Carrie? Jakiego rodzaju? Kurier tak jak ty czy raczej jakiś punkowy poeta? A może dwa w jednym? Z kolczykiem w nosie albo czymś w tym stylu. No mów.

Skąd, do cholery, wiedział? Przecież nie było śladów ani nic z tych rzeczy. Kurczę, wciąż miałam ślady po nim.

Podejrzewam jednak, że musiałam wyglądać inaczej. Może jak na ironię chodziło o wdzięczność wobec niego, o przyjemność, jaką sprawiała mi jego kontrola. Musiał zauważyć, że inaczej na niego patrzę, że w moim zachowaniu pojawił się jakiś spokój, emocjonalna obojętność, dzięki której mogłam czuć tę nową rozkosz. Musiał się zorientować, że nastąpiło niewielkie zachwianie równowagi, że przestał być całym moim erotycznym światem.

Różnica była subtelna, ale przecież takie właśnie są najważniejsze, prawda? I z nimi zawsze zdradza się człowiek, jeśli nie potrafi kłamać ani dochowywać tajemnicy tak jak ja.

– Mam przyjaciółkę – ciągnął Jonathan. – Jest geniuszem dyscypliny. Ma troje niewolników, uwielbiają ją.

Grywa z nimi w pokera. Siedzą nadzy na jedwabnych poduszkach, a ona karze ich bardzo surowo, jeśli tylko oni albo ich ciała zdradzą się z kartami. Wspaniała metoda. Może kiedyś cię do niej zabiorę. Taką jak ty obdarłaby żywcem ze skóry.

Znowu mnie spoliczkował.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Chłopak czy dziewczyna?

Miał rację, że przez przerwę w spotkaniach stracimy impet. Dwa tygodnie z dala od niego sprawiły, że wszystko wydawało mi się dziwniejsze niż przedtem. Czyżby jego prawo do mnie naprawdę obejmowało czytanie w myślach?

Teraz, po jego powrocie, nie byłam tego już taka pewna. W każdym razie skoro nie chciał, żebym się pieprzyła z innymi, mógł mi o tym powiedzieć, a nie liczyć na to, że przemówienie w stylu macho o tym, jak to nikogo nie będę potrzebowała, wystarczy.

Użyliśmy z Kevinem gumki – zapewniłam go w myślach z przekonaniem, zapominając, że mogliśmy



tego nie zrobić, gdyby to ode mnie zależało – więc w czym problem? Jonathan naprawdę potrafił być czasami męczący.

– To mógł być mężczyzna albo kobieta, nie tylko chłopak albo dziewczyna, Jonathanie – powiedziałam powoli i zdecydowanie. – Ale to był chłopak. Zrobił głęboki wdech, odwrócił się do mnie plecami i przez chwilę patrzył w okno. Kiedy znów na mnie spojrzał, zobaczyłam, że na jego twarz wrócił stary grymas ironii.

– Jestem naprawdę zbyt zmęczony, żeby myśleć szybko – powiedział – ale ty na szczęście mi to ułatwiasz. Nie poprawiaj sposobu, w jaki do ciebie mówię. Nigdy. Weź trzcinkę. Dostaniesz piętnaście batów, a potem zastanowię się, co dalej.

Zbił mnie bez krzty litości, a ja nawet nie próbowałam powstrzymywać płaczu. Po wszystkim spiorunował mnie wzrokiem – łkałam i pociągałam nosem.

– Na kolana. I zamknij się – powiedział znużonym głosem.

A kiedy zobaczył, jak bardzo staram się uspokoić, zaczął ostrożnie: – Kto to taki?

Co mogłam powiedzieć? Tylko prawdę.

– To... robotnik budowlany, Jonathanie.

– No tak, budynki w centrum – pokiwał głową. – Powinienem się domyślić. Ale nie wyobrażam sobie, żeby był w typie mięśniaka. Pewnie raczej milusi chłopaczek do przytulania, mam rację?

– Tak, Jonathanie – wyszeptalam.

– No cóż, nie powiedziałem nie – stwierdził – więc tak naprawdę wcale się nie dziwię, że to zrobiłaś. Przyszedłby tutaj? Mógłby mi się spodobać?

Ponieważ nawet przez myśl mi nie przeszła żadna z tych możliwości, musiałam się przez chwilę poważnie zastanowić. Przypomniałam sobie okrągły tyłeczek Kevina i jego słodką buzię, a potem zraniony, oburzony wyraz twarzy. Odpowiedź była oczywista, ale nadanie jej prostej, logicznej formy wymagało nieco wysiłku.

– Tak, Jonathanie, myślę, że uznałbyś go za pociągającego. I nie, nigdy by tu nie przyszedł. –Zdanie logiczne: pi nie q.

Wydawał się nieco urażony tym „nigdy”.

– Wyłącznie miła i czysta zabawa, co? Żadnych brzydkich, strasznych rzeczy. Pewnie ciebie i tego twojego Boba Budowniczego bawią tylko przytulanki i rżnięcie.

Nie mógłby już odpuścić? Nie, oczywiście, że nie. W tym cała rzecz. Wprawdzie mogłam pieprzyć się z kimś innym, ale wszelkie prawa należały do niego. To właśnie dawał mi boleśnie do zrozumienia.

– Hm, właściwie. . – grałam na zwłokę.

Popatrzył na mnie ostro, uważnie.

– „Właściwie niezupełnie, Jonathanie”, zdaje się, że właśnie usłyszałam coś w tym rodzaju. Może zatem była to mała perwersyjka z Bobem, Samem czy jak mu tam. W każdym razie robi się ciekawie. Może nawet zabawnie. Nie wierzę, że mogłabyś mnie rozczarować, Carrie.

Otworzył szufladę, wyciągnął folię aluminiową z haszyszem i małą fajkę. Zapalił, zaciągnął się, a potem przekazał ją mi. Potulnie wzięłam małego bucha.

– Mam za sobą męczące, wyczerpujące dwa tygodnie i zero rozrywki, jeśli nie liczyć starej Niny Hartley na płatnym kanale w hotelu – powiedział Jonathan. – Dlatego potrzebuję właśnie tego.

Niegrzecznej opowieści. Od takiej wytrawnej gawędziarki jak ty. Bo choć nie pozwalam ci za wiele mówić, zabawnie jest mieć świadomość, że jesteś niezłą gawędziarką. Więc mów do mnie.

Opowiedz mi historię o Carrie i jej Bobie Budowniczym. I pamiętaj, że nie jestem aż tak zmęczony, żeby nie móc cię oćwiczyć, jeśli mi pożałujesz pikantnych szczegółów.

Usiadł i zaciągnął się fajką, jakby to były nargile, a on sam był małym rozpieszczonym sułtaniątkiem. Drugą ręką rozpiął rozporek i wyciągnął kutasa, który wprawdzie nie stał sztywno, ale wyglądał, jakby miał na to ochotę, gdy tylko Jonathan zaczął go pieścić. Znów podał mi fajkę, a ja tym razem zaciągnęłam się zdrowo. A potem usiadłam na piętach, wyprostowałam plecy i zaczęłam opowiadać. Szeherezada.

Zgodnie z oczekiwaniem nie skąpiłam szczegółów. Ubarwiałam je wręcz, aranżowałam tak, żeby wydawały się ciekawsze niż w rzeczywistości. Kazałam Kevinowi rozpiąć mi wszystkie guziki sukienki zębami (słyszac to, Jonathan uniósł brew, ale pozwolił mi mówić dalej) i wiele energii twórczej włożyłam w opis jego gigantycznej erekcji i oceanu spermy.

Do licha, skoro Jonathan potraktował go tak protekcjonalnie, nazywając „Bobem czy Samem”, niech sobie teraz z tym radzi.

Skrzywił się odrobinę, ale jednocześnie bardzo go to kręciło, zdecydował się więc uznać ten fragment za zabawny. Zauważyłam, że naprawdę zdrowo się podniecił. Na pewno był to najdłuższy monolog, jaki udało mi się wygłosić pod jego dachem, i dźwięk własnego głosu (pływającego w oparach haszyszu)

unosił mnie wyżej niż latawiec.

Spowalniałam akcję, wtrącając coraz więcej szczegółów. Cieszyłam się, że mogę powiedzieć Jonathanowi o gumce – widziałam, że jest zadowolony – ale on czekał na pikantniejsze momenty. Robiłam więc, co mogłam. Ukradkiem zerknęłam na jego kutasa („kontakt wzrokowy, do cholery” – powiedział i wymierzył mi lekki policzek), zastanawiając się, czy dojdzie, zanim skończę opowieść, po czym per dnie zaczęłam dokładać starań, żeby tak właśnie się stało. Szybko się w tym połapał i zwolnił. A ponieważ miał nad sobą całkiem niezłą – choć nie doskonałą – kontrolę, doprowadziłam nas już prawie do sceny z kajdankami, kiedy w końcu chwycił zaczep przy obroży, przyciągnął moją głowę do swojego fiuta i doszedł głośno, roniąc ostatnie słowa opowieści.

Po tym wszystkim stosunki między nami uległy zmianie. I to, prawdę mówiąc, dość radykalnej.

Być może doszłoby do tego tak czy inaczej, nie wiem. W każdym razie na scenę, na której dotąd występowaliśmy tylko we dwoje, Jonathan zaczął wciągać cały zastęp drugoplanowych postaci.

Jedno popołudnie poświęcił, żeby nauczyć mnie, jak szybko i w atrakcyjny sposób założyć facetowi gumkę na kutasa – czułam się jak Gigi z cygarem Gastona – a potem zaczęli go odwiedzać goście.

Zdarzało się, że starzy kumple wpadali na późnego drinka i od niechcenia przekazywali mi sobie z rąk do rąk jak za dawnych czasów. Albo kazali mi się kłaść na podłodze i pieprzyli mnie we dwóch, wykorzystując równocześnie moje usta i cipę. Jeden z tych dynamicznych duetów okazał się tak dobrze zgrany, że z pewnością panowie musieli na studiach wiosłować w jednej osadzie.

Czasami moja i ich obecność wyglądała na szczęśliwy zbieg okoliczności – a rytuał przebiegał tak lekko, jakby przekazywanie sobie czyjegoś ciała z rąk do rąk było równie błahe jak otwarcie butelki szkockiej. Ale Jonathan lubił też bawić się w impresaria. Odgrywał wtedy cały wymyślny spektakl gospodarza zatroskanego o dobro gości. Uwielbiał na przykład ogłaszać, jaka to jestem wiecznie wilgotna, i mówić przyjaciółom, żeby nie martwili się moją cipką, bo nie mogą mnie zranić, skoro jestem tak rozochocona własnymi bezceństwami. Kazał mi wylewnie dziękować za to, co ze mną robili, a niekiedy sam dołączał do podziękowań, tłumacząc, że bardzo potrzebowałam, by ktoś mnie porządnie použíwał.

Oczywiście zastanawiałam się, czemu miała służyć ta farsa. Chodziło o mnie? Czyżby był to kolejny zestaw ćwiczeń w jego programie nauczania? Nowe wyzwania, nowe upokorzenia, o których myślałam, że ich nie zniosę, a potem okazywało się, że i owszem?

Czy chodziło o niego? Może od początku chciał się dzielić mną z innymi i tylko czekał, aż nauczę się w odpowiedni sposób otwierać swoje ciało. A może wkurzył go ten głupi wyskok z Kevinem i w ten sposób dawał mi do zrozumienia, że jestem dziwką? Jednak jego spokój i opanowanie nie pozwalały mi wierzyć, że obchodziły go moje przygody z mięśniakami o dużych utach i ślicznych buźkach.

Cokolwiek to było, wkrótce szaleńcze tempo tych rozrywek nieco się uspokoiło i nasza gra wróciła do stanu, który z sentymentem nazywałam „normalnością”. Co nie znaczy, że podobne sytuacje skończyły się raz na zawsze. Zdarzały się jednak rzadziej i były starannie zaplanowane, a jednocześnie łatwiejsze dla mnie do zaakceptowania jako coś, co go podnieca. Pewnego razu posłał mnie na górę, do jednego z pokoi gościnnych, z liścikiem (napisanym na grubym kremowym papierze), który miałam zanieść w ustach. Przed schowaniem do koperty pozwolił mi go przeczytać:

*Drogi wuju Harry!*

*Wszystkiego najlepszego z okazji 55. urodzin. Możesz zatrzymać Carrie tak długo, jak będziesz miał ochotę, i proszę, nie wahaj się użyć szpicruty, jeśli zajdzie taka potrzeba.*

*Serdeczne pozdrowienia Jon*

Kazał pani Branden zawiązać mi na wysokości żeber wielką białą satynową kokardę i wetknął szpicrutę w węzeł pod takim kątem, że pętelka przy rączce ocierała się o mój prawy sutek. Nie muszę chyba mówić, że pozwolenie, by jej użył, było dla wuja Harry’ego niczym zgoda na obniżenie podatków dla kapitalisty. Ale taki już był ten mój dobrze wychowany Jonathan – niezmiennie troskliwy siostrzeniec.

Czasami przyprowadzał do domu dziewczyny. Bez względu na to, jak miały na imię, ja zawsze nazywałam je w myślach Muf y. Sprawiały wrażenie, jakby były córkami tych dam, które czyniły honory domu na pokazach ujeżdżania. Być może pewnego dnia same zamienią się w podobne damy.

Były śliczne, smukłe, opalone i zawsze miały proste blond włosy do ramion. I większość z nich była tak okrutna, jak tylko możecie sobie wyobrazić – w porównaniu z nimi wuj Harry wydawał się wcieleniem łagodności.

Potrafiłam jednak zrozumieć, dlaczego tak się zachowywały. Spędziły właśnie absolutnie cudowny wieczór z facetem, który stanowił znakomitą partię (w dodatku był dowcipny, seksowny i dobrze się z nim bawiły), a on przyprowadzał je do domu i chciał, żeby na jego oczach kochały się z jego niewolnicą.

Oczywiście tak tego nie ujmował. Na początku miałam być tylko pieprzykiem, dodawać nieco pikanterii całej scenie, odgrywać rolę jeszcze jednego jęczyczka. To im pochlebiało i rozpalało wyobraźnię. W pewnej chwili jednak Jonathan się wycofywał i choć pozostawał grzeczny jak zawsze, nie sposób było nie zrozumieć przekazu: chciał patrzeć i chciał, żeby to, na co patrzy, było dobre.

Oczywiście wracał do gry w ostatniej rundzie, każąc mi zmykać, jakbym to ja napraszała się tu ze swoją chucią, a potem odstawiał bohaterski numer z obowiązkowym męskim bzykankiem. Tylko że wcale nie na tym mu zależało i one dobrze to wiedziały.

Dlatego wieczór kończył się tym, że dawały mi odczuć, co sądzą o podobnych zabawach. Jonathan pozwalał, żeby mnie karały, a one sumiennie wchodziły w rolę – robiły wszystko, żeby dowieść, że to ja zostałam wykorzystana, nie one.

Te sceny były dla mnie najtrudniejsze, i to wcale nie z powodu solidnego lania, tylko przebiegłej, popieprzonej manipulacji. Pamiętam pierwszy raz, kiedy zdałam sobie sprawę, że Jonathan zachowuje się jak sadysta, i jak głupio się poczułam, używając tego słowa w tych okolicznościach. Ale taka była prawda – tego, co było między nami, nie odbierałam jako sadyzmu, bo, jak sam mówił, zawarliśmy umowę. Z Muffinkami jednak żadnej umowy nie zawierał. A dostawały, delikatnie mówiąc, nie to, czego miały prawo się spodziewać – dostrzegałam w tym niepotrzebne okrucieństwo.

Dla nich to wcale nie była zabawa – wszyscy inni, którym Jonathan rzucał mnie w ramiona, zaspokajali czystą i prostą potrzebę władzy, tymczasem Muffinki tak naprawdę wcale nie chciały mojej obecności. Wolałabym, żeby mnie do tego nie zmuszał; pokazał mi cząstkę siebie, o której wolałabym nie wiedzieć.

To właśnie próbowałam wyjaśnić Stuartowi noc po tym, jak Jonathan powiedział mi o certyfikacie własności i aukcji. I choć Stuarta tak samo jak mnie fascynowała idea kupna i sprzedaży – a zwłaszcza góry forsy, którą można było na tym zarobić – to jednak serce mu się krajało na myśl o tym, że Jonathan postanowił mnie sprzedać.

– Myślałem, że w końcu zrozumie, że tak naprawdę zawsze kochał tylko ciebie – jęknął.

Stuart zupełnie stracił głowę dla Jonathana, kiedy w końcu udało mu się go zobaczyć.

Wybraliśmy się do Castro na Komediantów i czekaliśmy na rozpoczęcie seansu, bo uparłam się, żeby przyjść wcześniej i zająć dobre miejsca.

Kupowałam spokojnie popcorn, a organista kończył właśnie grać składankę kawałków Edith Piaf, przechodząc od Milorda do San Francisco, open your Golden Gate, kiedy zauważyłam z tyłu Jonathana. Wtedy właśnie wysłałam Stuarta, żeby wreszcie mógł mu się przyjrzeć. Jonathan siedział sam i coś czytał. Nawet nas nie zauważył.

– Tak, tak. I ożeni się ze mną. Jak pan Rochester, prawda? I wychowamy całą gromadkę małych zбочeńców.

Boże, Stu, czasami myślę, że ty się w nim zakochałeś. Na pewno nie ma bardziej oddanego i omdlewającego wielbiciela od ciebie. Zasługujesz na to, żeby potraktował cię jak Muffinkę.

– Udajesz, że nie ma problemu – odparł Stuart. – Chcesz mi wmówić, że weszłaś w to, bo taka z ciebie nieustraszona poszukiwaczka przygód? A nie było przypadkiem tak, że od pierwszej chwili marzył ci się cudowny romans? Przynajmniej dopóki nie poznałaś wuja Harry’ego, który, jak się zdaje, zupełnie odmienił twoje życie.

– Wuja Harry’ego i całego zastępu innych wujków – powiedziałam tonem przechwałki.

– I chyba wszystkich kumpli z korporacji na studiach. I pewnie paru spoza. No i jeszcze Muffy, Buffy i...

– Kubusia Ruchatka.

– Tak, Kubusia Ruchatka też. Rzecz w tym, że to naprawdę zmienia perspektywę. A w każdym razie z pewnością zmieniło moje wyobrażenie na temat tego, co mnie kręci. Myślę, że chodzi o głos.

Rozkazujący ton głosu. Jonathan jest w tym znakomity, ale właściwie wszyscy do pewnego stopnia potrafią się nim posługiwać.

– Z wyjątkiem Muffinek.

– To dlatego, że Jonathan zrobił im pranie mózgu. Doprowadził do sytuacji, w której nie mogły się domagać tego, czego chciały. Ale nawet im zdarzało się czasami uderzyć w odpowiedni ton. Zwykle przez przypadek. Próbuję ci powiedzieć, Stue, że usłyszałam w tym głosie transpersonalną jakość.

Jakby składał się z całego mnóstwa głosów.

Jakby przekraczał samego Jonathana.

Byłam przekonana, że to, co mówię, robi wrażenie, dopóki nie usłyszałam parsknięcia Stuarta.

– Daj spokój, Car – powiedział. – Nie wierzę ci. To znaczy rozumiem, że robienie tego z nimi wszystkimi na jego oczach może być podniecające. I pewnie czasami, kiedy go przy tym nie ma, każe ci potem opowiadać, prawda?

– Tak, czasami – przytaknęłam zniecierpliwiona. – O co ci chodzi?

– O to, że tu wciąż chodzi o niego – odparł. – Nieważne, czy robisz to z Muffinkami, wujem czy kim tam jeszcze. .

Nie wierzę, że nagle stało się to dla ciebie takie. . Co to było za słowo, którego użyłaś? Transgresyjne?

– Wiesz co, pieprz się – wykrzyknęłam bliska łez. – To moje cholerne życie i nie pozwolę, żeby wszystko kręciło się wokół kogoś, kto uprawia wymyślne okrucieństwo i równocześnie wiedzie elegancko uporządkowane życie.

I nawet nie musi się martwić o to, czy naprawdę jest bystry i utalentowany, czy tylko takiego udaje. Poza tym ma jakieś piętnaście lat więcej ode mnie – pamięta pewnie czasy zamachu na Kennedy’ego – jest bogaty, jest facetem i zadowolonym z siebie człowiekiem sukcesu. Przecież uczuciowy związek z kimś takim – gdyby w ogóle mi na tym zależało – byłby dużo bardziej niebezpieczny niż cała ta nasza gra! Więc wal się i...

Zamilkłam, zanim zdążyłam wypalić: „spróbuj sam coś przeżyć dla odmiany”, choć miałam to na końcu języka. Ale zważywszy na to, że przez cały rok tak lojalnie mnie wspierał, byłoby to zbyt okrutne i niesprawiedliwe. Nie mogłabym sobie tego potem wybaczyć. Zdaje się, że Stuart dobrze o tym wiedział, sądząc po spojrzeniu, jakim mnie obdarzył – zawstydzonym, pełnym wdzięczności i jednocześnie zupełnie poważnym.

– Dobra – sapnął. – W porządku. Facet zapewnił ci start, ale to twoje życie i twoja przygoda. A on po prostu za jakiś czas zniknie. Nie ma sprawy. Ale powiedz, nie jest ci z tego powodu nawet smutno?

– Zawsze zostanie nam Paryż – odparłam, odzyskując spokój. – Poza tym muszę wiedzieć, co będzie dalej. Tylko to się liczy.

– A co z nim? – spytał Stuart. – Dlaczego chce cię sprzedać? Znudził się?

– Możliwe – przytaknęłam. – Ale nie sądzę. Myślę, że to ma coś wspólnego z Pigmalionem. Chce, żebym stanęła na tym podium do licytacji, czy jak to się tam nazywa, i została uznana za najlepszy tyłek świata. Wszystko, co robi – począwszy od wyrwania mnie na imprezie, przez przemianę w niewolnicę, aż po pokazanie światu – to coś w rodzaju aktu estetycznego. Chce go zakończyć. No wiesz, ostatnie pociągnięcie pędzlem, zwieńczenie dzieła, te sprawy.

– I nie boisz się?

– Stuart – odparłam cierpliwie – ja się zawsze boję.

# Rozdział 3

## Profesjonalizm

Nie sądziłam, żeby Jonathan miał zamiar wyjaśnić mi w najbliższej przyszłości, o co chodzi w tym pomysle ze sprzedażą, i miałam rację. Przez następny tydzień czy dwa sprawy toczyły się dotychczasowym torem – zwyczajne życie w pornotopi. I wtedy nagle, w pewne późne sobotnie popołudnie, gdy pani Branden wprowadziła mnie do jego gabinetu, ujrzałam, jak Jonathan popija wino, śmieje się i rozmawia z najpiękniejszą kobietą, jaką zdarzyło mi się widzieć. Była mniej więcej w jego wieku i – co tu dużo gadać – była ideałem. Włosy w kolorze czerwonego złota obcięte równo na wysokości brody, proste do bólu, w kształcie doskonałego boba à la Louise Brooks.

Wielkie przejrzyście zielone oczy. Czarny lniany kostium – przylegająca do ciała marynarka, żadnej bluzki pod spodem, krótka obcisła spódniczka i niekończące się nogi. Zdecydowanie oryginalne buty, które musiały kosztować majątek. Krótkie, nieskazitelne, jaskrawoczerwone paznokcie. Małe mercedes, którego zauważyłam przed domem, też pewnie należał do niej. To nie była żadna Muffinka.

Wiedziałam z całą pewnością – w końcu pod pewnymi względami znałam Jonathana znakomicie – że zjedli razem cudowny, bardzo drogi obiad w wykwintnej restauracji, a potem przyjechali do domu i pieprzyli się w nieskończoność. Bez znaczenia, że wyglądała absolutnie nieskazitelnie, jakby godzinę temu urodziła się w tym kostiumie. Pieprzyli się wciąż i wciąż, po czym ona błyskawicznie doprowadziła się do idealnego porządku. Ten typ tak ma.

To z jej powodu Jonathan chciał mnie sprzedać? Cała moja brawura zaczęła chwiać się w posadach. Byłam wystraszona i zazdrosna. Staralam się wyglądać na całkowicie uległą i obojętną, tak jak powinnam, ale podejrzewam, że słabo mi to wychodziło.

Jonathan wziął smycz, odczepił ją, uwolnił moje spięte za plecami ręce i zrobił drobny gest, który doskonale zrozumiałam. Uklękłam i ucałowałam czubek buta kobiety (teraz już wiedziałam, jak radzić sobie ze szminką).

A potem wciąż na klęczkach zaczęłam gapić się na nią z głupią miną.

Jonathan odwrócił się do niej.

– I co myślisz?

Roześmiała się, ujęła mnie pod brodę i uniosła nieco, żeby móc mi spojrzeć w oczy.

– Chwileczkę – powiedziała.

Miała cudowny gardłowy głos, który w pewnych powieściach określa się mianem „elektryzującego”. Patrzyła na mnie surowo.

– Mój Boże, Jon. Ta mała dziwka myśli, że to ty jesteś jej własnością. Gdzie trzcinka? Wręczył jej trzcinkę, a ona smagneła mnie nią naprawdę boleśnie. Zaczęłam pojękiwać.

Wymierzyła mi policzek.

– Przestań – rozkazała i o dziwo natychmiast przestałam. – A teraz posłuchaj, Carrie – powiedziała z werwą. – Nie interesuje mnie, co myślisz na temat tego, co się tutaj dzieje, dlatego pokaż, proszę, że potrafi nad sobą panować, i nie okazuj niczego poza czystym pragnieniem posłuszeństwa. – Szturchnęła mnie końcem buta w cipę i roześmiała się niczym wiedźma. – A swoją drogą masz całkowitą rację. Rzeczywiście są za drogie. Nawet dla mnie. Idź, przynieś to. – Wskazała drewniany stołek w kącie. Był wysoki na jakieś trzydzieści centymetrów. – Postaw go tutaj – pokazała na środek pokoju – i stań na nim.

– Tak, proszę pani – odpowiedziałam.

– Pani Clarke – poprawiła mnie i znowu trzepnęła leciutko w pośladek.

– Tak, pani Clarke – odparłam posłusznie.

Och, Stuarcie, pomyślałam, skreśl wszystko, co mówiłam o głosie. Jest zupełnie inaczej, kiedy używa go ktoś taki jak ona. Szybko zrobiłam, co mi kazała, i wdrapałam się na stołek. Wstała bez pośpiechu i powoli obesła mnie dookoła, przyglądając się surowo i od czasu do czasu trącając mnie trzcinką. Próbowałam interpretować te szturchnięcia jako sygnały, że powinnam stanąć lepiej albo przybrać wdzięczniejszą postawę. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że wcale nie jest wysoka, może nawet nieco niższa niż przeciętna. Po prostu widząc ją, człowiek zakładał, że jest inaczej, bo miała tak silną osobowość.

Okropnie się jej bałam, toteż całą energię wkładałam w to, żeby stać spokojnie. Nie chciałam, by uznała, że Jonathan źle mnie wytrenował. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się to bardzo ważne.

Odłożyła trzcinkę, ścisnęła mi piersi i nastroszyła włosy łonowe. A potem włożyła dwa palce do ust i ruszyła nieco wargi. Drugą ręką to samo zrobiła z moimi wargami w cipie. Było mi na zmianę gorąco i słabo. Miałam ochotę szczytować, ale wiedziałam, że to by oznaczało haniebne naruszenie granic afektu. Skupiłam się na oddechu i na tym, żeby choć trochę opanować drżenie.

Puściła mnie i jeszcze raz obeszła dookoła.

– No cóż – powiedziała – jest dość ładna. Zaledwie ładna. Oczywiście doskonale wiesz, że nie jest żadną pięknoscią i że w ostatecznym rozrachunku za to właśnie chcą płacić. Wypada dość dobrze, choć widać wyraźnie, że to nowicjuszka. Mógłbyś ją przygotować do pokazu ujeżdżania, ale wiem, że to nie twoja bajka. Szkoda. Gdyby należała do mnie, założyłabym jej wędzidło i uzdę. Po prostu widać, że nie przeszła solidnego treningu. Także po jej postawie. Oczarowała cię inteligencją i za bardzo jej pofolgowałeś. Jakby była ukochaną córeczką tatusia. Skarbie, czyżbyś przechodził kryzys wieku średniego i chciał się zamienić w tatusia? Bo wszyscy wiemy, że śliczne dziewczyny ustawiają się do ciebie w kolejce. I każda byłaby gotowa tolerować twoje małe, powiedzmy, dziwactwa, gdyby tylko w zamian mogła wyjść za ciebie, zająć w ciążę i zawczasu zapisać dziecko do Presidio Hill School. Ale proszę, nie planuj takiej przyszłości dla Carrie, bo ona nie zatraciła jeszcze instynktu, jeśli chodzi o elegancki seks.

Dziewczyna ma możliwości, Jon, z tym się zgodzę. Cię zranionej niewinności – to się może spodobać. Poza tym ten uroczy tyłeczek w kształcie gruszki, na którym tak łatwo zostawić ślady, też pewnie cieszyłby się wzięciem.

Jonathan wydał z siebie pomruk zdradzający poirytowanie. Kątem oka widziałam, że jest zarazem zły, rozbawiony i wbrew sobie mocno podniecony.

– Nieźle przedstawienie, Kate – stwierdził sucho. – Jakaś konkluzja? Próbować? Nie próbować?

– Do diabła, Jon – powiedziała gniewnym głosem, choć widać było, że też jest rozbawiona. – To dużo więcej niż przedstawienie. To rada fachowca, która każdego, kto nie jest moim najstarszym przyjacielem i kochankiem, kosztowałaby tysiąc dolców. Dlatego pozwól mi dokończyć, bo marny twój los, jeśli do przedstawienia dorzucę wykład.

Owszem, jest konkluzja. Otóż wielce prawdopodobne, że ktoś zapłaci parę groszy za twoją bardzo źle wyszkoloną dziewczuszkę z wyraźnym talentem i ładnym ciałem. To nie będzie wygórowana kwota, ale Carrie jakoś pewnie prześlizgnie się przez kwalifikacje i ktoś kupi ją po okazyjnej cenie. Miejmy nadzieję, że będzie surowym trenerem, bo tego właśnie nasze dziewczę rozpaczliwie potrzebuje. Ale to nie jest mój styl robienia interesów i nie lubię partactwa u innych. Po co ten pośpiech? Dlaczego najpierw jej odpowiednio nie wyszkolić? Dlaczego nie stworzyć produktu doskonałego? Przyślij ją do mnie, jeśli cię to nudzi albo jeśli jesteś zbyt leniwy, żeby zrobić to porządnie. Wyświadczysz jej tylko przysługę, wyciągając ją z tych waszych mglistych Wichrowych Wzgórz. Carrie na pewno nie sprawi kłopotu, prawda, Carrie?

Podejrzywałam, że Jonathanowi to się nie spodobało, ale ja nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że miałabym przysporzyć pani Clark choćby cieniutki kłopotów.

– Tak, pani Clarke.

Znów wybuchnęła śmiechem.

– Prawdę mówiąc – ciągnęła w zamyśleniu – podejrzewam, że Carrie mogłaby chcieć przyjechać i zostać u mnie przez jakiś czas. Nie żeby nas, a w każdym razie mnie, obchodziło to, czego chce. Ale myślę, że właśnie zaczęła ulegać mojemu urokowi.

– Suka – powiedział ze spokojem Jonathan. – Pomyślę o tym.

– Nie, wcale nie pomyślisz. Będiesz dalej grał w te swoje chaotyczne, romantyczne i amatorskie gierki, a ja wciąż będę temu przeciwna. Przynajmniej obiecaj mi, że pošlesz ją na jogę albo na lekcje baletu. Widzę, że jest wysportowana, ale mogłaby lepiej wykorzystać siłę i gibkość.

Wzięła torebkę i przyjrzała się swemu nieskazitelnemu odbiciu w lustrze. A potem objęła Jonathana i pocałowała go. To był długi, znaczący pocałunek, wyraz relacji, jakiej nie umiałam nawet sobie wyobrazić.

– Słuchaj, skarbie – wymruczała – przepraszam, że się z tobą tak drażniłam, ale cholernie łatwo dajesz się w to wciągnąć. Boże, brakuje mi ciebie. Chciałabym, żebyśmy się widywali częściej.

Nawet jeśli nie zdecydujesz się przywieść Carrie, powinieneś wpadać do Napy częściej niż dwa razy do roku. To nie tak daleko, wiesz? – Dłońmi o idealnych paznokciach powiodła po jego pośladkach.

Jonathan westchnął i poczulili się jeszcze trochę. A potem, trzymając się pod rękę, wymaszerowali z pokoju.

Stałam na stołku, a po moich policzkach spływały łzy. Zalewały mnie fale wstydu, strachu i zmieszania. Miałam tyle powodów do płaczu, że nie byłam pewna, który ostatecznie przerwał tamę.

Ktoś tu właśnie kogoś zdradził, myślałam, ale nie do końca wiedziałam, co przez to rozumiem i kto zdradził kogo. Usłyszałam odgłos odjeżdżającego samochodu i jakieś piętnaście minut później pani Branden przyszła do gabinetu, żeby mi powiedzieć, że na dziś to wszystko i mam wracać do domu.

Moja następna wizyta też była inna. Pani Branden powiedziała, żebym została w swoim ubraniu, stroju kuriera –tego dnia miałam na sobie koszulkę zespołu metalowego z napisem „We’re Pri mus – we suck” – i poszła prosto do gabinetu. Jonathan stał w kącie pod oknem, przy ogromnym stole z orzechowego drewna, i porządkował jakieś papiery. Obok miał dzbanek z kawą.

– A, jesteś już, dobrze. Słuchaj, to wprawdzie strasznie upierdliwe, ale musimy przebrnąć przez to razem. Tu są papiery dotyczące prawa własności, tutaj formularze zgłoszeniowe na aukcję, a tu kserokopie przepisów, które te dokumenty omijają tak zgrabnie, że możemy robić, co chcemy, nawet w dzisiejszych czasach. Przeczytaj wszystko, a potem pytaj, o co zechcesz. Wypełnimy je razem.

Poczęstuj się kawą. Dziś nie obowiązują żadne zasady.

Zamówiłem pizzę i colę.

Wróciłam do kuchni po okulary do czytania – po raz pierwszy potrzebowałam ich w tym domu – a potem zgarnęłam plik dokumentów, zwinęłam się w kłębek na fotelu Jonathana i zaczęłam czytać. Po jakimś czasie zaczął się wyłaniać z tego pewien obraz.

– To kolejna wirtualna rzeczywistość, prawda? – spytałam, sięgając po kawałek pizzy, która tymczasem zdążyła się pojawić na stole.

– W zasadzie tak – pokiwał głową. – Akt własności nie ma realnej mocy prawnej, bo niby jak mógłby ją mieć. To po prostu drobiazgowo określony zakres obowiązywania obopólnej zgody i darowizn, który mieści się w granicach dopuszczanych przez istniejące regulacje. Z tym że prawnicy, którzy przygotowali te dokumenty, są dość utalentowanymi pornografami i w ramach definicji obopólnej zgody udało im się stworzyć złudzenie, że zasady an cien régi me’u i prawo pierwszej nocy obowiązują do dziś

– Więc to wszystko jest najzupełniej legalne? Jak to się udaje utrzymać w sekrecie?

– Pewnie kilka punktów można by podważyć w sądzie. Ale nic takiego dotąd się nie zdarzyło. I prawdopodobnie z tego samego powodu nie weszą tu żadni reporterzy. Większość zaangażowanych w to osób jest bogata, niektóre nawet widowiskowo, by nie rzec metafizycznie. Nie twierdzę, że wszystko jest ustawione, ale wpływy na pewno odgrywają istotną rolę. No i zawsze są łapówki.

– Świetnie – powiedziałam ponuro. – Właśnie w takim towarzystwie zawsze chciałam się obracać. Wiesz co, niezbyt mi się podoba ta perspektywa.

– Wiem – odparł. – Mnie też nie. To po części miała na myśli Kate, kiedy mówiła, że jestem romantycznym amatorem. Ona sama ani na chwilę nie zapomina o szerszym kontekście – Kim jest? – spytałam, wycierając usta.

Nie sądziłam, że mi odpowie, sprawdzałam raczej, jak daleko mogę się posunąć podczas tych rzadkich chwil zawieszenia reguł. Poza tym strasznie chciałam dowiedzieć się czegoś o Kate Clarke.

Już wyobrażałam sobie, jak Jonathan stwierdza, że to nie moja sprawa. On jednak zrobił głęboki wdech.

– Kate? Hm, no cóż. Tak jak mówiła, jest moją najstarszą przyjaciółką i kochanką. Dorastaliśmy razem, bawiąc się klockami i w doktora. Jestem od niej rok starszy, a ona ode mnie o jakąś dekadę twardsza. Prawdę rzekłszy, nie pamiętam, żeby był taki czas, kiedy nie łączył nas żaden rodzaj relacji seksualnej, choćby to było zwykłe podglądactwo czy obmacywanki. Potem doszło mnóstwo nastoletnich eksperymentów. Początkowo po prostu bzykaliśmy się godzinami, wkrótce jednak odkryliśmy ból i władzę. Dominację, kontrolę. W pewnym sensie wdepnęliśmy w to razem. Może to z powodu bliskości byliśmy tacy śmiali i gotowi na ryzyko. A może tak naprawdę odkryliśmy to, bo Kate miała dość odwagi, by tego, czego pragnęła, domagać się stanowczym głosem – głosem, który przerażał nas oboje i który sprawił, że zaczęliśmy myśleć o zupełnie innym poziomie pożądania i ekspresji.

Wszystko jedno zresztą. Boże, to było tak, jakby dwoje genialnych dzieciaków urządziło sobie laboratorium w piwnicy. Praktycznie wysadziliśmy w powietrze cały dom. Robiliśmy zupełnie niedorzeczne i bardzo niebezpieczne rzeczy. Zostały mi po tym blizny. Zdaje się, że je widziałas.

– Tak – odparłam ze smutkiem. Umierałam z podziwu i zawiści. – Widziałam. Które z was, e, no wiesz. ? – Zorientowałam się, że zadaję pytanie, ale równocześnie nie byłam go w stanie wypowiedzieć.

– Chodzi ci o to, które z nas było stroną dominującą? Cóż, na początku oczywiście ja.

My też czytaliśmy Historię O. Ale potem doszły jeszcze inne lektury. Wypróbowałyśmy rzeczy żywcem wyjęte z książek. Oczywiście była wśród nich Wenus w futrze. A nawet Batail e, choć tak naprawdę nie wzięliśmy od niego nic poza lepką zabawą z jajkami i mlekiem. Przyjmowałyśmy różne

perspektywy, odgrywaliśmy najrozmaitsze role. Ogólnie rzecz biorąc, była to całkiem solidna polimorficzna perwersja, która zresztą wciąż jeszcze trwa, bo chyba to cię tak naprawdę interesuje.

To znaczy, teraz już nie używamy żadnych gadżetów. Nasze stosunki przypominają raczej ten żart, w którym więźniowie tak dobrze znają wszystkie swoje dowcipy, że zamiast opowiadać je sobie, podają tylko numer. Przerobiliśmy z Kate tyle scenariuszy i znamy się tak dobrze, że w bardzo ekonomiczny sposób w krótkim czasie możemy odegrać mnóstwo różnych scen bez pieprzenia się i kontaktu wzrokowego.

Rzuciła go, powiedział, tuż przed ostatnią klasą liceum. To był dla niego szok. Myślał, że zawsze będą razem.

Ale jak to sobie wyobrażasz? – spytała. – Że rodzice kupią nam przestronny dom na sąsiedniej ulicy? Że zostaniemy przykładnymi mieszkańcami? Ależ skarbie.

Trochę trwało, zanim to zrozumiał, ale gdy zdał sobie sprawę, że wciąż od czasu do czasu będą mogli się pieprzyć, przestało go to tak przerażać.

– A potem, kiedy byłem w col ege’u, po raz pierwszy trałem na aukcję niewolników.

Zabrał mnie wuj Harry.

I tam, na jednym z podestów, stała Kate. Miała studiować na Sarah Lawrence, a tymczasem wywinęła taki numer. Jej rodzice dowiedzieli się dopiero po fakcie i zrobiła się z tego cała afery, ale wtedy było już za późno. Na aukcji była oczywiście sensacją, zapłacono za nią więcej niż za kogokolwiek wcześniej. Zdobyła sławę w tych kręgach i skończyła, prowadząc w Napię niezwykle przedsiębiorstwo z najcudowniejszymi niewolnikami na świecie.

– To jest ta przyjaciółka od gry w pokera, prawda? – spytałam. – Wiesz, chętnie bym to kiedyś zobaczyła.

– Zapomnij – odparował natychmiast z ponurym grymasem na twarzy. – W tej sprawie zmieniłem zdanie.

Zdziwiło mnie to. Musiałam chyba przekroczyć jakąś tajemniczą granicę, bo wyraz jego twarzy był przerażający.

Zapalił papierosa, a ja podkuliłam nogi w fotelu i objęłam kolana rękoma. Przez chwilę oboje milczeliśmy.

– Naprawdę jestem aż tak źle wytrenowana? – spytałam niemal szeptem.

– To trudne pytanie – odparł. – Tak, tak podejrzewam. Myślę, że zgodnie ze standardami Kate jesteś kiepsko wyszkolona. Tylko że Kate ma bardzo wyśrubowane standardy. Na litość boską, ostatecznie wszystko zależy od indywidualnej wrażliwości.

Tak czy owak istnieją różne standardy, różne gry, różne fabuły, a nawet ich różne koordynaty. My na przykład. . Oj, daj spokój, Carrie, nie rób takiej miny. Skoro możemy rozmawiać o Kate, możemy też rozmawiać i o tym. Nie udawaj głupiej. Dobrze wiesz, o czym mówię, nawet jeśli nigdy wcześniej nie wspominaliśmy o tym na głos.

Gra, w którą gramy, to uprzedmiotowienie, prawda? Jesteś tym, kim chcę, żebyś była, bo inaczej, o czym dobrze wiesz, dostaniesz lanie. Oczywiście oboje mamy świadomość, że musi istnieć „ty”, które podejmie wysiłek, by stać się tym, kim chcę, żeby było. Tylko że to nie jest prosta zmiana. W grę wchodzi tu przecież twój ostry jak brzytwa krytyczny rozum, który po powrocie do domu może to wszystko zamienić w opowieść i zapisać. Na mój rozkaz znika i wtedy dzieje się rzecz najdziwniejsza – czuję, że muszę wytropić jego ślady. Być może chodzi o to, że historia jest pisana gdzieś pod tym, co zostało wymazane. Wiem, to brzmi jak cytata z tych obrzydliwie przerażających teori różnorodnych zbrojodów, których naczytałaś się na studiach. Śmieszne, niejasne i pretensjonalne, a mimo to. . wydaje się, że opisują coś rzeczywistego. Mówią o tym, w jak opaczny sposób wszyscy czujemy, postrzegamy i porozumiewamy się ze sobą. Nawet teraz, mimo że wciąż nie daję ci dojść do słowa, jednocześnie wytyżam słuch, żeby usłyszeć ten wyrachowany, śmiertelnie poważny, zrzędlawy, a zarazem komiczny głos narratora: „I wte dy Jonathan powiedział. .”; to on sprawia, że wydaję się, cóż, dość pociągający, ale też nieco śmieszny i zadufany w sobie.

W każdym razie właśnie coś takiego mnie interesuje. To dość trudne do uchwycenia.

– Boże – powiedziałam. Nic innego nie potrafię wymyślić. – Nie miałam pojęcia, że zastanawiasz się nad takimi rzeczami.

Byłam w szoku. Z całą pewnością nie udawałam głupiej. Naprawdę byłam głupia.

Grałam z takim zaangażowaniem i tak szczerze (jego słowo), że umknął mi cały metapoziom tej gry.

– Wiem – odparł. – Nie mogłaś mieć. Jesteś za mało otwarta, żeby spodziewać się czegoś podobnego po kimś tak płytkim i dobrze ustawionym jak ja. Mimo to staram się. Dużo czytam.

Rzeczy, które moim zdaniem powinienem poznać, żeby zrozumieć to, co chcę zrozumieć. Może to nie



pasuje do twoich wyobrażeń o mnie, ale tak właśnie jest.

– Będę musiała się nad tym zastanowić – powiedziałam powoli.

– Właśnie – odparł. – Zrób to. W końcu jesteś jeszcze dzieciakiem, a ja czasami o tym zapominam.

Przepraszam.

Naprawdę. Wiesz dużo więcej, niż ci się wydaje, a ja wiem, że nieustannie o tym myślisz. Ale nie przemyślałaś tego porządnie. W końcu to prawdziwy skandal i cios dla ego, że seks może być równie trudny i skomplikowany jak literatura.

Zaczęłam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie podczas tych pozornie pozbawionych zasad sesji zyskiwał nade mną największą przewagę. Być może cała reszta naszej umowy nie zadziałałaby bez tych rozmów.

– Robi się późno – stwierdził. – Powinniśmy wracać do roboty.

– Nie – odparłam. – Bo nie odpowiedziałeś na moje podstawowe pytanie. Czy jestem aż tak źle wytrenowana, że tam, na zewnątrz, czymkolwiek owo „na zewnątrz” jest, nie mam szansy się sprawdzić? Że będę miała problemy?

– A to już hipokryzja – powiedział. – Dobrze wiesz, że na to pytanie nie ma odpowiedzi. Nie szkolilem cię z myślą o „tam, na zewnątrz”. Nie zapominaj o tym, że aż do wczoraj trenowałem cię tylko na swoje potrzeby. To jasne, że zastanawiasz się nad „na zewnątrz”, ale będziesz musiała po prostu poczekać i sama się przekonać, prawda? Nie twierdzą, że kwestie techniczne są bez znaczenia.

Kate ma rację co do jogi i baletu – możesz zacząć chodzić na zajęcia od przyszłego tygodnia. – Wręczył mi kolejną wizytówkę. – Myślę też, że powinnaś rzucić pracę i przeprowadzić się tutaj.

Aukcja jest za sześć tygodni. Musimy skończyć z tymi dokumentami. A teraz moja kolej na pytanie. O co chodzi z tą koszulką i co to jest Primus?

Następne tygodnie były tak ciężkie i przerażające, jak możecie sobie wyobrazić.

Żadnego więcej kumpłowania się przy pizzy. I omal nie pękło mi serce, kiedy musiałam się spakować i pożegnać ze Stuartem. Jasne było jednak, że jeśli zamierzałam zrobić to, co zamierzałam, nie mogłam dłużej bawić się w to na pół gwizdka.

Tak czy owak mojego przyjaciela od niedawna i tak trudno było zastać w domu. Bo Stuart się zakochał. Albo był u Grega w domu, albo siedzieli w czytelni przy jednym stoliku, albo pracowali razem w telefonii zaufania dla chorych na AIDS, albo po prostu trzymali się za ręce na kanapie.

Same dobre rzeczy, pomyślałam i poczułam ukłucie samotności, dzwoniąc do kuchennych drzwi Jonathana. Miałam ze sobą małą walizkę, plecak z kilkoma książkami i ogromną chęć, by dowiedzieć się, co będzie dalej.

A była to intensywność połączona z nudą. Poza wytęsknionymi chwilami ulgi, jaką stanowiły zajęcia z baletu i jogi (ćwiczenia były wybitnie męczące, ale – tu musiałam zgodzić się z Kate – rzeczywiście przydatne), byłam teraz do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zupełnie nowy rozdział. Spałam na posłaniu obok łóżka Jonathana przykuta do zagłówka. Usługiwałam mu na klęczkach w trakcie posiłków. Zdarzały się takie dni, kiedy miałam wrażenie, jakbym w ogóle nie wstawała z kolan. Jonathan wykorzystywał mnie jako podnózek, stolik, popielniczkę. Skrócił godziny pracy w biurze i zaczął przynosić projekty do domu. Spędzałam nieznośne godziny, stojąc możliwie cicho i nieruchomo i czekając, aż spojrzy na mnie znad swojej pracy – papierów, rysunków, programu CAD, który miał na swoim macu – i każe mi się lizać, ssać, rozłożyć nogi albo się otworzyć. Zdarzały się dni, kiedy nie wolno mi było nic powiedzieć, dni, kiedy nie mogłam używać rąk i wszystko musiałam robić ustami.

Pierwotne zasady miałam opanowane całkiem dobrze, teraz jednak wciąż pojawiały się nowe reguły, nowe powody, żeby mnie ukarać.

Jedną z najbardziej dotkliwych zmian, jakie zauważyłam, był brak pieniędzy. Niby tak naprawdę je miałam. Na moim koncie w banku uzbierało się trochę oszczędności. Ale Jonathan kazał mi je przepisać na siebie, żebym nie mogła z nich korzystać przynajmniej do czasu aukcji – jeśli nie zostanę sprzedana – albo do chwili uwolnienia – jeśli zostanę. To był bardzo przejrzyście sporządzony kontrakt – przygotował go jeden z pornopravników – a zważywszy na niewielką sumę, jaka wchodziła w grę, spisanie go musiało być dla Jonathana nieopłacalne. Ale podobnie jak inne rekwizyty w tej wirtualnej rzeczywistości odegrał swoją rolę.

Czułam się zupełnie pozbawiona wolności, zwłaszcza w porównaniu z czasami, gdy mogłam śmigać po mieście na rowerze.

Jonathan albo pani Branden dawali mi pieniądze na autobus, który zawoził mnie na zajęcia jogi i baletu, i na powrót, a ja zawsze niezawodnie wracałam. Na dole w budynku, gdzie mieściło się studio baletowe, była cudownie zapyziała kawiarenka, w której z rozkoszą usiadłabym z książką i lat e, gdybym tylko miała na to lat e pieniądze.

Przyciskałam nos do szyby i gapiłam się na normalnych ludzi przy stolikach, czując się jak dziewczynka z zapawkami.

A potem wsiadałam do autobusu jadącego do domu i sięgałam do kieszeni po dokładnie odliczoną sumę na bilet.

Myślałam wtedy, że Kevin miał rację. Jesteś popieprzona, Carrie.

W drodze powrotnej, kiedy autobus z mozołem piał się pod górę, byłam zazwyczaj zmęczona, przygnębiona, zdezorientowana i nieco przestraszona. Potem jednak, z każdym kolejnym przystankiem, rosło we mnie pełne napięcia podniecenie. Autobus posapywał, a ja przeprowadzałam coś w rodzaju inwentaryzacji swojego ciała.

Wyczuwałam wszystkie świeżo naciągnięte mięśnie, stłuczenia i siniaki. I gorącą, parzącą wilgoć tam, w środku.

Dziwnie się czułam w dżinsach i przepoconym trykocie. Myślą wybiegałam naprzód, do chwili, kiedy je zdejmę, wykapię się, wysuszę, zrobię makijaż, a potem w milczeniu stanę przed panią Branden, żeby skuła mnie i założyła obrozę, a może też buty i gorset.

Zawsze drżałam – i pewnie zawsze będę drżała – kiedy mi zapinała obrozę. I bez względu na to, jak dobrą miałam postawę – jak proste plecy, napięte mięśnie brzucha – obroza mnie przeobrażała.

Głowa się unosiła, piersi wypinały, a ja czułam, że są wrażliwe i podatne na zranienie.

Z porażającą jasnością widziałam proces przekształcania się podmiotu w przedmiot – jego przedmiot, nieco lepszy od innych, bo obdarzony wolą i inteligencją, które świadomie oddawałam mu we władanie. Moment, w którym przekazywałam mu na własność całe swoje jestestwo, był jak lot w przepaść. Jadąc, szykowałam się na te niekończące się chwile, kiedy on będzie na mnie tylko patrzył.

Dopóki nie uzna, że moje ciało błaga, żeby dotknął go w jakikolwiek sposób.

Zastanawiałam się, jak to możliwe, że ludzie w autobusie tego nie widzą. Nie potrafią wyczuć. A może jednak potrafili. Może tego wieczoru po powrocie do domu naprawdę zaskoczą swoich znudzonych, zmęczonych współmałżonków.

Dwuzdaniowa laudacja Jonathana na temat mojej krytycznej inteligencji niewiele zatem zmieniła w praktyce.

Podobała mi się myśl, że robię mu prezent ze swojego rozumu i dowcipu – zgniatam je w kulkę i rzucam jak kotu, żeby mógł się nimi pobawić albo wzgardzić, jeśli wola. Ale z wyjątkiem zapoconych przejażdżek autobusem tak naprawdę za wiele o tym nie myślałam.

Czas uciekał.

Jonathan za punkt honoru uznał wzbicie się na wyżyny inwencji, ja zaś stawałam na głowie, żeby się nauczyć wszystkich nowych zasad, zachowując niezmiennie posłuszeństwo.

No dobrze, może raz zbcoczyłam z tej ścieżki. Któregoś dnia pokazał mi sukienkę, którą kazał mi sprawić – olśniewającą, czarną, bardzo króciutką, bez pleców, z wysadzaną klejnotami stojką, która wyglądała jak obroza.

– Och, panie Rochesterze – powiedziałam.

Po prostu wpadło mi to do głowy i nie potrafiłam się powstrzymać. W skrytości ducha podejrzewałam, że ubawi go ten cytat. I faktycznie tak się stało. Jego rozbawienie szybko jednak przeszło we wściekłość, gdy zdał sobie sprawę, że trudno mu będzie ukarać mnie za to wykroczenie, tak żeby nie pozostawić przy tym na ciele śladów, które przysłoni tak skąpa sukienka. A jednak mu się udało, i to na tyle dobrze, że poważnie zaczęłam zastanawiać się, czy kiedykolwiek jeszcze odważę się wygłosić przy nim choćby średnio zabawną uwagę.

Potem kazał mi włożyć sukienkę. Pod spodem miałam gorset, czarne pończochy i głęboko osadzone w dupie nowe dildo – istnego Conana Barbarzyńcę.

– Idziemy do opery – oznajmił.

Przed drzwiami zajechała ogromna limuzyna. Wsiadliśmy do środka; Jonathan rozsiadł się na siedzeniu, a ja uklękłam na podłodze i całą drogę obciągałam mu uto, podczas gdy on sączył

szampana. A potem przez całe Upro wa dze nie z se ra ju – głupawy spektakl o uwolnieniu Angielki z haremu, ten kontekst pewnie bawił go najbardziej – musiałam siedzieć z rozmazaną szminką, ustami pełnymi jego smaku, całkowicie rozdartym tyłkiem, bezsilnie wystawiona na widok wszystkich (na widowni pełno było obrzydliwych Muffinek), on zaś przyglądał mi się, wielce z siebie zadowolony.

W przerwie, gdy większość widowni wciąż biła brawo, porwał mnie do wyjścia.

Miałam nadzieję, że to oznacza powrót do domu albo dalszą zabawę mną w limuzynie.

Powinno jednak znać go lepiej. Zaprowadził mnie na środek foyer, gdzie kupowało się drinki i siadało z nimi przy stolikach. Było tu już gęsto od ludzi wystylizowanych na wszelkie możliwe sposoby, słychać było niecichnący szmer rozmów. Jonathanowi jednak udało się znaleźć stolik.

Pochylił się nad nim i powiedział:

– Cieszę się, że dałaś mi powód, żebym cię wcześniej zbił. Lubię myśleć, że pod tą śliczną sukienką cała jesteś posiniaczona. Przez to wydajesz się bardziej naga. Trudno siedzieć tak prawie nago na środku sceny.

– Tak, Jonathanie, trudno – odparłam. A to drań.

– To dobrze – stwierdził niemal triumfalnie, zachowując przy tym jednak suchy ton preceptora. – A teraz chcę cię zobaczyć na czworakach. Tu, na miejscu. Postaraj się. Będę tam, pod ścianą.

– Dobrze, Jonathanie – wyszeptalam. No to super.

Najlepsze, co przyszło mi do głowy, to pomysł, żeby upuścić kolczyk i uklęknąć niby w poszukiwaniu. Banalne, ale zważywszy na długość sukienki, dość trudne. Patrząc w przestrzeń i udając całkowity spokój, bawiłam się zapięciem lewego kolczyka. Odkręciłam je powoli, ostrożnie, żeby pozostało mi w ręce. Trzymałam głowę nieruchomo, więc kolczyk trwał na swoim miejscu.

Niespiesznie odwróciłam się, żeby spojrzeć na Jonathana. Stał oparty o ścianę z rękami założonymi na piersi i uważnie mnie obserwował. No cóż, on wie o moich siniakach, pomyślałam, a ja o jego erekcji, która zaczynała pęcznieć w miejscu, na które padło moje spojrzenie, tam, gdzie lniący włoski garnitur nie układał się już tak, jak to zaplanował Giorgio.

Podniosłam wzrok, napotkałam jego cierpkie spojrzenie – jakby mówił to uché – i kolczyk upadł na podłogę u mych stóp.

Ciekawe, co bym zrobiła, gdyby potoczył się gdzieś daleko. Tak się jednak nie stało.

Ukucnęłam powoli, nie spuszczać wzroku z Jonathana. Po prostu szukam kolczyka, powtarzałam sobie, z całych sił starając się, żeby to, co robię w samym środku tej świątyni kulturalnego ekscesu i obsesji, nie było tak oczywiste i upokarzające.

Równocześnie wciąż słyszałam w głowie rozkazujący ton jego głosu i posłuszny swojego, jego „chcę” i moje „tak, Jonathanie”, duet nadawany przez jakieś wewnętrzne radio, stację włączoną zawsze, gdy byliśmy razem.

Uklękałam na podłodze i na moment po prostu przybrałam odpowiednią pozę: wcielenie potulności i uległości, wpatrzone w niego oczy i leciutko rozchyłone usta. W porządku? I wtedy doznałam prawdziwego wstrząsu – zorientowałam się, że gapię się na niego tak, jakbym widziała go po raz pierwszy w życiu. Nie ma to jak znaleźć się w tłumie obcych, żeby nieco odświeżyć relację. Podejrzywałam, że to właśnie podobało się Jonathanowi.

Przez chwilę aż zakręciło mi się od tego w głowie, ale na szczęście szybko doszłam do siebie. Uznałam, że klęczę już dość długo, i podniosłam kolczyk.

Wstałam powoli, uważając, żeby sukienka nie podjechała mi za wysoko. Miałam wrażenie, jakbym wynurzała się na powierzchnię. Nagle znowu dotarła do mnie wrzawa wokół. Zażenowana poczułam na sobie wzrok kilku osób.

Ciekawe, jak podejrzenie wyglądało moje zachowanie. Nie było jak się tego dowiedzieć.

Próbowałam odciąć się od obserwatorów, odgrodzić od siły ich spojrzeń. Wiedziałam, że jeśli się rozejrzę, zobaczę pytania, które widywałam w oczach ludzi już wcześniej, przy tych rzadkich okazjach, kiedy razem z Jonathanem przebywaliśmy nie w pornotopi, tylko w „rzeczywistym” świecie. Nie to nawet, że się jakoś szczególnie ze sobą obnosiliśmy. Ale nie oszukujmy się, zawsze przyciągaliśmy uwagę. Początkowo naiwnie sądziłam, że gapią się na nas, bo jesteśmy tak dobrze ubrani, czego Jonathan bardzo pilnował. Ale oczywiście wcale nie o to chodziło. Po prostu dla tych, którzy mieli oczy do patrzenia, zawsze było w nas coś specjalnego, jakaś elektryczność, coś w sposobie, w jaki Jonathan ścisnął mnie za rękę.

Zawsze był ktoś, kto coś zauważył, zawsze jakaś brew poszybowała do góry. Zgrzyt między naszą prywatną wirtualną rzeczywistością a realnym światem był dla mnie głęboko niepokojący, Jonathan zaś genialnie wykorzystywał moje skrepowanie.

Kiedy więc usiadłam z powrotem przy stoliku, nie byłam zupełnie zaskoczona faktem, że pewien mocno queerowy gość, cały na czarno, w okularach ze stalowymi oprawkami, wznosi kieliszek szampana w moją stronę.

Zaczerwieniłam się, odwróciłam głowę i napotkałam wzrok dziewięcioletniej może dziewczynki – blada twarz okolona niesfornymi lokami i tandetna sukienka z ciemnozielonego aksamitu z białym koronkowym kołnierzykiem.

Patrzyła na mnie z niewzruszonym spokojem. Nie sądzę, żeby coś rozumiała. Ale wiedziałam, że wie. O do diabła, pomyślałam, i posłałam jej spojrzenie, które miało mówić: nic się nie bój, jest, jak jest. Życie naprawdę potrafi być zaskakujące. Sprawiała wrażenie, jakby przyswoiła sobie ten komunikat, nie tyle zrozumiała go, ile – jak to mają w zwyczaju mądre dzieci – odłożyła na później, gdy będzie nań

gotowa. Jest bystra, pomyślałam, dużo mądrzejsza ode mnie, i włożyłam kolczyk w dziurkę, mocno dociskając zapięcie.

Jonathan w końcu podszedł do stolika. Radośnie ucałował mnie w czubek głowy.

– Nieźle – powiedział. – Przez chwilę byłaś niegrzeczna, ale to wiesz. Tym zajmiemy się później. W każdym razie było nieźle, zupełnie nieźle.

Podniósł mnie za łokieć i z powrotem zaprowadził na widownię. Czułam, że poszło mi oczko w pończosze. To mu się spodoba, pomyślałam. Resztę spektaklu przesiedziałam, ledwie słysząc muzykę.

Po tym wszystkim ukarał mnie i wypieprzył w limuzynie zaparkowanej na szczycie Twin Peaks.

Kierowca w milczeniu obserwował nas we wstecznym lusterku. A kiedy zajechaliśmy przed dom, Jonathan zapytał szofera, czy chciałby, żebym mu obciągnęła. W ramach napiwku, dodał. Rzecz jasna nie chodziło o żaden napiwek – Jonathan po prostu chciał obejrzeć sobie tę scenę we wstecznym lusterku – choć nie sądzę, żeby kierowcę obchodziły takie subtelne rozróżnienia. W każdym razie zamienili się miejscami i obaj dostali to, czego chcieli. A potem, nim weszliśmy do domu, Jonathan dał mi jeszcze pieniądze i obdarował resztką naszego szampana.

# Rozdział 4

## Uprząż i wędzidło

Kilka dni po wieczorze w operze w gabinecie Jonathana zadzwonił telefon. Jonathan podniósł słuchawkę, przez minutę słuchał w milczeniu, a potem zaczął mówić podniesionym głosem: – Doug, to śmieszne, wentylacja działa bez zarzutu. To tylko drobna modernizacja, która jest już gotowa. Nie, nie potrzebują mnie. Mogę to załatwić przez telefon. Nie muszę siedzieć na miejscu przez cały cholerny tydzień, kiedy będą to instalować. Bo jestem zajęty. Nie. Nie, coś osobistego. Nie, nie mogę ci powiedzieć.

Czekając, zepchnął mnie z kolan na podłogę i w roztargnieniu pogłaskał po głowie.

Pewnie przełączali go w tryb telekonferencji. Pomyślałam, że jakość jego życia ulegnie istotnemu pogorszeniu, kiedy już wszystkie telefony będą miały wbudowane kamery.

W każdym razie Jonathan najpierw klócił się z Dougiem, a potem przez jakieś piętnaście minut rozmawiał jednocześnie z Dougiem, Stanem i Carol o wentylacji w tym strasliwym śpiewno-marudnym japiszońskim, którym władał z taką biegłością: „Stan, ale myśmy już dostarczyli ten produkt” i „

Tak, Carol, rozumiem, że nie czujesz się z tym szczególnie komfortowo”. Wreszcie na koniec obiecał, że jutro wieczorem poleci do Chicago, choć upierał się, że to on ma rację i że podróż tam jest głupotą. Umówili się jednak, że osobiście sprawdzi instalację –czymkolwiek była – i to z jego strony będzie koniec sprawy. Żadnych więcej telefonów i żadnego sposobu, żeby pokrzyżowali mu plany podróży do Europy za dziesięć dni – na aukcję, o czym rzecz jasna nie wiedzieli.

Pomyślałam, że jednak w końcu polecę do Chicago, choć naprawdę nie wiedziałam, jaki sens miałyby w tej chwili mieć ta fantazja ani też w jaki sposób uda się Jonathanowi upchnąć to w napiętym gra ku treningów. Ale wtedy właśnie w jego macu zadźwięczał alarm przypominający, że czas na moje zajęcia jogi. Rozpiął mi więc obrozę i wypchnął z pokoju.

Tego wieczoru był bardzo cichy i poważny. Ani słowa o jakichkolwiek zmianach. Nie żebym się tego spodziewała. W ogóle zachowywał się nadzwyczaj czule, o ile pieprzenie mnie na wszystkie niemal możliwe sposoby nazwalibyście czułością. Byłam wyczerpana i bliska omdlenia, a i tak zbił mnie pasem, choć tym razem niezbyt mocno. A na koniec kazał iść spać wcześniej niż zwykle.

Następnego dnia jednak, po tym, jak przyniosłam mu śniadanie i sama zjadłam co nieco z talerza u jego stóp, pani Branden wprowadziła mężczyznę, jakiego w tym gabinecie nigdy wcześniej nie widziałam. Pomyślałam, że radykalnie różni się od wszystkich dotychczasowych gości Jonathana.

Gruby, pod sześćdziesiątkę, tryskał energią niczym Sydney Greenstreet, a ubrany był w tandetne jasnoniebieskie poliestrowe spodnie i żółtą koszulkę z aligatorem. Jonathan kazał mi ucałować czubek jego buta – białego mokasy! – i nazwał go „sir Haroldem”. Ach tak, załapałam, to pewnie jakiś jego przyjaciel ze świata lmów pornogra cznych czy ktoś w tym rodzaju. Jeden z tych zabawnie wyglądających typów, których Jonathan darzył tak wielkim szacunkiem. Facet na pewno wyglądał zabawnie, nie wiedziałam jednak, czemu miała służyć jego wizyta. Pozostało tylko czekać grzecznie, aż to samo się wyjaśni. I tak przecież niewiele mogłam zrobić.

Sir Harold usiadł w fotelu Jonathana, Jonathan zajął krzesło stojące naprzeciwko, a ja uklękłam przed nim w pozycji na baczność. Pani Branden przyniosła kawę i bułeczki. Sir Harold umoczył bułeczkę w kawie, połknął ją i zaczął mówić. Był wylewny, serdeczny, zachowywał się wobec Jonathana niemal po ojcowsku, Jonathan zaś zwracał się do niego, no cóż, z ogromnym szacunkiem.

Rozmawiali o „interesach”, o tym, że za starych dobrych czasów było oczywiście lepiej niż w epoce dzisiejszej ciemnoty, i o tym, jak Kate radzi sobie w Napie. Niewiele mogłam wywnioskować z ich rozmowy, póki w końcu nie przeszli do rzeczy. Czyli do mnie.

– W każdym razie – powiedział Jonathan – to wspaniale, że mógł mi pan tak szybko przyjść z pomocą. Inaczej albo musiałbym zabrać ją ze sobą, co skończyłoby się porażką, albo wysłać ją do Kate.

– Wysłanie jej do Kate to bardzo dobry pomysł, przecież wiesz – zagrzmiał tubalnie sir Harold, wykańczając ostatnią bułeczkę. – Nie rozumiem, dlaczego tak się temu sprzeciwiasz.

Jonathan się skrzywił.

– No cóż, Kate jest zajęta. Ubija w tym tygodniu jakiś wielki interes. Z emirem czy senatorem, czy też może z obydwojoma naraz, nie wiem.

– Nie wciskaj mi kitu, Jon – powiedział grubas. – Kate zawsze znajdzie czas dla jeszcze jednej dziewczynki, nieważne, co robi. Nie chcesz wysłać do niej dziewczyny, w porządku, chętnie pomogę.

Twoja decyzja. A teraz pozwól, że jej się przyjrę.

Jonathan klepnął mnie w ramię.

– Wstań, Carrie. Niech sir Harold cię obejrzy.

Wstałam i podeszłam do gościa.

– Obróć się, dziecinko – powiedział.

Usłuchałam i obróciłam się powoli.

– Nogi w porządku – stwierdził. – Mówiłeś, że jeździ na rowerze, tak? I tylek też niezły. Może nawet więcej niż niezły, prawdziwa poezja. Taki, co to woła do człowieka w zatłoczonym pokoju.

Pomyślałam, że facet mógłby sobie darować tę metaforę. Widziałam, że Jonathan też jest zakłopotany i potakuje z pewną nieśmiałością.

– A jak usta? – wypytywał dalej sir Harold.

– Całkiem niezłe – odparł Jonathan, odzyskując spokój. – Proszę spróbować. Carrie, uklęknij.

– Rozepnij mi rozporek, dziecinko – rozkazał sir Harold – i weź go w usta.

Jego kutas nie był w stanie pełnej erekcji, ale w dość widowiskowy sposób urósł, gdy zaczęłam go ssać, i uporczywie napierał na moją krtań. Sir Harold wydał z siebie kilka gardłowych, jęśliwych odgłosów, ale mogłam się założyć, że cały czas bardzo uważnie mnie sprawdzał. Widziałam, że Jonathan jest zdenerwowany. Staralam się, jak mogłam, ale sama też byłam spięta. O co w tym wszystkim chodziło?

Sir Harold wcale nie spuścił mi się w usta. Wyciągnął kutasa i złapał mnie za ramiona.

– Odwróć się – powiedział ostro i pchnął mnie.

Był silny, miał pewne ręce, szybko więc zmusił mnie, żebym się odwróciła i uniosła tylek do góry.

Ja byłam zaskoczona, ale dla Jonathana najwyraźniej nie było w tym nic dziwnego, bo czekał z podnóżkiem w pogotowiu.

I gdy tylko przybrałam odpowiednią pozycję, sam rozdzielił pośladki mojej poezji.

Sir Harold doszedł w mojej dupie, jęcząc i porykując. Bolało i zanim skończył, do oczu zdążyły mi napłynąć łzy, uznałam jednak, że dobrze się spisałam, cokolwiek miałyoby to znaczyć.

Wyciągnął kutasa i rozluźniony, odzyskując oddech, sam zapiął rozporek. Jonathan tymczasem dał mi znać, żebym wróciła do pierwotnej pozycji – baczność na kolanach. Usłuchałam go i oboje czekaliśmy w milczeniu ze wzrokiem wbitym w grubasa siedzącego w fotelu Jonathana.

– Nada się – powiedział w końcu sir Harold. – Zdaje się, że nauczyłeś ją paru rzeczy.

Zabiorę ją ze sobą.

Jonathan westchnął z ulgą i pochylił się, żeby ucałować mnie w łopatkę.

– Weź płaszcz, Carrie – powiedział.

Zabierze, ale dokąd?

Włożyłam płaszcz i jakieś buty i wyszliśmy przed dom. Stał tam zaparkowany pikap z przyczepą do transportu koni. Widzieliście je pewnie nieraz na autostradzie. Zwykle nie są całkowicie zabudowane i można w nich zobaczyć koński zad, ta jednak była cała szczelnie przesłonięta. Choć kształt miała taki sam. Z boku widniał napis: TRESOWANE KUCYKI SIR HAROLDA. Poczułam, że zaczynają się pode mną uginać kolana. Zapragnęłam uciec, pobiec przed siebie, ale Jonathan położył mi rękę na krzyżu i skierował w stronę krawężnika. Ruszyliśmy równym krokiem.

Sir Harold otworzył przyczepę, żebyśmy mogli wejść do środka. Ponieważ była przystosowana do transportu koni, miejsca było dość, żeby pomieścić nas troje. Gdy stanęliśmy na świeżej słomie rozrzuconej na podłodze, sir Harold zamknął drzwi.

– Rozbierz się – rozkazał – a potem pochyl.

Płaszcz i buty wręczyłam Jonathanowi. Słoma pod moimi bosymi stopami budziła niepokój.

Pochyliłam się i chwyciłam poprzecznego drażka z przodu boksu. Czułam, jak natłuszczone dildo zagłębia mi się w dupę. Zrobiłam głęboki wdech, a sir Harold wepchnął je do końca i przymocował za pomocą grubych skórzanych rzemieni. Na udach i pod kolanami poczułam łaskotki.

Włosy. Do drugiego końca dilda był przyczepiony koński ogon. Sir Harold klepnął mnie w zadek.

– Podnieś się.

Założył mi na głowę kilka cienkich rzemyków i spał z tyłu. Jeden przecinał mi twarz na pół wzdłuż nosa, a dwa inne szły po skosie od nasady nosa praktycznie aż do płatków uszu.

Razem przytrzymały twarde plastikowe wędzidło, które miałam w ustach i które rozciągało je tak szeroko, że nie byłam w stanie mówić.

– Mogę ją zobaczyć, sir Haroldzie? – spytał nieśmiało Jonathan.

Sir Harold pokiwał głową i znów klepnął mnie w zadek, dając sygnał, jak się domyśliłam, że mam się odwrócić.

Jonathan gapił się na mnie jak urzeczony, jakby mnie nigdy wcześniej nie widział.

Leciutko pogładził moją pierś, a potem podrapał mnie za uchem, jakbym była zwierzęciem i tylko w ten sposób mógł się ze mną porozumieć. To było nieznośnie upokarzające – wędzidło odebrało mi głos, a ogon sprawił, że stałam się mniej niż człowiekiem.

Podkurczyłam palce u stóp i spojrzałam na niego żałośnie. Nie spuszczał ze mnie wzroku – jedną rękę trzymał na moich pośladkach pod ogonem, a drugą gładził twarz między rzemykami. Opuściłam wzrok, ale z całej siły uderzył mnie w pierś. Wiedziałam, co to znaczy. Chciał, żebym na niego patrzyła. Pomyślałam, że dopóki będę „tresowanym kucykiem”, będą starali się mówić do mnie jak najmniej.

Uniosłam oczy, westchnęłam i leciutko zadrżałam.

– Przez ciebie robi się płochliwa – powiedział sir Harold, powoli gładząc mój zadek wielką tłustą łapą.

Zadziwiające, ale jego dotyk zdawał się działać na mnie uspokajająco. – Ćśśś, stój spokojnie, właśnie tak – rozkazał śpiewnym głosem.

Będą do mnie mówić, poprawiłam się w duchu, ale tylko w ten sposób. Krótkie komunikaty, same rozkazy.

Pozbawione funkcji denotatywnej. Cel – uzyskanie reakcji zyczej. Nie oczekiwali żadnej odpowiedzi, nie informowali też o niczym.

Sir Harold odwrócił się do Jonathana.

– Całkiem ładny kawałek ciała, ale bardzo nerwowy. Tak jak ty. Popracuję nad nią.

Przypiął wodze do mosiężnych zaczepów na końcach wędzidła i szarpnął. Ból w ustach wywołał obrzmenie cipy, sutków i falę wstydu. Pamiętam, że zastanawiałam się, jakie to będzie doznanie.

Okazało się niepodobne do niczego i zatrważające. Zwróciłam się w stronę, którą wskazał szarpnięciem, tyłem od Jonathana, bliżej frontu boksu. Sir Harold przytroczył wodze do drążka, po czym kiwnięciem wskazał na moje dłonie, chwyciłam więc znów za metal.

Zrozumiałam, że muszę się go trzymać, żeby zachować równowagę, kiedy będziemy jechać.

Przywiązał zaczepy moich obręczy do drążka zamocowanymi z obu stron rzemykami.

Jonathan po raz ostatni pogładził mnie po pośladku.

– Po tygodniu jej nie poznasz – zapewnił go sir Harold, wysiadając z przyczepy.

Zatrzasnęli drzwi. Pytanie, czy ja siebie poznam.

Silnik w pikapie odpalił. Trzymałam się mocno. Szybko mineliśmy Bay Bridge i wyjechaliśmy na autostradę. Z boku przyczepy było okrągłe okienko, przez które mogłam wyglądać. Na początku bałam się, że ludzie zauważą moją twarz w uprząży, ale okazało się, że pasażerowie przejeżdżających obok samochodów niczego nie widzą – nawet małe dzieci, które wpatrywały się wyjątkowo uporczywie, byle tylko zerknąć na kucyka. W końcu z pewną ulgą uznałam, że szyba z zewnątrz jest nieprzezroczysta. Prawdopodobnie wyglądała na przyciemnioną albo lustrzaną.

Oczywiście nie miałam zegarka, więc nie wiem, ile czasu spędziliśmy na autostradzie.

Dwie godziny? Okienko znajdowało się pod takim kątem, że nie byłam w stanie zobaczyć znaków drogowych. Wiedziałam tylko, że na zewnątrz jest gorąco i słonecznie – tyle mogłam stwierdzić po jasnym słońcu i ciepłym powietrzu, które wpadało przez wywietrzniki. Ten niewielki wycinek krajobrazu, który widziałam, wskazywał na to, że mijamy tereny rolnicze – podejrzewałam, że przejeżdżamy przez Dolinę Kalifornijską. Wreszcie wjechaliśmy na zwirową nawierzchnię i zaczęło trząść, a potem trzęsło jeszcze bardziej, gdy sir Harold otworzył jakąś bramę i przez kilka minut pieliśmy się w górę po piasku i kamieniach.

Aż w końcu stanęliśmy. Sir Harold wszedł do przyczepy od tyłu, bez słowa odwiązał mnie i pokierował lejcami na zewnątrz. Zamrugałam w cudownie jasnym świetle dnia i wyszłam na trawę.

Młody mężczyzna w dżinsach, kowbojkach i koszulce z Aerosmith niósł parę solidnych butów na grubych podszwach i uśmiechał się do mnie szeroko. Miał ciemną skórę i bardzo białe zęby, co zauważyłam, gdy mój wzrok przyzwyczaił się do światła. Ukląkł, żeby zasnurować mi botki i pozapinać sprzączki.

– Niezła, szefie – powiedział. Był niski i mocno zbudowany, koszulka ciasno opinała jego szeroką klatę i ramiona. – Choć niedoświadczona. Wyraźnie widać. Jak się nazywa?

– Carrie – odparł sir Harold. – Umieścimy ją obok tej kędzierzawej blondynki. Ej, czy ona też przypadkiem nie nazywa się Carrie?

– Cathy, szefie – sprostował młody człowiek, znowu się szeroko uśmiechając.

Wyglądało na to, że łatwo go rozbawić. Może praca wśród nagich dziewczyn w uzdach i z ogonami

zawsze była jego marzeniem. Buty zostały ciasno zasznurowane. Sprawiały wrażenie tak solidnych, że miałam ochotę tupnąć nogą. Młody mężczyzna po przyjacielsku pociągnął mnie za włosy łonowe i podniósł się. Staliśmy nieopodal ogrodzonego maneżu o średnicy może trzydziestu metrów, a on wziął lejce i przerzucił je przez płot.

Na maneżu z pół tuzina dziewczyn w uzdach i z ogonami tak jak ja chodziło różnym krokiem pod nadzorem kilku gości w dżinsach i ze szpicrutami. Każda robiła co innego, trudno mi się było zorientować, jakie rządziły tym zasady.

Jedna skakała przez płotki. Kilka innych ćwiczyło rozmaite rodzaje chodu: step, kłus, coś w rodzaju biegu – cwał?

Dwie idące razem w zaprzęgu truchtaly zgrane w sposób, który wydawał mi się idealny. Kolejna trenowała krok de ladowy. Jeszcze inna maszerowała, unosząc wysoko kolana. Ta, w przeciwieństwie do pozostałych dziewcząt, które nosiły buty takie jak moje, miała bardzo wysokie obcasy. Skrzywiłam się, widząc tak obute stopy na wyboistym gruncie.

I właśnie wtedy usłyszałam odgłos szybkich kroków i pobrzękiwanie. Odwróciłam się w stronę, skąd dochodził dźwięk, i oto ujrzałam coś, co nie pozostawiało już żadnych wątpliwości. Dróżką biegnącą zakolami wśród zalesionych wzgórz zbliżał się produkt końcowy. Jeśli chcieli przyprawić mnie o jeszcze głębszy wstrząs, nie mogli wybrać niczego lepszego.

Dróżką nadjeżdżał wózek, nieduży, jednoosobowy, z wielkimi kołami. Przypominał nieco pług albo odwróconą taczkę. Na wózku siedział mężczyzna z lejcami i batem w dłoni, a ciągnęła go, biegnąc szybko, choć z wielką ostrożnością, dziewczyna w uprzęży i uździe takiej jak moja. Nie potrafiłam się zorientować w skomplikowanym układzie pozostałych rzemieni, za pomocą których jej uprząż została przymocowana do powozu, ale widziałam, że obrączki na nadgarstkach miała przyłączone do metalowych rączek – takich samych jak w taczce – i to właśnie dzięki nim mogła ciągnąć wózek.

Prosty, choć iście szatański pomysł wydawał się działać bez zarzutu. Jechali całkiem szybko, a kiedy się do nas zbliżyli, zauważyłam, że dziewczyna jest spocona i oddycha z trudem, natomiast mężczyzna na wózku uśmiecha się szeroko.

Nie wyglądali, jakby mieli zwolnić, a ja doszłam do wniosku, że po prostu przejadą obok.

Usłyszałam wręcz trzask bata, gdy mężczyzna ponaglił dziewczynę. Ale jakieś dwadzieścia metrów od nas pociągnął mocno za lejce, okrutnie szarpiąc ją za głowę.

– Prrr! – krzyknął. – Prrr, Stephanie.

A ona zaryła obcasem w ziemię i zatrzymała się nieomal w miejscu. Była tak blisko, że widziałam jej ołkowe oczy.

Mężczyzna wyskoczył z powozu i przerzucił lejce przez ogrodzenie nieopodal moich.

Przyglądałam się Stephanie z ciekawością.

Ani uзда deformująca jej usta, ani smugi kurzu i potu na twarzy i ciele nie były w stanie przesłonić jawiskowej urody. Miała długie czarne włosy, które spleciono na czubku głowy w gruby warkocz, żeby uchronić je przed wplątaniem się w rzemienie. Mimo to kręcone kosmyki wymykały się z uczesania i było widać, że gdyby rozpleść warkocz, miałaby na głowie burzę fantastycznych czarnych loków. Spływałyby jej kaskadą aż na idealną pupę, poprzecinaną śladami bata i przepołowioną ogonem jak mój, i na piersi w kształcie kielichów, które kołysały się, kiedy tak ciężko dyszała.

Brzoskwinową skórę pod warstewką kurzu pokrywał jasnoróżowy rumieniec. Wpatrywałam się w nią jak porażona, ona jednak po prostu spoglądała przed siebie, świadomie wyrównując oddech, rozciągając i rozluźniając mięśnie.

Aerosmith rozplątał wszystkie rzemienie i odpiął klamry, którymi była przypięta do powozu, a potem zaczął wycierać ją miękką szmatką. Gdy wytarł do sucha, pogładził ją lekko i śpiewnym głosem powiedział: „Ćśśś, stój spokojnie. Doooobra dziewczynka”, zupełnie jak sir Harold do mnie w przyczepie. Miałam jednak wrażenie, że ona potrzebowała tego dużo mniej niż ja. Oddech jej się uciszył i wyrównał, sprawiała wrażenie pogodnej i opanowanej. Prawdę mówiąc, znudzonej.

Aerosmith poklepał ją po piersi – wpatrywała się w jakiś punkt w oddali – i westchnął cicho. Wziął lejce i poprowadził ją w dół ścieżką wiodącą do budynków, które wyglądały jak stajnie. Zniknęli w środku jednego z nich.

Sir Harold tymczasem wdał się w rozmowę z woźnicą, panem Finchem, jak zdążyłam się dowiedzieć. I choć pan Finch odbył właśnie przejażdżkę życia, trzaskając batem nad rozkołysanymi pośladkami Stephanie, widać było, że do pełni szczęścia brakuje mu jeszcze powodu do narzekania.

Jedynie, co udało mu się znaleźć, to skrzypiące koło i nie dość upalna pogoda. Sir Harold pokiwał współczująco głową z pewnością handlarza przekonanego o jakości swojego produktu.

Otworzył schowek z tyłu wózka, wyjął oliwiarkę i póty oliwił koło, póki skrzypienie stało się zupełnie



niestłyszalne, po czym schował oliwiarę z powrotem do skrzynki.

Przy bliższych oględzinach wózek okazał się zwykłą taczka. Korpus wykonano z włókna szklanego, ale całość pokryto fornirem i pomalowano błyszczącą czarną farbą, wykończenia zaś pociągnięto czerwienią i złotem.

Szprychy też były złote, a siedzenia obito miękką, ciemnoczerwoną skórą. Uznałam, że jedno z kół musiało mieć hamulec, bo inaczej wózek rozjechałby Stephanie, kiedy zatrzymała się tak nagle.

Całość była zaprojektowana bardzo praktycznie i umiejętnie i wyglądała jak małeńki powozik z bajki.

Sir Harold powiedział panu Finchowi, że jeśli kiedyś znowu usłyszy skrzypienie, sam powinien użyć olejarki.

Wszystkie powozy – co podkreślał wielokrotnie – nie wspominając o kucykach, przechodzą przegląd między przejazdami, nigdy jednak nie można mieć pewności.

– To ciężka praca – westchnął z lubością. – Stare wózki, nowe kucyki, zawsze trzeba czegoś dopatrzeć. O, na przykład ta tu, przy ogrodzeniu – świeża, zielona i nieujeżdżona.

Wziąłem ją, żeby zrobić przysługę jej właścicielowi, miłemu chłopakowi, znajomemu z dawnych czasów. W moim interesie człowiek uczy się rozpoznawać sygnały. Ładne ciało, ale za dużo myśli. Nie tak jak ta mała Stephanie, która reaguje na najłżejsze szarpnięcie, i człowiek strzela batem tylko po to, żeby mieć przyjemność z oglądania śladów na jej skórze.

Wzmianka o Stephanie przypomniła panu Finchowi, że zapłacił również za obciążanie i że pewnie teraz umyta i wyszczotkowana czeka na niego gotowa w stajni. Uścisnął dłoń sir Haroldowi i ruszył pędem ścieżką.

Sir Harold obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem. Po raz pierwszy zostałam z nim sam na sam i zdałam sobie sprawę, że ten człowiek mnie przeraża. Pomyślałam, że mnie przejrzał. Wie – a w każdym razie doszedł do takiego wniosku na samym początku – że się do tego nie nadaję i że wymóc na mnie posłuszeństwo można tylko za pomocą słów, a nie batów czy klapsów. Nie powiedział nic takiego wprost, ale dał mi to do zrozumienia, rozmawiając przy mnie z panem Finchem.

Odpowiedziałam mu poważnym spojrzeniem, próbując dać znać, że zrozumiałam, nad czym mam popracować, a on kiwnął głową, doszłam więc do wniosku, że jest usatysfakcjonowany.

– Frank – krzyknął do jednego z kowbojów na maneżu – zabierz tę nową, Carrie, do stajni. Umieść ją obok Cathy, nakarm i niech się zdrzemnie. Zaczniemy tresurę po południu.

Frank był wysoki, chudy, piegowaty, cichy i zachowywał się przyjaźnie.

Podejrzewałam, że wszyscy będą się tu zachowywać przyjaźnie. Wziął lejce i klepnął mnie w zadek.

– Dobra klaczka – powiedział. – Chodź, idziemy.

W ekspresowym tempie dotarliśmy do zabudowań i weszliśmy do budynku, do którego Aerosmith wcześniej wprowadził Stephanie. Była to stajnia z wydzielonymi po obu stronach boksami, korytarzem pośrodku i słomą na podłodze. Nie wyglądała jakoś szczególnie. To znaczy nie sędzę, żeby budynek zaprojektowano z myślą o dziewczynach traktowanych jak konie. Raczej swego czasu faktycznie trzymano tu konie. Być może jedyną mody kacją były drzwi do każdego boksu sięgające na wysokość szyi. No i musiano całość bardzo starannie wysprzątać. Nie śmierdziało tu tak jak w stajni, ale jednak trochę było czuć – słomą i, no cóż, zdaje się, że również ciałami. Po obu stronach korytarza naliczyłam w sumie czternaście zagród.

Mineliśmy boks, w którym dostrzegłam ramiona pana Fincha i tył jego siwoblond głowy.

Słyszałam, jak jęczy.

Zauważyłam też łańcuch – był przytwierdzony do tylnej ściany i ciągnął się po podłodze. Poruszał się rytmicznie i choć nie mogłam tego dostrzec, wiedziałam, że na drugim jego końcu klęczy na słomie Stephanie z panem Finchem w ustach. O dziwo, jakaś część mnie ucieszyła się, że ten chodzący ideał, nadęta mała suka, musi obsłużyć tak niemiłego gościa. Carrie, ty ciemna maso, pomyślałam, zanim stąd odjedziesz, będziesz pewnie musiała robić dużo gorsze rzeczy. Ale nie mogłam nic poradzić na to, to czułam.

Frank wpuścił mnie do boksu, sprawnym gestem odczepił ogon i zdjął uzdę razem z obrozą i obrączkami, w których wyszłam jeszcze z domu Jonathana. Powiesił ogon razem z rzemieniami i dildem na haku, a resztę rzeczy zabrał ze sobą i wyszedł. Zastanawiałam się, dlaczego zabrał uzdę.

Gdy wrócił, zdjął mi buty, znowu klepnął w zadek i wskazał głową drzwi stajni. Ruszyłam za nim. Poprowadził mnie do wychodka – klasycznego, choć całkiem sporego, mogącego pomieścić z tuzin osób. Tyle że siedziska zastąpiono dziurami w ziemi, nad którymi trzeba było przykucnąć. Jak na wychodek był całkiem czysty, co znaczy, że latało tu zaledwie kilka much.

Kiedy skończyłam, zaprowadził mnie z powrotem do boksu i włożył na szyję luźną metalową obrozę, którą przyczepił do długiego łańcucha przytwierdzonego do tylnej ściany, tak jak u Stephanie.

Pogwizdując cały czas, wyszedł znowu i wrócił z miską pełną jedzenia i korytkiem z odrobiną wody, po czym oba naczynia przymocował u góry drzwi, żeby mogła jeść i pić na stojąco (oczywiście bez użycia rąk), twarzą do korytarza pośrodku stajni. Do jedzenia dostałam mieszankę ziaren i warzyw, którą trochę czuć było owsem.

Miała formę małych granulek przypominających płatki śniadaniowe. Zdrowa karma, pomyślałam, zbilansowana z myślą o dziewczynach-kucykach.

Udało mi się rozpoznać jedynie kawałki surowej marchwi i selera wymieszane z chrupkami à la Pedigree Pal.

Dopiero po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, jak odczłowieczające jest jedzenie posiłków przygotowanych wyłącznie ze względu na ich wartość odżywczą. Nie miałam ochoty na tę paszę, ale byłam głodna i uznałam, że lepiej będzie, jeśli coś zjem. A kiedy Frank wrócił, niosąc duże, idealnie zielone jabłko, wyglądało tak kusząco, że spałaszowałam je prosto z ręki, a potem jeszcze do czysta wylizałam mu palce. Poglądził mnie najpierw po głowie, żeby wytrzeć ręce, a potem po twarzy, a ja przestraszyłam się, że zaczynam darzyć go czymś w rodzaju afektu.

Na koniec wszedł do boks, pogładził mnie po pupie, śpiewnym głosem powiedział, że jestem dobrą klaczką, która potrzebuje teraz odpoczynku, i wskazał kilka koców rzuconych na stertę słomy. Wpełzłam między nie i po chwili zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, w stajni panował dużo większy ruch. W boksach było pełno dziewczyn. Doszłam do wniosku, że dano mi wcześniejszy obiad, bo byłam nowa, i że spałam, kiedy wróciła reszta. Teraz właśnie miały – miałyśmy – z powrotem wyjść na zewnątrz.

Chłopcy stajenni uwijali się, zakładając uzdy i uprząże.

Po chwili jeden z nich, chłopak, którego wcześniej nie widziałam, przyszedł, żeby mnie przygotować.

– No to do roboty – powiedział śpiewnym głosem. – Wstawaj, wstawaj, dziewczyno, nanana – zanucił, gdy potykając się o własne nogi i przecierając oczy, zaczęłam podnosić się z posłania.

Przymocował mi z powrotem ogon, natłuściwszy wcześniej dildo, a potem nałożył nową uzdę.

Wyglądała tak samo jak poprzednia, tylko wędzidło było z zimnego metalu – uznałam, że pierwsza była po prostu ćwiczebna. Zdjął mi też starą metalową obrozę i założył uprząż, która obejmowała cały tors i kończyła się u góry nową, sztywną obrozą.

Do pary były obrączki na ręce, które spiał mi na plecach, nieco ponad talią, żeby nie zachodziły na ogon. Na koniec włożył mi buty, przyczepił lejce do uzdy i wyprowadził z boks.

Tego popołudnia zdążyłam się zorientować, że przy czternastu dziewczynach w stajni pracowało czterech facetów: Frank, Aerosmith, który tak naprawdę miał na imię Mike, i dwóch innych – Don i Phil. Wszyscy czterej sprawnie współdziałali, wykrzykiwali pytania i odpowiedzi, dzielili się zadaniami. I byli szybcy. W końcu ubranie nas we wszystkie te akcesoria nie było żadnym cudownym erotycznym rytuałem – to była praca, za którą im płacono, taka sama jak zmiatanie stajni i smarowanie kół w wózkach. Zamocowanie rzemyków, zapięcie klamerek i włożenie mi butów zajmowało Philowi pewnie tyle czasu, ile mnie opisanie tych czynności. Przy czym trzeba w to wliczyć jeszcze sprawdzenie mocowań oraz ogólne naciąganie i ściskanie, dopóki nie poczułam się, jakbym była w gorsecie.

Wyprowadziwszy mnie z zagrody, Phil ruszył wzdłuż korytarza i boks po boksie zebrał lejce innych dziewczyn. Po chwili dreptałyśmy żywo we cztery ścieżką w stronę maneżu, a popołudniowe słońce zalewało świat uroczym złotym światłem. W jego promieniach wszystko wyglądało jak istna sielanka.

Dużo uwagi poświęcałam temu, by dotrzymać kroku Philowi i znaleźć wygodną pozycję dla języka na wędzidle.

Dlatego dopiero po chwili zauważyłam, że wśród dziewczyn była zachwycająca Stephanie – płynęła obok z podskakującym ogonem. Spróbowałam nawiązać z nią kontakt wzrokowy, a kiedy wyraźnie, choć subtelnie dała mi znać, że nie jest zainteresowana, przyłapałam się na tym, że mimowolnie wywracam oczami i wzdycham. Nie sądzę, żeby moje westchnienie było słychać, ale język ciała musiał być dostatecznie wymowny, bo dziewczyna z drugiej strony trąciła mnie biodrem.

Spojrzałam na nią, a ona wskazała głową na Stephanie i tak samo wywróciła oczami.

Uśmiechnęłabym się do niej, gdyby tylko pozwoliło mi na to wędzidło, ale i bez tego wiedziała.

Po drodze na maneż miałam okazję jej się przyjrzeć. Krótkie kręcone blond włosy, widoczny pod rzemieniami spiczasty podbródek, wysokie kości policzkowe, bardzo jędrne stożkowate piersi, które dzięki uprząży były jeszcze bardziej sterczące, i wspaniałe sprężyste mięśnie pod pięknie opaloną skórą. Uznałam, że to musi być Cathy. W dodatku wyglądała znajomo. Zaraz, gdzie ja ją. . Tak, ciało pamięta, nawet jeśli umysł zaprzęta nowe zasady i idee. Mój wzrok mimowolnie powędrował na jej udę w poszukiwaniu śladów bicia. I tak, były tam, bardzo delikatne, niemal już zagojone. Nie do pomylenia z

niczym innym. Precyzyjnie rozmieszczone. Przypomniałam sobie jej panią na prezentacjach i uwielbienie w spojrzeniu Cathy. Ucieszyłam się, że mimo tego uwielbienia najwyraźniej nie brakowało jej poczucia humoru. Nawet gdybyśmy miały tylko wywracać oczami, fajnie, że była tu ze mną.

Tymczasem nasza czwórka i pozostałe grupy kucyków prowadzone przez innych chłopaków zdążyły dotrzeć na maneż. Czekał tam już na nas sir Harold, a że doglądał wszystkiego bardzo skrupulatnie, chłopcy zwijali się jak w ukropie. Część kucyków zaprzęgnięto do wózków – zauważyłam jeden dwuosobowy, ciągnięty przez dwie dziewczyny, i nawet jeden kuśny odkryty powóz do ciągnięcia przez dwie pary. Cudownie byłoby móc przyrzuć się skomplikowanym przygotowaniom do przejażdżki, którymi byli zajęci elegancko ubrani goście, Frank jednak ostro szarpnął za lejce i zaprowadził nas z Cathy na maneż.

Zatrzymałyśmy się przed czymś w rodzaju słupa majowego z długimi na jakieś trzy metry łańcuchami zwisającymi ze szczytu. Wokół słupa widać było porządnie wydeptaną kolistą ścieżkę.

Frank przerzucił nam lejce przez kark i przyczepił każdej łańcuch do obroży. A potem rozmieścił nas starannie na ścieżce – Cathy na godzinie dwunastej, mnie na trzeciej – tak że łańcuchy miałyśmy napięte, i donośnym, szorstkim głosem krzyknął:

– Stępa!

Ruszyłyśmy. Próbowałam naśladować Cathy, dotrzymać jej tempa, przybrać taką samą postawę.

Uważałam też, żeby zachować stałą odległość i napięcie łańcucha. Moglibyście pomyśleć, że to bułka z masłem, sama zresztą sądziłam, że radzę sobie całkiem nieźle, ale niech mnie diabli, jeśli szpicruta Franka nie spadała na moje łydki, pośladki czy ramiona za każdym razem, kiedy go mijałam.

– Głowa do góry! – krzyczał. – Cycki do przodu! Kolana wyżej!

Najgorsze, że miał rację. Już po fakcie zdałam sobie sprawę, że Cathy trzyma głowę wyżej i prezentuje ciało w bardziej wyszukany i elegancki sposób niż ja. Śliniąc się pod wędzidłem, z całych sił starałam wziąć się w garść.

I chyba mi się udało, bo przeszłyśmy do kłusu i galopu (doszłam do wniosku, że krok defiladowy należy do zaawansowanej części kursu). A poczułam, że naprawdę zrobiłam postępy, kiedy wraz z upływem popołudnia liczba okrążeń, podczas których nie dostałam szpicrutą, zaczęła przewyższać liczbę tych, przy których obrywałam, i to mimo że Frank wywrzaskiwał komendy coraz częściej, każąc nam zmieniać chód niemal w pół kroku.

Udało mi się odrobinę odprężyć – akurat na tyle, żeby zdać sobie sprawę, jaka to ciężka praca. A gdy tak krążyłam wciąż wokół słupa, czułam, jak strasznie bołą mnie mięśnie nóg. I plecy. I brzuch od ciągłego trzymania się prosto. Coraz bardziej dawały mi się we znaki sińce i obrzęki po uderzeniach. Słony pot wraz z kurzem skapywał mi do oczu, dyszałam, a z kącika ust spływała mi cieniutka nitka śliny. W końcu zatrzymałyśmy się i gdy dochodziłyśmy do siebie, Frank otarł nas z potu.

Zrozumiałam, że musiały minąć godziny. Godziny bolesnego, monotonnego stępa-kłusu-galopu. Na dworze wciąż było ciepło, ale słońce stało dużo niżej, niż kiedy zaczynałyśmy.

Podeszli do nas sir Harold i facet, którego widziałam rano. Facet odczepił Cathy od słupa i zabrał ją ze sobą, a sir Harold powiedział do Franka:

– Zobaczmy, czego udało ci się dokonać.

Frank kazał mi więc iść stępa, a ja ruszyłam.

Bez Cathy na przedzie było mi wprawdzie trudno, ale okazało się, że moje mięśnie zasadniczo zapamiętały rytm.

Frank milczał, pozwalając sir Haroldowi wykrzykiwać komendy i strzelać szpicrutą.

Sir Harold miał oczywiście twardszą rękę, ale nawet on nie bił mnie za każdym okrążeniem, uznałam więc, że zrobiłam postępy. A kiedy się zatrzymałam, a on szorstkim tonem kazał Frankowi mnie umyć i dodał na odchodnym: „Możesz ją mieć, jeśli chcesz”, wiedziałam, że nie przyniosłam wstydu ani Frankowi, ani sobie (ani Jonathanowi, pomyślałam, ku swojemu własnemu zaskoczeniu).

Frank bez słowa zaprowadził mnie z powrotem do stajni. Większość kucyków stała już umyta w swoich boksach.

Na podwórzu zostało tylko kilka dziewczyn, które wycierano, i Stephanie, której włosy z wielką czułością szcztokował Aerosmith. Boże, pomyślałam, żeby wypłukać piasek z takich włosów i żeby je rozczesać, potrzeba godzin. A mimo to Aerosmith sprawiał wrażenie, jakby był w siódmym niebie (moim zdaniem to wcale nie wyglądało jak praca i byłam ciekawa, jak on się z tym czuje), natomiast Stephanie znów wyglądała, jakby myślamy była gdzie indziej.

Frank zdjął mi wszystkie akcesoria i złożył w schludny stosik na ziemi, a potem odkręcił kran i skierował na mnie szlauch z zimną wodą. Zrobiłam gwałtowny wdech.

Tego się nie spodziewałam.

Ciśnienie wody podrażniło zranienia, ale obolałe mięśnie poczuły ulgę, kiedy namydlił mnie od stóp do głów i wyszorował miękką szczotką, a potem splukał i wytarł do sucha.

– Już – powiedział śpiewnym głosem, zbierając uprząż i pozostałe akcesoria – wracaj do boksu.

Jeszcze tylko chwila pracy i dostaniesz pyszną kolację.

Klepnął mnie w zadek, a ja pospiesznie weszłam do środka. Chciałam mieć już za sobą pracę i paskudną kolację i móc się po prostu zwalić na słomę.

Wszedł do boksu za mną, porozwieszał starannie wszystkie akcesoria, przyczepił metalową obrozę do łańcucha, po czym – ku mojemu zdumieniu – pocałował mnie w usta.

To był długi, głęboki pocałunek z języczkiem, który sprawił, że jęknęłam i pocałowałam go w odpowiedzi.

– Śliczne usteczka – zamruczał – takie śliczne bez tego wędzidła, o tak...

A potem zaskoczył mnie jeszcze bardziej, szepcząc do ucha: – Zapomnij o tych końskich głupotach i bądź przez chwilę dziewczyną, a nie jakimś cholernym kucykiem.

Podszedł do wiązki słomy, położył się na plecach i oparł na łokciach. Wsadził sobie źdźbło trawy w zęby i szarpnął za łańcuch, żeby mnie przyciągnąć. Pchnął moje ramiona w dół, tak że znalazłam się na kolanach, i podniósł nogę.

– A teraz, kochanieńka – powiedział, przeciągając samogłoski – możesz wykorzystać te swoje śliczne usteczka, żeby mi wyczyścić buty.

O fu. Jego stare kowbojki z wężowej skóry były całe pokryte kurzem, ziemią i trawą.

Pomyślałam o nieskazitelnym butach Jonathana, które musiałam wylizać, o tym pierwszym głupim upokorzeniu, gdy kazał mi usunąć z nich ślad szminki. Witaj na łonie natury, miastowa dziewczyno.

Chwilę – i to niekrótką – trwało, zanim udało mi się je wyczyścić, a kiedy skończyłam, w ustach miałam naprawdę podły posmak. Frank dał mi trochę wody do popicia, a potem rozpiął sprzączkę i wyciągnął pasek ze spodni.

– A teraz porządnie mi obciągnij, Carrie – powiedział miękko. – I postaraj się nie gorzej niż przy butach, bo inaczej spiorę ci ten mały tyłek tak, że się nie pozbierasz. I to nie szpicrutą, tylko paskiem, może nawet sprzączką.

Pomyślałam, że skoro jestem dziewczyną, to mogę rozpiąć mu rozporek i wyjąć kutasa rękami.

Uznałam, że warto przetestować nowe zasady. Wyszeptałam więc miękko: – Mogę użyć rąk, żeby ci wyjąć kutasa, Frank? Mogę go dotknąć rękami?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i trzepnął mnie lekko.

– Grzecznitka dziewczynka, co? Możesz, słonko, jeśli tylko się pospieszysz.

Tak też zrobiłam. Rozpięłam mu rozporek, pomyszkowałam przy nim trochę, dopóki jego kutas praktycznie sam nie wyskoczył, a potem ssałam, ssałam i ssałam, a on śmiał się i jęczał, trzymając wielką ciężką rękę na moim karku.

Kiedy już doszedł, najpierw odpoczął chwilę, a potem wsunął pasek w szlufki, szarpnął za łańcuch przyczepiony do obroży i szepnął:

– Czas na kucyka.

I wróciliśmy do końskiej zabawy – ja stałam w milczeniu przy drzwiach boksu, a on pogwizdywał, klepał mnie po zadku i śpiewnym głosem wygadywał nedorzeczności, które się mówi zwierzętom, szykując kolejną porcję zbilansowanej karmy na kolację. A gdy wpełzałam między koce, mając nadzieję, że obolałe mięśnie zdążą przez noc odpocząć i przygotować się na to, co im przyniesie nowy dzień, zastanawiałam się, ile poziomów prania mózgu czeka mnie jeszcze w tym miejscu.

I właśnie wtedy, kiedy już miałam zapaść w sen, zauważyłam coś naprawdę dziwnego.

Kawałeczek gumowego węża długości może pięciu centymetrów wślizgnął się przez dziurę po sęku w ścianie, którą, jak sobie uświadomiłam, dzieliłam z Cathy. Dobiegło z niego ciche, choć wyraźne: „psyt!”, które miało zwrócić moją uwagę.

Przyłożyłam węża do ust i szepnęłam: „Cathy?”, a potem przysunęłam do niego ucho.

– Tak – odszepnęła. – I co myślisz? Jak tam Frank?

– To zboczeniec – odparłam. – Lubi rozmawiać z kucykami, jakby to były dziewczęta.

Stłumiła chichot.

– Coś tam słyszałam. Sir Haroldowi by się nie spodobało, gdyby się dowiedział.

– Skąd masz tego węża? – spytałam.

– Wczoraj czy przedwczoraj kazali mi się czołgać po podwórku z siodłem na grzbiecie i wtedy go znalazłam. Leżał na ziemi. Ukryłam go w dłoni na wypadek, gdybym miała sąsiadkę, z którą chciałabym pogadać.

Poczułam się jak mała dziewczynka, która wyjechała na letni obóz i właśnie zyskała przyjaciółkę.

Sprawy przybrały wreszcie lepszy obrót.

Cathy była tu od czterech dni i miała pozostać jeszcze trzy, zanim madame, jak nazywała swoją panią, zabierze ją do domu.

– Zastanawia się, czy mnie nie wystawić w pokazie ujeżdżania – powiedziała. – Dlatego wysłała mnie tutaj.

Żeby przeszła podstawowe przeszkolenie. Mogłaby zrobić maneż u siebie. A nawet zatrudnić tresera.

– A co ty o tym myślisz? – spytałam.

Zaskoczyła mnie całkowita przemiana, jaka zaszła w jej głosie. Zupełnie zniknął z niego ton zuchwałego chichotu.

– Jestem zaszczyczona, rzecz jasna – odparła po prostu. – Mam nadzieję, że będzie zadowolona, kiedy zobaczy, czego się nauczyłam.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc Cathy mówiła dalej.

– A twój pan? To ten piękny mężczyzna ze szpakowatymi włosami, prawda? Dlaczego cię tu przysłał?

Najlepiej, jak potrafiłam, wyjaśniłam jej, że moje szkolenie przed aukcją zostało przerwane przez wyjazd Jonathana do Chicago. Cathy słyszała o aukcjach, ale nie wiedziała o nich nic, czego nie wiedziałabym i ja.

– Ale to znaczy, że będziesz musiała opuścić swojego pana. Ja bym chyba umarła – stwierdziła. – Carrie, czym go zdenerwowałaś? Nie pęka ci serce?

Zastanawiałam się właśnie, co na to odpowiedzieć, kiedy usłyszałyśmy kroki.

Korytarzem szedł jeden ze stajennych. Kontrola łóżek, pomyślałam. Wtuliłam się w koc, udając, że śpię.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, była pobudka w plamie jasnego słońca.

Karmienie, oporządzanie, zakładanie uprząży. Uświadomiłam sobie, że to rutyna i że tak już będzie co dzień.

Mięśnie nóg miałam zeszywniałe, ale nie tak strasznie. A kiedy stajenny – tym razem był to Aerosmith – przyszedł, żeby mi założyć wędzidło, buty i resztę, umiejętnie roztarł mi łydki, używając jakiegoś specyku z brązowej buteleczki, co najwidoczniej pomogło.

Gdy przyprowadzili nas na maneż, zostałam zaprzężona do wózka, który już zupełnie przypominał taczkę. To znaczy wyraźnie był to wózek ćwiczebny i równie dobrze mógłby mieć przymocowany znak nauki jazdy. Mimo to stałam na baczność, kiedy Don ściągnął rzemienie i przywiązał zaczepy na moich obręczkach do rączek pojazdu.

Kiedy skończył, podszedł do mnie i w milczeniu pokazał mi bat – długi, z przerażającą plecionką z ciemnobrązowej skóry. Zwinął rzemień w dłoni i przejechał twardym końcem po moich piersiach, kości łonowej i twarzy.

Na koniec wdrapał się na wózek, pociągnął za lejce i krzyknął: – Wio!

Ruszyłam i niebawem dotarliśmy do rozstaju dróg. Łatwo się było zorientować, w którą stronę mam skręcić, bo Don ostro szarpnął z prawej. Usłuchałam i po chwili truchtałam po czymś, co wyglądało na szlak turystyczny, który wznosił się i opadał, prowadząc przez zagajniki i grzbiety wzgórz. Gdy Don chciał, żebym zmieniła krok, wykrzykiwał komendy, którym towarzyszył cały system szarpnięć i pociągania za lejce. Po jakiejś półgodzinie przestał wykrzykiwać rozkazy, żeby sprawdzić, czy rozumiem sygnały, i strzelał batem za każdym razem, kiedy spóźniałam się z reakcją.

To było trudne. Bałam się, że pomyłę krok, wdepnę w jakąś dziurę albo skręcę kostkę na kamienistej ścieżce, zwłaszcza gdy zbiegałam ze zbocza.

A kiedy wreszcie zaczęłam pewniej stawiać kroki i reagować na sygnały, strzelanie batem stało się jeszcze dotkliwsze. Bo nie wystarczało, że postępowałam zgodnie z instrukcjami, utrzymywałam stałe tempo i równowagę.

Musiałam jeszcze dobrze wyglądać, trzymać głowę wysoko, wypinać cycki, podnosić kolana i pozwolić pupie podskakiwać. A co, zbeształam się w duchu, myślałaś, że ludzie, którzy będą tobą powozić, płacą sir Haroldowi za piękno krajobrazu? Złapałam się na tym, że migają mi przed oczyma obrazy z wyścigów konnych, parskanie i kąś nachylenia końskiej głowy, lekkość, z jaką zwierzęta stawiały nogi. Z całych sił starałam się wyglądać dobrze i zaczęłam odczuwać nawet jakąś perwersyjną dumę.

Znaleźliśmy się znowu na otwartej przestrzeni i ruszyliśmy, jak przypuszczałam, z powrotem w kierunku maneżu.

Wyszliśmy na prostą, a ja zorientowałam się, że jedziemy prosto na niski kamienny murek. Nie dostałam od Dona żadnego sygnału, żeby zwolnić – czyżby zasnął? Ej, może jestem zboczona, ale na pewno nie szalona, pomyślałam i zaczęłam hamować, kiedy rozpętało się piekło. Szarpnięcie lejców

porwało moją głowę w tył, bity zaczęły się sypać na moje ramiona i pośladki, a Don zaczął wyrzaskiwać obelgi.

– Nie, źle, nie tak! Tępa klacz! Głupia dziewczucha.

Zatrzymałam się – teraz z całą pewnością lejce kazały mi to zrobić – a on wyskoczył z wozu i dopadł do mnie rozwścieczony.

– Kazałem ci zwolnić? – wrzasnął. – Pociągnąłem za lejce albo wydałem komendę?

Skąd ci, do cholery, przyszło do głowy, że to ty decydujesz, co robić?! Skąd w ogóle pomysł, że masz myśleć?

No jasne. Murek to był test. Oblałam konkursowo. Po fakcie wydawało się to takie proste. To oczywiste, że nikt by mi tutaj nie pozwolił na niego wjechać. Nikt by nie zasnął na koźle. Don zdążyłby kazać mi się zatrzymać ze sto razy.

Byłam głupia. I zła. Zwiesiłam głowę i się rozplakałam.

Don patrzył na mnie przez chwilę, a potem poklepał mnie leciutko po policzku.

– No już, głowa do góry – powiedział i nie było to niemiłe. – Spróbujemy jeszcze raz.

Wsiadł do wózka, zawrócił mnie i cofnęliśmy się kilkaset metrów. Tym razem po prostu biegłam w kierunku murka dumnie i ufnie, dopóki w ostatniej chwili Don nie szarpnął mnie za głowę. Wbiłam obcasy w ziemię i zatrzymałam się – równie szybko jak Stephanie dzień wcześniej. A gdy wracałam kłusem na maneż, który był już całkiem blisko, uszczęśliwiona słuchałam pochwał i słów otuchy, które mruczał Don. I niemal zupełnie ignorowałam myśl, która nieproszona zakradła się do mojej głowy: sir Harold miał rację, Jonathan mnie nie pozna.

Don poinformował sir Harolda, że jego zdaniem mogę wozić klientów, i zrelacjonował mu szczegółowo wydarzenia dzisiejszego poranka. Sir Harold sprawiał wrażenie raczej przekonanego i powiedział, że się zastanowi. Phil wyprzągnął mnie i zabrał do stajni, gdzie zostałam oporzędzona, nakarmiona i gdzie mogłam się zdrzemnąć. A potem, po południu, obsłużyłam pierwszego klienta.

Znając moje szczęście, pierwszą klientką okazała się oczywiście jakaś Muf y. Nie była to akurat żadna z Muf nek Jonathana, tylko po prostu przedstawicielka tego typu. Co oznaczało, że nawet jeśli sądziłam, że sprawuję się całkiem nieźle, nie ominęły mnie solidne bity. Podejrzewam, że jest we mnie coś, co wyprowadza je z równowagi – jestem dla nich symbolicznym alter ego, kimś, kto rozpala imaginację, pozwala wyobrazić sobie, jak one sprawowałyby się na moim miejscu.

A z drugiej strony, jak stwierdził sir Harold, za dużo myślę. Tego nigdy nie uda mi się zmienić.

Jednak już pierwszego popołudnia nauczyłam się, jak powstrzymać myślenie, kiedy ciągnę wózek.

Rzecz w tym, że trzeba uwzględnić mnóstwo zmiennych zycznych: światło, cień, śmigające obok kolory, ukształtowanie ścieżki pod nogami, skomplikowany splot wędzidła, ogona i upręży, przyjemność i pragnienie kierowcy, które przekłada się na szarpnięcia lejcami i trzask bata. Jest jeszcze ból mięśni, ból, który sprawiają stłuczenia i siniaki, tupot stóp, bicie serca, krótki oddech, klucie w piersi, palący słony pot, który skapuje do oczu. I wyzwanie, ciągłe wyzwanie, żeby prezentować się dobrze, godnie i mimo wszystko trzymać prosto.

No cóż, mimo całego tego poetyzmu moja nowa, kucykowa persona nie przestała plotkować i chichotać z Cathy po zapadnięciu zmroku. To była miła przerwa, sposób, żeby pobyć sobą. Ale nie za bardzo i niezbyt głęboko. Bo odkryłam, że choć Cathy najbardziej na świecie lubi bez końca gadać o madame, jej elegancji i okrucieństwie, ja wcale nie mam ochoty rozmawiać o Jonathanie. Byłam zdezorientowana i nie wiedziałam, co czuję w związku z tym, że miałam go opuścić.

Cathy była w porządku. Nie rozumiała mnie, ale wiedziała, że każdą niewolnicą i każdym niewolnikiem powoduje coś zupełnie innego i że na tym polega ich wyjątkowość. Dlatego przestała zadawać pytania, na które najwyraźniej nie miałam ochoty odpowiadać.

Spędzałyśmy więc wieczory, wymieniając się spostrzeżeniami na temat klientów, stajennych – zwłaszcza gdy w ramach nagrody za dobrą pracę sir Harold pozwalał im z nas korzystać – i oczywiście innych kucyków. Z zebranych skrawków informacji udało nam się wywnioskować, że choć większość z nas była tu tymczasowo, a nasi panowie i panie bez wątpienia musieli płacić sir Haroldowi skandalicznie dużo za tresurę, cztery dziewczyny należały do niego. To one właśnie maszerowały krokiem de ladowym, a nawet, wyszeptaną z podziwem Cathy, biegały po leśnych ścieżkach w butach na obcasie. Trudno mi było w to uwierzyć, ale obserwowałam je, gdy tylko nadarzyła się okazja. Gil ian, Cynthia, Anna i Jenny stawiały zadziwiająco pewne kroki, wyglądając przy tym tak dumnie i wspaniale, że uznałam to za całkiem możliwe.

Ale ulubionym tematem naszych wrednych plotek była naturalnie Stephanie, wstrętna mała księżniczka Stephanie.

Bo nawet kucyki sir Harolda nie były tak wyniosłe, nie robiły wszystkiego tak idealnie i nie

zachowywały przy tym tak nieobecnego wyrazu twarzy jak ona. Dla Cathy tak samo jak dla mnie jasne było, że Mike – Aerosmith, jak wciąż go nazywałam w myślach – był w niej żałośnie zadurzony. Żadna z nas tego nie pochwałała. Cała reszta dziewczyn utrzymywała z chłopakami, którzy pracowali dla sir Harolda, dobre stosunki, podziwiała ich umiejętności i z wyrozumiałością patrzyła na dziwactwa (na przykład dziewczęcą perwersję Franka). Zdumiewające, myślałam, ile można wyrazić, gdy ma się w ustach wędzidło. I ile inni mają człowiekowi do zakomunikowania.

Przypomniało mi się, jak Kate Clarke powiedziała swego czasu Jonathanowi, że gdybym należała do niej, założyłaby mi wędzidło i uzdę. Zaczynałam ją rozumieć. Doszłam do wniosku, że miała rację – bardzo potrzebowałam takiego treningu.

Stephanie natomiast sprawiała wrażenie, jakby go nie potrzebowała, jakby była ponad to. Cathy i ja prześcigałyśmy się w złośliwościach, podpuszczałyśmy się nawzajem, wymyślając dla niej upokorzenia, które nigdy jej nie dotykały, tak była nadęta i doskonała. Gdyby to był letni obóz, pewnie zdążyłybyśmy już jej zrobić kocówę. Albo włożyć rękę do wiadra z wodą w czasie snu, żeby zsikała się do śpiwora.

– Chciałabym ją zobaczyć – wyszeptła pewnej nocy Cathy – zaprzęgniętą do pługa.

To była jej ostatnia noc tutaj – następnego dnia miała po nią przyjechać madame. Była tym tak podniecona, że nie mogła zasnąć, a mnie było smutno, że odjeżdża, więc też nie chciało mi się spać.

Zmęczone i podenerwowane przepowiadałyśmy jeszcze raz wszystkie zmyślane historyjki z udziałem Stephanie, żeby sobie dotrzymać towarzystwa. Ale pług stanowił dla mnie nowość.

– Pług? – wyszeptalam. – To tutaj jest całe gospodarstwo?

– Kiedy jechałyśmy tu z madame – odparła – widziałam dziewczynę ciągnącą pług.

Myślę, że mają ogród warzywny i hodują jakieś kwiaty. W każdym razie ta dziewczyna zdążyła już wrócić do domu. Była wtedy strasznie zmęczona, cała zakurzona i w ogóle. Przygarbiona. Wyglądała koszmarnie.

Madame spytała sir Harolda, o co chodzi, a on zagrzmiał: „To kara”. A potem spojrział na mnie i dodał: „Dla niegrzecznych kucyków”.

– O rany – wysapałam. – Brzmi strasznie. Idealne dla niej.

Obie byłyśmy pod takim wrażeniem tego obrazu, że nie usłyszałyśmy, kiedy Phil i Mike – tej nocy akurat obaj – przyszli na wieczorną kontrolę łóżek. Światło ich latarki padło prosto na gumowy wąż, który ja trzymałam przy ustach, a Cathy przy uchu.

– Popatrz, popatrz – powiedział Phil, przeciągając samogłoski. – Widziałeś kiedyś coś podobnego? Dwa kucyki gadają sobie przez telefon. A raczej udają, bo przecież wszyscy wiedzą, że kucyki nie mówią. To takie słodkie. Mike, zdaje się, że musimy o czymś poinformować szefa. Wy dwie, ruszać tyłki!

Zerwałyśmy się na równe nogi, a Phil i Mike zebrali cały nasz ekwipunek – buty, uzdy, wszystko – i włożyli nam w ramiona, nie zapominając o telefonie. A potem obaj chwycili szpicruty i tłukąc nas z całych sił po pośladkach, popędzili przez noc dróżką, na której nigdy nie byłyśmy, do domu sir Harolda.

To był staromodny dom na wzgórzu, z werandą dookoła, dwuspadowym dachem, mnóstwem ozdób i wieżyczkami. W oknie na górze paliło się światło, toteż nie minęło wiele czasu, a sir Harold stanął w drzwiach. Był boso, tak że pod obszernym rdzawoczerwonym szlafrokiem z wielkim złotym herbem na kieszonce było widać chude, owłosione kostki. Pokiwał głową, gdy Phil wyjaśnił mu sytuację i pokazał kawałek węża wyciągnięty z kieszeni.

– Rozmawiały – mruknął. – Szokujące. No cóż, chłopcy, czeka nas pracowita noc.

Weźcie dwuosobowy wózek i zaprzęgnijcie do niego niegrzeczne kucyki. Zejdę do was za kilka minut.

Phil poszedł po pojazd, a Mike w tym czasie zaczął nam zakładać uprząż, wędzidła, buty i ogony.

Przerazała mnie myśl o nocnej przejażdżce – nie wierzyłam też, że będzie to nasza jedyna kara – ale jeszcze bardziej bałam się spojrzeć na Cathy. W milczeniu połykała łzy, które kapały jej z oczu jak groch. Wiedziałam, że myśli o tym, że jutro rano przyjedzie po nią madame. Sir Harold na pewno wszystko jej opowie.

Nie minęło więcej niż pięć minut, gdy wrócił Mike z dwuosobowym wózkiem i zgrabnie nas do niego zaprzaglił.

A potem sir Harold spłynął ze schodów. Miał wprawdzie buty i skarpetki, ale wciąż był w szlafroku. Niósł ze sobą ogromny, złowieszczy czarny bat. Spojrział na nas groźnie, wdrapał się na wózek i strzelił z bata, pociągając za lejce.

To był sygnał, że mamy ruszać ścieżką biegnącą przez grzbiet i dalej przez las najszybszym galopem.

I tak to wyglądało przez następną godzinę. Biegłyśmy wciąż przed siebie, szybciej, niż sądziłam, że to możliwe, bat trząsał bez ustanku, a my obie skamlałyśmy, płakałyśmy, dyszałyśmy i czułyśmy się, jakby ta przejażdżka miała trwać wiecznie. Co pewien czas któraś z nas wpadała w poślizg – w ciemnościach ścieżka wyglądała inaczej, a w najgęstszych partiach lasu nie było widać nawet księżycy – a druga

ciągnęła ją, póki ta nie złapała znów rytmu.

Raz zdarzyło się, że poślizgnęłyśmy się obie równocześnie – mgliście pomyślałam, jakie to szczęście, że ścieżka akurat biegła w górę i wózek nie mógł nas przejechać, bo nie wierzyłam, że sir Harold użyłby hamulca. Chwiałyśmy się na nogach, bat wiąz spadał nam na plecy, aż w końcu jakieś dziesięć minut później sir Harold skierował nas z powrotem na maneż. Frank, Mike, Don i Phil siedzieli na płocie, czekając na nas w świetle latarni.

– Przeprowadźcie je do mnie za godzinę – powiedział sir Harold, kiedy Don i Phil zeskoczyli, żeby nas wyprząc. – Do tego czasu możecie sobie z nimi poużywać. – I ruszył ścieżką do domu na wzgórzu z powiewającym za plecami szlafrokiem.

Chłopcy zdjęli z nas wszystko poza ogonami i wepchnęli na maneż. Don, klepnawszy nas z całej siły w zadki, rzucił szorstko:

– Wio!

Nie widziałam, w którą stronę pobiegła Cathy. Wystartowałam boso w kierunku, który wydawał się wskazywać klaps. Byłam już w pół drogi, gdy poczułam, że coś ciągnie mnie na ziemię.

Zaskoczona spojrzałam w dół i zobaczyłam linę w połowie tułowia, a gdy podniosłam wzrok, okazało się, że drugi jej koniec trzyma Frank. Złapał mnie na łąso! Mój Boże, nie miałam pojęcia, że znają tutaj sztuczki rodem z Dzikiego Zachodu.

Owszem, znali i zabawiali się nimi przez jakieś piętnaście minut: wszyscy musieli spróbować złapać nas na arkan, szarpnąć mocno i zatrzymać. W końcu zmęczyła ich ta zabawa i któryś, zdaje się, że Mike, krzyknął: – Na czworaka!

I macie na nas patrzeć.

Gdy posłusznie uklękłyśmy pośrodku maneżu, stwierdził:

– Wyglądacie odrażająco.

Miał rację. Byłyśmy całe brudne, spocone, zapłakane i zaplute.

Pozostali stajenni przytaknęli, a Phil powiedział:

– Gdybyśmy chcieli was wypieprzyć, musielibyśmy was najpierw umyć. A to trochę za bardzo przypominałoby pracę. Szef dorzucą pieprzenie za friko, żeby móc nam dalej płacić marne grosze. A dobrze wiecie, jak cholernie ciężko tyramy. Więc żadna dodatkowa praca nie wchodzi w grę.

Myśleliśmy raczej o tym, żeby popatrzeć.

Wszyscy czterej zamilkli, żeby zobaczyć, co zrobimy. Spojrzałam na Cathy, a Cathy na mnie i obie posiniaczone, obolałe, wyczerpane i przerażone nie potrafiłyśmy powstrzymać uśmiechu. Wcale nie byliśmy tacy źli i to nie była najgorsza kara, jaką mogli nam wymyślić.

– Dobra, ale możemy się najpierw trochę umyć? – spytałam. – Albo jedna drugą?

– Niech będzie – niechętnie zgodził się Frank. – Ale macie się pospieszyć.

Któryś rzucił nam szmatę, a my pobiegłyśmy do kranu obok bramy prowadzącej na maneż. Udało nam się obetrzeć trochę nawzajem z najgorszego paskudztwa. Pocałowałam Cathy delikatnie w usta, a ona pogładziła moją pierś. Wróciłyśmy, trzymając się za ręce, na środek areny.

Tam stanęłyśmy, spoglądając na siebie. Zastanawiałyśmy się, co dalej. Wiedziałam, że chłopaki zaczynają się niecierpliwic, ale uznałam, że mamy prawo pomyśleć przez chwilę. I wtedy Cathy zrobiła krok do przodu i przytuliła się do mnie. Byłyśmy mniej więcej tego samego wzrostu i cudownie było poczuć dotyk jej piersi na moich. Zaczęłam ją gładzić, rysować po jej ciele swoimi piersiami, przesuwać nimi w górę i w dół, kręcić koła.

Miała jędrne ciało i gładką skórę. Jak piaskowiec, pomyślałam, jak eskimoskie rzeźby, tylko że z każdą chwilą coraz cieplejsze, bardziej miękkie i plastyczne.

Popchnęła mnie w dół, na kolana, a ja zaczęłam lizać jej wklęsły brzuch, zarys kości biodrowych.

Rysując językiem ogromne koła, zatrzymałam się na chwilę przy jej włosach łonowych.

Piersiami opierałam się na jej udach, a rękami trzymałam ją za pośladki.

Aż w końcu nie mogła już dłużej znieść mojego drażnienia ustami i przyciągnęła mnie za głowę do swojej cipy.

– Klasa, kurde – wymamrotał jeden z chłopaków.

Zorientowałam się, że zostawili za sobą ogrodzenie, gdzie siedzieli albo stali, i zebrali się dookoła nas. Dobrze, pomyślałam, może ich czegoś nauczę. Nikomu nie stałoby się krzywda, gdyby od czasu do czasu wylizali jakąś miłą cipkę. Zanurzyłam język w cipie Cathy, żeby dokładnie ją zbadać, obrysowywać kształt warg sromowych, po czym zatrzymałam się i zaczęłam ssać.

Usłyszałam jęk i poczułam fale krótkiego, nagłego orgazmu. Zbyt szybko, pomyślałam.

Cholera, za dużo uwagi poświęciłam chłopakom, za mało skupiłam się na niej. Spojrzałam w górę, spodziewając się lekkiego rozczarowania, tymczasem ku memu zdumieniu napotkałam skupiony wzrok i



błyszczące oczy. Jak u jakiegoś wampira w świetle księżyca, przemknęła mi przez głowę szaleńcza myśl. Ale nie, ta opowieść wcale nie wykona gwałtownego gatunkowego kołka. Po prostu delikatnie zmieni tonację.

Tak samo jak Cathy, która popchnęła mnie na ziemię, położyła się obok i zaczęła mnie całować, gdy tymczasem jej palce otwierały moją pochwę i zagłębiały się, poruszały, zaciskały i poruszały dalej, i. . . O Boże, poczułam kłykie.

Uniosłam gwałtownie powieki i w zielonobrazowych oczach zobaczyłam szelmowski uśmiech.

Pamiętam, jak z podziwem spoglądałam na mięśnie jej rąk. Biceps, triceps – ta dziewczyna marnowała się w szkółce dla kucyków.

Powinna była grać w lidze światowej. Tak w każdym razie pomyślałam, kiedy w ogóle dała mi szansę zebrać myśli, wpychając się we mnie, szeroko otwartą, na sztywno. Nigdy nie byłam równie świadoma końskiego dilda, które sprawiało, że w moim ciele panował jeszcze większy tłok i ścisk.

Dochodziłam i dochodziłam, i wydawało się, jakby Cathy nie miała nigdy skończyć.

Zrozumiałam, że będę musiała ją o to poprosić, choć tak naprawdę wcale tego nie chciałam. Co za ironia – i ja, i chłopcy, jak sądzę, myśleliśmy, że to będzie pokaz jakiegoś babskiego miziania, może trochę tarzania się w piachu, tymczasem dostali w zamian coś takiego! I, do diabła, wcale nie byłam z siebie dumna.

Przestań, proszę! Cathy, śliczna Cathy, błagam. Dziękuję.

– Ooooooch – zajęczałam.

Odciągnęłam ją i pocałowałam. A ona wyszeptała:

– To dla ciebie nowość, prawda? Cieszę się, że to byłam ja.

I nagle wszyscy stajenni byli wokół niej. Przez chwilę bałam się, że dojdzie do jakiegoś gang bangu, ale okazało się, że chcieli po prostu przybić jej piątkę. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się martwiła, co powie madame.

Pomyślałam, że po tygodniu bez tej genialnej ręki madame będzie tak wyposzczona, że kawałek gumowego węża niewiele ją obejdzie. Być może była okrutna i wytworna, ale nie sądziłam, żeby była głupia.

Wyglądało na to, że godzina minęła. Don i Phil zaprowadzili nas na wzgórze do sir Harolda, zadzwonili i sami zostali w holu, kiedy on wepchnął nas do swojego gabinetu.

Kazał nam uklęknąć przed biurkiem, sam zaś usiadł na jego skraju, machając nogą.

Wyciągnął z kieszeni kawałek gumowego węża i po prostu spytał cicho:

– Która?

Wiedziałam, że podejrzewa mnie. I w sumie nic nie stało na przeszkodzie, żeby dalej tak myślał.

Cathy sprawiała wrażenie przerażonej reakcją madame, a ja, no cóż, nie miałam pojęcia, co powiedziałaby albo pomyślał Jonathan.

Uznałam więc, że mogę zaryzykować. Stąd resztę tej przedziwnej nocy spędziłam owinięta w złachany koc w walącej się szopie obok ogrodu warzywnego, próbując złapać nieco snu. Następnego ranka po przebudzeniu miałam zostać zaprzężona do pługa.

Było jeszcze ciemno, kiedy obudził mnie kogut. Przeciągnęłam się i aż jęknęłam. Wszystko mnie bolało, a zwłaszcza wewnątrz. Zaczęłam się zastanawiać, czy Cathy przypadkiem zupełnie go nie zdemolowała. Niewygórowana cena, pomyślałam.

Bo zorientowałam się, że mimo brudu, bólu i niepewności, co przyniesie dzień, byłam radosna jak skowronek.

Kiedy się człowiekowi zdarzy tak gruntowne bzykanko, życie przestaje się wydawać złe.

Rozejrzałam się po zasyjonej szopie i zobaczyłam, że mam na szyi tłustą włochatą linę, którą przywiązano do haka na ścianie, a za paznokciami i właściwie na całym ciele brud. Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem, że choć przez chwilę mogłam czuć się szczęśliwa. Wzdrygnęłam się, odwróciłam i na kolejne pół godziny zapadłam w głęboki sen bez marzeń.

Gdy obudziłam się znowu, poczułam nieprzyjemne kopanie w zębra. Doszłam do wniosku, że musiało trwać już jakiś czas.

– Wstawaj, leniwe ladaco. No już, wstawaj! – usłyszałam.

Tak, tak, już, jasne. Leniwe ladaco to ja, pomyślałam nieprzytomnie. W porządku.

Wstać, tylko jak? Uznałam, że najlepiej będzie podnieść się na czworaka, bo ta pozycja wydawała się wymagać najmniej wysiłku. I zdaje się, że miałam rację, czy też prawie, bo kopniaki ustały.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam okrągłą twarz przysadzistej kobiety w ogrodniczkach, roboczych butach i kapeluszu przeciwśłonecznym z opadającym rondem. Trzymała miskę, która wyglądała, jakby ją wyciągnięto ze śmietnika. Resztki ze stołu, uznałam, kiedy postawiła ją przede mną.

Przynajmniej, kiedy się już człowiek do tego przyzwyczaił, smakowały lepiej niż zbilansowana karma ze stajni. Wyczułam kawałeczek salami, a właściwie pepperoni, i pomyślałam: cóż, Carrie, mogło być gorzej.

Bałam się, że zirytuję kobietę, jeśli wciąż będę taka radosna. Do diabła, zaczynałam irytować samą siebie. Mój nastrój jednak chyba mało ją interesował. Dała mi trochę wody do wychłęptania i kazała wstać. A ja nie potrafiłam.

A w każdym razie nie od razu. Obite mięśnie nie chciały mnie słuchać. Próbowwały na powrót złożyć się niczym tanie ogrodowe meble. Kobieta patrzyła na mnie obojętnie, a kiedy w końcu udało mi się wyprostować, w milczeniu zebrała moje wędzidło, uprząż i ogon i wyprowadziła za postronek z szopy.

Włożyła na mnie cały ekwipunek (zrozumiałam, że będę musiała chodzić boso), a potem przyczepiła uprząż do pługa, który stał sobie pośrodku na wpół zaoranego poletka.

Żadnego przy tym głaskania ani nucenia. Chwyliła lejce i natychmiast zaczęła prowadzić mnie po poletku, rząd za rzędem, od czasu do czasu okładając mój tyłek cienkim kijkiem, który trzymała w drugiej ręce.

I tak to wyglądało. Po prostu szłyśmy. W tę i z powrotem. Słońce wznosiło się na niebie, a mnie zalewał pot. Było gorąco, ciężko i nudno. To była praca. I choć wystawiono mnie na widok publiczny i upokorzono, nie czułam tego dreszczyku podniecenia, którego się spodziewałam. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo na niego czekałam.

Kobieta ledwie na mnie patrzyła, a ja musiałam przyznać, że była to naprawdę ciężka lekcja i prawdziwa kara. Coś w rodzaju metaponizenia – byłam brudna, naga, wyczerpana, wystawiona na spojrzenia innych, a równocześnie praktycznie niewidzialna. Przypomniało mi się, jak pierwszego dnia Jonathan zapytał, czy lubię, żeby na mnie patrzono. Czy było to aż tak oczywiste?

Z pola widać było samochody jadące do stajni. Klienci, oczywiście. Była to jednak sobota, a Cathy mówiła, że „od soboty do soboty” to zwyczajowe określenie tutejszego turnusu. Tak więc sir Harold faktycznie wyświadczył Jonathanowi, temu miłemu chłopcu, przysługę, pofatygowawszy się osobiście, żeby zabrać mnie w połowie tygodnia i przywieźć do swojej szkółki. Patrząc na piękny, drogi samochód zmierzający do bramy, dość bezmyślnie zastanawiałam się, co takiego musiało się wydarzyć między nimi w tych starych dobrych czasach. W przelocie dostrzegłam zastygłą trójkątną twarz Cathy w oknie i madame za kółkiem. Po chwili znikły, a kobieta za pługiem szturchnęła mnie, żebym się pospieszyła. Byłam więc teraz już nie tylko naga i niewidzialna, ale też samotna.

Poletko, które orałam, dopiero czekał zasiew, nieopodal jednak było inne, na którym rosły jakieś rośliny i kwiaty. Znajdowała się tam również szklarnia. Można było do niej podejść ścieżką między polami i raz nawet zjawiała się jakaś para, żeby kupić kwiaty. Kobieta zostawiła mnie wówczas na chwilę i poszła obsłużyć klientów. Cwierkając radośnie, para ruszyła z powrotem – wyjąwszy sporadyczne auta na drodze i odgłosy kija spadającego na moje łydki, było tak cicho, że słyszałam ich, nawet kiedy już zniknęli mi z oczu za zakrętem ścieżki.

W końcu jednak ich paplanina ucichła, a ja usłyszałam nowe głosy ludzi idących w naszą stronę.

Zorientowałam się, że je znam. I choć nie mogłam rozróżnić słów, rozpoznałam dudniący bas sir Harolda. A potem do moich uszu dotarł drugi głos, kobiecy, bez wątpienia znajomy i melodyjny. W miarę gdy się zbliżali, słowa, które wypowiadali, stawały się coraz wyraźniejsze.

– Zamierzam dać ją dziś emirowi. To jego ostatnia noc, a widziałam, jak pożera wzrokiem jej zdjęcia. Tylko że ma tak nieskazitelną skórę. To nie twoja wina, kochanie. Byłaś bardzo grzeczna, tak jak cię nauczyłam, i sir Harold nie miał powodu, żeby cię karać. Ale spuścimy ci manto w domu, żeby zostawić trochę tych ślicznych śladów.

I właśnie wtedy pojawili się w polu widzenia. Sir Harold i Kate Clark, a między nimi Stephanie – bez wędzidła, ale za to zaprzężona do małego wiklinowego wózka.

– Tak, Kate – odparła cicho, ale radośnie Stephanie.

Cała brudna i zapocona wyglądałam jak stworzenie z innej planety. Kate miała na sobie krótką, świeżą jasnożółtą sukienkę i biały słomkowy kapelusz, a Stephanie, która nie spuszczała wzroku z Kate, wyglądała jak zachwycone dziecko z włosami związanymi w dwa kucyki opadające na jej olśniewające ramiona i piersi. Wreszcie sir Harold wystrojony w śmieszoną niebieską marynarkę.

Spojrzałam na swoje zakurzone bose stopy i poczułam, że chcę się zapaść pod ziemię. Powinnam się była domyślić. Niewolnica tak piękna i doskonała jak Stephanie. Przypomniałam sobie, że Jonathan wspominał o bardzo wyśrubowanych standardach Kate, i teraz już wiedziałam, co miał na myśli. Poczulałam, że aż do tej pory po prostu udawałam, że gram w grę, której zupełnie nie rozumiałam, której zasady i normy zostały spisane w skomplikowanym, bezosobowym, być może matematycznym języku. Dotarło do mnie, dlaczego Stephanie zupełnie nie obchodziło, co się z nią tutaj działo. Zależało jej tylko

na tym, żeby nauczyć się, jak być idealnym kucykiem. Dla Kate.

Wszystko dla Kate. Zastanawiałam się, czy ja kiedykolwiek stanę się taką niewolnicą – pełną szacunku, uwielbienia, zachwytu, i to bez cienia ironi. I zastanawiałam się, czy tego właśnie chcę.

Kate posłała sir Harolda i Stephanie po kwiaty do szklarni, a sama ruszyła w moją stronę. Kobieta od pługa zostawiła mnie w połowie zaoranego zagonu i pospieszyła, żeby obsłużyć klientów.

Patrzyłam, jak Kate ostrożnie stąpa przez pole. Jakimś cudem udało jej się nie skalać idealnie czystych sandałów. Pomyślałam, że pewnie mnie nie dotknie. No bo skąd. Na to byłam zbyt brudna, wyglądałam zbyt żałośnie. I wtedy zdałam sobie sprawę, że bardziej niż czegokolwiek innego pragnę, żeby mnie dotknęła. W jaki tylko sposób łaskawie zechce. Uśmiechnęła się do mnie niemal triumfalnie, mimo że patrzyła na mnie tym swoim twardym, oceniającym wzrokiem. I ku memu absolutnemu zdumieniu podeszła bardzo blisko i delikatnie pogładziła mnie po piersi.

– Bardzo się podciągnęłaś, Carrie – powiedziała cicho. – Ale nawet jeśli to nie ty ukradłaś ten wąż, a nie sądzę, żebyś to zrobiła, potrzebowałaś takiej kary. I całego tego tygodnia. Świat to coś więcej niż ukochany gabinetek Jonathana, prawda?

Pokiwałam głową, a oczy zaszyły mi łzami. Zalała mnie fala sensacji rozchodząca się od piersi w dół, do kolan. Nie tyle zrozumiałam, ile poczułam, co chciała mi powiedzieć.

Mignął mi w oddali niekończący się horyzont bólu i wyzwania, otworzyły się przede mną granice niewyobrażalnych doświadczeń. Jeśli tylko znajdę dość odwagi, żeby wyjść im na spotkanie. Jeśli to naprawdę jest to, czego chcę...

I to było wszystko. Wrócili sir Harold i Stephanie – na wiklinowym wózku, który ciągnęła, leżały całe naręcza pachnącego groszku i lwich paszczy. Kate dołączyła do nich i ruszyli z powrotem ścieżką prowadzącą do stajni. A ja resztę dnia spędziłam, tępo ciągnąc pług. I ledwie zauważyłam mercedesa opuszczającego rancho jakąś godzinę później, bo oczy miałam wbite w jaskrawe niebo, na którym w oddali kołowały jastrzębie.

Tej nocy zabrali mnie z powrotem do stajni, umyli i położyli spać. Następne dwa dni upłynęły bez przygód.

Rutynowe zajęcia kucyków były proste, a zarazem wymagające, ja zaś byłam otwarta i podatna jak wosk w rękach każdego, kto przyszedł do stajni, żeby ze mnie skorzystać. Widziałam, że sir Harold jest zaskoczony tym, jak dobrze sobie radzę. Nie spodziewał się, że uda mi się aż w takim stopniu przekroczyć swój intelekt. Nie rozumiał, że w tym momencie dziwność mojej sytuacji po prostu mnie przerosła. Z dziką rozkoszą zapomniałabym o wszystkim wokół, ściągnęła brwi i zaczęła medytować nad tym, co się, na Boga, ze mną działo. Ale było tego dla mnie za wiele, więc po prostu sobie odpuściłam, wierząc już niemal, że resztę życia spędzę w stajni.

Poza tym, z czego zdałam sobie sprawę dopiero, gdy zobaczyłam Jonathana nadchodzącego ścieżką razem z sir Haroldem, to właśnie on podtrzymywał we mnie intelektualne zapędy. Nigdy nie pozwolił mi całkowicie pograżyć się w fantazji – nie był panem, którego bym wielbiła tak, jak Cathy wielbiła madame, a Stephanie Kate. Był „panem” w cudzysłowie. Bo poza tym był Jonathanem – neurotycznym, kompulsywnym, znikowanym na punkcie kontroli dziwadłem, mocno zakorzenionym w okropnym świecie telekonferencji i produktów końcowych. Jakoś tak zawsze potrafił zachachmęcić, że nie mogłam o tym zapomnieć: przez cały czas balansowaliśmy na granicy, prowadząc podwójną grę. A może i poza granicą. Przyszło mi do głowy, że to był właśnie ten moment, kiedy Wiluś E. Kojot spogląda w dół i orientuje się, że ścieżka się skończyła i że obaj ze Strusiem Pędziwiatrem wiszą w powietrzu sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią.

Zbliżał się więc, a ja próbowałam odpowiedzieć sobie na pytanie, za czym w nim tak naprawdę tęskniłam. Nie za rozkazującym i pewnym siebie tonem głosu. Do diabła, odkryłam, że to akurat znajdę wszędzie, dokąd mnie zaprowadzi ta przygoda. Tym, czego mi brakowało, były nieistotne drobiazgi: uniesiona brew, grymas ironi, włosy na brzuchu, kostki nadgarstków. Tęskniłam za tymi wszystkimi „mam cię!” – docinkami ukrytymi za formą dworskiego menueta, którego tańczyliśmy przez wszystkie te miesiące. I bez względu na to, co robiliśmy, bez względu na wszystkie role, które odgrywaliśmy, wiedziałam, że to było wspólne dzieło naszej wyobraźni. Nawet jeśli to ja swobodnym lotem spadałam w otchłań, to na innym poziomie istniała między nami kolaboracja doskonała. Kolaborantka, pomyślałam, przypominając sobie, jak się czułam, kiedy pierwszy raz wysłał mnie do fryzjera. O rany.

Stali teraz przede mną i sir Harold zapytał, czy Jonathan woli dłuższą czy krótszą drogą i czy chce mnie zaprząć do wózka własnoręcznie. To był dla mnie szok. Nie wiedziałam, że będzie mną powoził. No cóż, przecież to jasne, odpowiedziałam sama sobie.

Oczywiście, że zechce sprawdzić, jak tu sobie radziłam. Ale Jonathan wydawał się wahać. W końcu wybrał krótszą trasę i zaprzął mnie do wózka równie szybko i pewnie, jak zrobiliby to Don czy Phil.

Biegłam przez las tak prędko i elegancko, jak tylko potrafiłam, a on oszczędnie korzystał ze szpicruty, choć strzelał z niej konkursowo, podobnie zresztą jak powoził – sprawiał wrażenie, jakby dobrze znał tutejsze ścieżki.

Prawdę mówiąc, nie zrobiliśmy nawet całej trasy. Jonathan znalazł skrót, zakręcił i po dwudziestu minutach byliśmy z powrotem.

Gdy odwiązywał rzemienie i zdejmował uprząż, w pobliżu nie było nikogo. Pocałował mnie przelotnie i starannie wytarł w milczeniu. Mnie oczywiście nie wolno się było odezwać, ale miałam wrażenie, że on sam nie wie, co powiedzieć. Zresztą co tu można było powiedzieć poza czymś w rodzaju: „Świetnie się spisaliśmy, misja zakończona, bez odbioru”.

Sir Harold nadciągnął ścieżką cały zadyszany i zdziwiony, że wróciliśmy tak szybko.

Martwił się, że coś poszło nie tak. Jonathan odwrócił się grzecznie i z wielkim entuzjazmem, choć zwięźle stwierdził, że grubas dokonał istnych cudów. Z chłopięcym wdziękiem zachwalał wszystko, łącznie z obiadem, ale – powiedział – czeka nas długa droga do San Francisco, a on chce mnie zabrać do domu. Sir Harold tylko zamrugał.

Z tym że wcale nie zabrał mnie do domu. A w każdym razie nie od razu. Skręcił do Motelu 6 oddalonego może dwadzieścia minut od rancza i zameldował nas oboje. W pokoju wyciągnął z kieszeni obrożę i założył mi ją na szyję. A potem pieprzył mnie z przodu i z tyłu, aż cała byłam obolała. Na koniec, opierając się na łokciu i oglądając wszystkie ślady i siniaki na moim ciele, powiedział tylko:

– Opałaś się. Nie sądziłem, że to możliwe.

Wyszedł na chwilę i wrócił z big macami, frytkami i dużymi czekoladowymi shake’ami, które po zbilansowanej karmie smakowały jak ambrozja. Oglądaliśmy płytą telewizję, jedząc to wszystko w łóżku. A potem Jonathan kazał mi opowiedzieć o tygodniu u sir Harolda i oto znów snułam przed nim długą erotyczną opowieść, przy której mógłby się wybrandzlować, co zresztą zrobił. Na koniec, zanim zgasił światło, powiedział:

– Brakowało mi twoich opowieści.

Leżąc z otwartymi oczami i słuchając jego oddechu, zastanawiałam się, czy ktokolwiek jeszcze zechce ode mnie jakąś usłyszeć.

# Rozdział 5

## Antrakt

Ostatnie dni w San Francisco były ciche, surowe i zrytualizowane. Nie wiem, co by się stało, gdybym nie trała do szkółki sir Harolda, trałam tam jednak i konsekwencje tego faktu były oczywiste. Otworzył się przede mną świat, wielki świat Kate. Miałam wrażenie, jakby Jonathan tylko mnie wypożyczył, i podejrzewam, że on czuł się podobnie. To, co się między nami działo, przypominało sen. Jonathan pracował kilka godzin rano, a potem wzywał mnie, a ja prezentowałam mu swoje ciało, żeby go używał, żeby je bił i na nie patrzył.

Na koniec dziękowałam mu.

Nie wykazywał większej inwencji, a ja nie mogłam wyjść ze zdumienia, że przestrzeganie jego zasad kiedykolwiek wydawało mi się trudne. Popołudniami bawiło go zabieranie mnie do sklepu i kupowanie pięknych, drogich strojów na wyjazd. Nigdy nie pytał mnie o zdanie – ze zdziwionymi, skrepowanymi sprzedawczyniami załatwiał wszystko sam, a ja mówiłam tylko: „Tak, Jonathanie”.

Dni oczekiwania dobiegły wreszcie końca i nocnym samolotem poleciliśmy do zimnego północnoeuropejskiego miasta, którego nigdy wcześniej nie miałam okazji oglądać. Nasza podróż również przypominała sen albo, jeśli wolicie, wyprawę w cyberprzestrzeń – czas i geografia zostały ściśnięte i upchnięte w ciąg nijakich, bezosobowych wnętrza. Lecieliśmy pierwszą klasą, ja – pierwszy raz w życiu. Miałam ochotę opić się szampana i najeść pyszności, ale Jonathan nie pozwolił, mówiąc, że trudniej mi będzie poradzić sobie z jet lagiem. Kazał mi w zamian wziąć tabletkę na sen i pić dużo wody. Na lotnisku czekał na nas duży czarny samochód z przyciemnianymi szybami, który zawiózł nas prosto do hotelu. Tam poszliśmy spać, żeby się przestawić na lokalny czas, a następnego ranka samochód zabrał nas na testy kwalifikacyjne.

Na aukcję nie można się dostać z ulicy. Trzeba najpierw przejść przez sito komisji. W mojej zasiadało trzech mężczyzn i jedna kobieta, ludzie, którzy widzieli już w życiu niemal wszystko.

Sprawiali wrażenie tak samo energicznych i niechętnych nonsensom jak Kate Clarke i nie zdradzali cienia poczucia humoru. Rozebrałam się przed nimi – poszczególne części garderoby podawałam pokojówce, która oddawała je Jonathanowi – ledwo powstrzymując drżenie rąk, z trudem rozpinając wszystkie guziki i haftki.

Zgodnie z umową testy kwalifikacyjne trwają od trzech do pięciu dni – człowiek nie wie, kiedy się skończą, dopóki mu tego nie powiedzą. Komisja siedziała za wielkim inkrustowanym stołem w absolutnie cudownym apartamencie w budynku z XVI wieku. Po

ostatnich szalonych i dość abstrakcyjnych dwudziestu czterech godzinach czułam się tak, jakbym opuściła czarno-białe Kansas i przeniosła się do krainy Oz w technicolorze.

Antyczne francuskie meble, zwierciadła, obrazy, parkiet na podłodze, na której naturelement spędziłam większość czasu, podczas gdy Jonathan siedział na obitym jedwabiem krześle, patrząc i ćmiąc papierosy. Znowu czułam się jak szczeniak (pewnie Toto) i wszystkie moje wcześniejsze fantazje o tym, że okażę opanowanie, jakiego jeszcze nie widzieli, wydawały się odległe o milion lat świetlnych. Tu jest tak samo jak w szkółce dla kucyków, mówiłam sobie, po prostu staraj się tak mocno skupić na wszystkich doznaniach, żeby się w nich zatracić. To sprawiło, że się odprężyłam. Zdałam sobie sprawę, że tylko w ten sposób uda mi się powstrzymać łzy, skoncentrowałam się więc na mistrzowsko opanowanych głosach i oszczędnym okrucieństwie członków komisji. Uznali, że jestem nieokrzęsana i dość przeciętna, pomyślałam i zorientowałam się, że ja sama ich podziwiam.

Pierwszy dzień zaczął się od tego, że bardzo elegancka kobieta po czterdziestce, złapawszy mnie mocno za sutek, powiedziała:

– Podczas tych testów wszyscy będziemy cię używać, ale najpierw chcielibyśmy się przekonać, jak bardzo jesteś posłuszna i zdyscyplinowana. Przyzwyczajono cię do krepowania?

– Tak, madame Roget – odparłam.

Na te słowa wszyscy się roześmiali, a ona poinformowała mnie, że tutaj nie uznają tego typu rzeczy za konieczne.

– Nie chcielibyśmy szpecić tej pięknej stolarki żadnymi hakami ani uchwytami. Zrobisz to, co ci każemy, dostaniesz bity i zniesiesz wszystko bez mrugnienia okiem, jak to mówicie, tym razem bez żadnych obroży i obrączek, bez krepowania i wiązania.

Przełknęłam ślinę.

– Tak, madame Roget – przytaknęłam, choć przerażała mnie myśl o tym, że nie będę skrepowana, kiedy będą mnie bić. Szkoda, że nie można było w tym celu wykorzystać wszystkich tych akcesoriów, które ozdabiały jej kostium od Chanel.

Quel jour. Nie miałam pojęcia, czy faktycznie dałam radę, na pewno jednak nie poszło mi idealnie. Dwa razy, a może i więcej, nie pamiętam, ręce same poleciały, żeby chronić piersi. To była jedna z „kwesti technicznych”, których Jonathan nie wziął pod uwagę. Sam uwielbiał obmyślać chytre sposoby na rozmieszczenie rozmaitych haków i uchwytów w całym domu i nie przyszło mu do głowy, że reszta świata może nie podzielać jego zamięłowania. Co za głupota. Myślę, że bardzo mi pomogło to, że się na niego wściekłam, i byłam zdeterminowana, żeby poradzić sobie mimo jego indolencji. Wielkie dzięki, trenerze, pomyślałam, spoglądając na niego kątem oka, kiedy tak sobie siedział na wątlym krzeselku. Przypomniała mi się ta menda, która przywiozła na olimpiadę amerykańskie gimnastyczki – metr czterdzieści każda – żeby całkowicie zdeklasowały je Rosjanki i Rumunki.

Ten dzień skończył się chłodno i surowo, a w każdym razie ja to tak odebrałam.

Kłęcząc pośrodku pokoju, głosem słodkim i wyraźnym, choć nieco zdławionym, podziękowałam wszystkim członkom komisji po kolei za energiczne cięgi, jakie zebrały moje uda i piersi (och, oczywiście dziękowałam po francusku – popołudniami zmienialiśmy język). I nie, nie trzymali w dłoniach żadnych tabliczek z cyframi, które oceniałyby mój występ. Prawie w ogóle zresztą nie zwracali na mnie uwagi. Madame Roget odwróciła się tylko do Jonathana i szorstkim głosem powiedziała: – Proszę ją przyprowadzić jutro o dziesiątej. Będziemy kontynuować.

– Dziękuję, madame – odparł Jonathan, zrywając się na równe nogi, żeby pomóc mi wstać. – Przyprowadzę.

Dziękuję wszystkim państwu.

Jego wypowiedź przywodziła na myśl dobrze wychowanego chłopca, którym faktycznie musiał kiedyś być. A ja zdałam sobie sprawę, że częścią zabawy – dla niego, a być może i dla mnie – było to, że Jonathan także podlegał sprawdzianowi.

Gdy wróciliśmy do hotelu, chwycił mnie i w bardzo nietypowy dla siebie sposób pchnął na łóżko, tak że właściwie wywinełam kozła, po czym zadarł mi spódnicę i zaczął mnie pieprzyć. Buty spadły mi z nóg, podwiązki odpięły się i boleśnie strzeliły w uda. Na cipie, brzuchu i nogach czułam jego suwak, miliony guzików i sprzączek, które wbijały mi się w ciało. To było głupie, niezdarne i niewygodne, ale całkowicie dla mnie zrozumiałe.

Ja też tego potrzebowałam. Długi, podniecający dzień zrytualizowanych testów, wszystkie te subtelności, ból, teatralność i wysublimowana grzeczność zmęczyły nas i tym, czego oboje chcieliśmy, było bezmyślne, wyczerpujące, mało wyraźne pieprzenie. Zwykle bzykanie. Rżnięcie. Opór tarcia. Zamknęłam oczy i poczułam, że dochodzę.

Poruszałam się przy tym, jak mi się żywnie podobało, robiłam mnóstwo hałasu, próbując zapomnieć, że istnieje coś takiego jak zasady. Albo forma. Albo afekty.

Nie sposób jednak ot tak zapomnieć roku szkolenia, dlatego jakiś czas później, gdy już doszłam do siebie, podpełzłam w nogi łóżka i ukłękłam na baczność (nie byłam pewna, co powinnam zrobić ze spódnicą, którą wciąż miałam zawiniętą do pasa, i pończochami zrolowanymi wokół kostek).

Jonathan patrzył na mnie przez chwilę.

A potem zmarszczył brwi, westchnął i powiedział w końcu: – Do diabła, Carrie, nie sędzę, żebym mógł dzisiaj przestrzegać jakichkolwiek reguł. Nie po tym, jak się napatrzyłem na zawodowców. Chodźmy się po prostu wykapać i spróbujmy się wyłączyć.

Jesteś głodna? Zamówić coś do pokoju?

W taki właśnie sposób spędziliśmy kolejne trzy wieczory. Wracaliśmy po testach, ściągaliśmy ubranie, pieprzyliśmy się do nieprzytomności, a potem jedliśmy. Drugiego dnia

podczas przerwy Jonathan wyszedł, znalazł anglojęzyczną księgarnię i zgarnął całą torbę powieści kryminalnych i sciencefiction.

Ponieważ nie przestrzegaliśmy zasad, mogliśmy mówić, co nam się żywnie podobało. Ale baliśmy się odezwać, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego albo krępującego. W każdym razie ja się bałam. Książki dostarczały nam zajęcia w te dziwne, odjechane, grzeczne wieczory, które wyczerpani spędzaliśmy we własnym towarzystwie.

Zanurzaliśmy się w nie i co jakiś czas któreś z nas, skończywszy jedną, polecało ją drugiemu albo odrzucało w ką, oznajmiając, że to „chała, już w połowie wszystko wiadomo, nie ma jej co czytać”.

Czwartego wieczoru rockowo-cyberpunkowa powieść, którą akurat czytałam, sprawiła, że pomyślałam o trash metalu. Przypomniała mi się koszulka z Primusem, która razem z innymi moimi rzeczami czekała

spakowana u Stuarta. Postanowiłam, że jeśli przejdę testy kwalifikacyjne, powiem Jonathanowi, że może ją sobie wziąć w ramach pożegnalnego prezentu. W podziękowanie za wspomnienia.

I za tę osobliwą intymność, nawet jeśli w ciągu półtora roku udało nam się odbyć pewnie ze cztery prawdziwe rozmowy. Do widzenia. I dzięki za znalezienie pracy, która była nie tylko pracą, ale też przygodą. Do zobaczenia, współniku, kolaborancie, współspiskowcu.

I wtedy właśnie rozległo się pukanie. Jonathan poszedł otworzyć. W drzwiach stało dwóch krótko ostrzyżonych Europejczyków w garniturach. A choć wyglądali jak gliniarze z serialu Nikita, byli z komisji aukcyjnej i zjawili się, żeby poinformować nas, a właściwie Jonathana, że się zakwali kowalam. W każdym razie tyle udało mi się usłyszeć, bo ten, który mówił – doszłam do wniosku, że to ten, który zna angielski – mówił bardzo cicho.

Usłyszałam jeszcze, jak Jonathan odpowiada: – Przefaksuję papiery w ciągu godziny. I przygotuję ją. Nie wiedziałam, że zjawiają się w środku nocy. I nie sądzę też, żeby Jonathan się tego spodziewał.

Podszedł do łóżka, na którym leżałam w hotelowym szlafroku i jego skarpetkach, i ściągnął mnie na ziemię.

– Przeszłaś – powiedział. – Od tej chwili nie wolno ci się odzywać. – To tyle, jeśli chodzi o pomysł z koszulką.

I pożegnanie. – Rozbierz się – ciągnął wypranym z emocji głosem. – Pójdiesz z tymi panami. Stali przy drzwiach, przyglądając mi się bez szczególnego zainteresowania. Było mi ich trochę żal.

To musiała być najnudniejsza scena między panem a niewolnicą, jaką zdarzyło im się oglądać. Ściągnęłam skarpetki i szlafrok, złożone okulary położyłam na otwartej książce i podeszłam do nich.

Mieli dla mnie parę butów na wysokim obcasie i płaszcz i pomogli się w nie ubrać. A potem w milczeniu wypchnęli mnie z pokoju i zatrzasnęli za sobą drzwi.

# Rozdział 6

## Długie korytarze

Prowadzili mnie przez długi, aseptyczny hotelowy korytarz – to był hotel, gdzie zatrzymują się ludzie, którzy przyjechali w interesach, a nie dla przyjemności – do windy, a potem przez hol. Jeden z nich – nie ten, który rozmawiał z Jonathanem, tylko drugi – trzymał mnie mocno za ramię. Byłam wystraszona. W końcu znajdowałam się w obcym kraju, bez pieniędzy i paszportu, a dwóch dobrze ubranych osiłków zabierało mnie Bóg wie dokąd.

Musiałam jednak zadać sobie pytanie, czego tak naprawdę się obawiałam? Targu białych niewolników? Och, Carrie, przykro mi, że dopiero teraz się o tym dowiadujesz, ale to właśnie jest twoja historia. Chyba że w rzeczywistości była to jedna z tych przedziwnych opowieści szpiegowskich z Interpolem w roli głównej, które ostatnio czytałam. Mało prawdopodobne. Może, pomyślałam, prawdą jest wszystko, co się wiąże z seksem, natomiast aspekt nansowy to jedna wielka ściema. Teraz naprawdę się wystraszyłam. Rozważania na temat pieniędzy sprawiły, że pomyślałam o tym, jak w rzeczywistości musieliśmy wyglądać – co zobaczyliby ludzie w holu, gdyby zwrócili na nas uwagę – dwóch gliniarzy po cywilnemu i prostytutka, którą wyprowadzają z szynku hotelu.

Na ulicy nieopodal wejścia stało zaparkowane czarne auto z jeszcze jednym osiłkiem za kierownicą. Wsiadliśmy do środka i choć zabrzmiało głupio, trochę pocieszył mnie fakt, że moja eskorta zepchnęła mnie na podłogę, żebym im obciągnęła. Może mimo wszystko uznali tę sytuację za dość interesującą albo też, pomyślałam, zwykle tak robili.

Gdy było już po wszystkim, zaczęli żartować, zapalili gauloise'y i dali mi się kilka razy zaciągnąć.

Nie rozumiałam ich języka, ale wyglądało na to, że dowcipkują na temat mojej fryzury – gładzili mnie po głowie i pociągali za włosy łonowe. Podejrzewam, że dowcip – nie sędzę, żeby ci goście byli szczególnie bystrzy albo subtelni – sprowadzał się do tego, że moje włosy łonowe były dłuższe. Zaciekawili ich także ślady na pośladvach – przyglądali się im uważnie, nie okazując przy tym żadnych emocji. Podejrzewam, że widzieli setki posiniaczonych pośladvów i po prostu lubili je oglądać dla porównania. Po jakimś czasie przestali się mną interesować, choć wciąż głaskali mnie i podszczytywali w roztargnieniu. Myślę jednak, że rozmowa zeszała na temat sportu, podatków albo czegoś w tym rodzaju. Sprawiali wrażenie dość sympatycznych matołków. Pewnie zresztą mieli żony i dzieci. Ta ich zwyczajność trochę mnie uspokoiła.

Samochód zatrzymał się przed wielkim, niskim, o cjalnie wyglądającym budynkiem z półokrągłym podjazdem od frontu. Nie mogłam przestać myśleć, czy przypadkiem nie jest to posterunek policji, bo coś za bardzo go przypominał. Może to zasadzka, może te osiłki były w rzeczywistości podwójnymi agentami. Może wreszcie wpadli na trop całej tej hecy z niewolnikami, a może komuś coś się naprawdę stało. To w końcu zdumiewające, pomyślałam, że nikt do tej pory nie poszedł z tym do sądu. Ale w głębi ducha nie wierzyłam w realność takiego zagrożenia.

Weszliśmy po niskich schodkach i podeszliśmy do drzwi. Było bardzo cicho. Budynek zdawał się stać frontem do jakiegoś parku, a ja zorientowałam się, że centrum miasta zostało daleko za nami.

Noc była mglista, jasne światło latarni rozmywało się, rozpraszało w bladyszczą, cieniowaną poświatę. Jeden z osiłków nacisnął dzwonek, a facet wyglądający na strażnika otworzył drzwi i wpuścił nas do poczekalni. Marmurowa posadzka na podłodze, biurko, kilka innych mebli, jakieś ciemne, anonimowe obrazy na ścianie. Osilek, który mówił po angielsku, postawił mnie w kącie i kazał oddać płaszcz i buty. Strażnik miał za paskiem mały rzemienny pejcz. Nie, zdecydowanie nie był to posterunek. Mężczyzna podeszedł do faksu, wyciągnął stamtąd jakiś papier, porównał z dokumentami, które pokazał mu osilek, i podpisał się na całym pliku. Osilek też podpisał stertę papierzyk i zadowolony wymaszerował z budynku.

Strażnik, czy ktokolwiek to był, podeszedł do mnie, kilka razy uszczypnął mnie i spoliczkował.

Trzasnął leniwie pejczem nad moją pierś i lekko szturchnął jego twardym końcem w cipe. Stałam nieruchomo, drżąc tylko trochę.

Marmurowa posadzka pod stopami była zimna, dookoła panowała niczym niezmacona cisza.

Strażnik westchnął, wrócił do biurka, spiął wszystkie papiery i włożył je do teczki.

Podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku, wybrał numer wewnętrzny, powiedział coś cicho, po czym odwiesił słuchawkę. Zorientowałam się, że jest bardzo młody, mógł mieć



niewiele ponad osiemnaście lat. Był ciemnowłosy, miał szerokie bary, krzaczaste brwi, sprawiał wrażenie masywnego i jeszcze niedawno musiał być pryszczaty.

Usiadł na krawędzi biurka, machając nogą. Gestem wskazał, żebym podeszła, po czym kiwnął głową w kierunku podłogi. Uklękłam, spoglądając na niego niepewnie. Wyjął z kieszeni niedużą gumową piłkę i rzucił w drugi koniec sali. Domyśliłam się, czego chce, ale poczekałam, aż trąci mnie pejcem w pośladek. Dopiero wtedy na czworakach ruszyłam, żeby przynieść w zębach piłkę. Gdy ją ode mnie odebrał, wymierzył mi policzek i rzucił piłkę znowu. Zrozumiałam, że nie byłam dość szybka. Dopiero za szóstym czy siódmym razem zrobiłam wszystko, jak trzeba, a wtedy on podniósł poprzeczkę. Z jednej z niezliczonych kieszeni swoich wojskowych spodni khaki wyciągnął sznurek z pięcioma czy sześcioma metalowymi kuleczkami – wyglądał jak plastikowy naszyjnik, który nosiłam w dzieciństwie. Kulki były wielkości piłeczek do ping-ponga. Jedną z nich włożył mi w odbył. Poczulałam kolejne uderzenie pejca i gra potoczyła się dalej. Biegłam jak najszybciej, starając się nie zgubić kulki, reszta tymczasem łopotiała jak jakiś szalony, potworny ogonek. Chłopak wydawał się zadowolony i nagroził mnie, wypychając w odbył kolejną kulkę. Na szczęście w tym momencie do sali weszła kobieta. Strażnik zerwał się i stanął na baczność, ciągnąc mnie za sobą w górę, a przy tym gwałtownie i dość boleśnie odzyskując łańcuszek.

Kobieta była wysoka i poważna, miała na sobie czarny sweter i skórzane spodnie.

Uśmiechnęła się do strażnika i chwilę ze sobą pogawędzili, znowu w języku, którego nie rozumiałam. Miała ze sobą małego czarnego laptopa i pejcz za paskiem. Przyjrzała mi się badawczo, podeszła do niedużej komody i wyjęła z niej obrożę z parą obrączek. Szybko mi je założyła i spięła ręce na plecach. A potem, odesławszy głową strażnika, który osunął się na krzesło w drugim końcu sali, usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać papiery z teczki. Otworzyła laptopa i zaczęła wprowadzać całą masę jakichś danych.

Wyglądała niesamowicie. Miała około trzydziestki, bardzo gęste, sięgające ramion włosy, pełne usta, wysokie kości policzkowe, szerokie ramiona i wąskie biodra. Podniosła słuchawkę telefonu na biurku i wybrała numer wewnętrzny.

– Paul? Tu Margot. Przywieźli właśnie numer 14. Załatwmy to, dobra? – Miała ledwo uchwytny brytyjski akcent – nie, raczej australijski albo południowoafrykański – na który nałożyło się kilka lat spędzonych może w Kaliforni. – Tak, w porządku. Tak myślę. Nie, wiem, że masz te akta. Dobra, zobaczmy. . Co? Tak, Carrie Richardson. Widzisz, masz.

No cóż, wolałabym mieć na aukcji numer 4911, ale podejrzewam, że raczej nie byłabym w stanie przeforsować tego pomysłu. Tymczasem do sali wszedł facet, który prawdopodobnie miał na imię Paul. Był wysoki, miał nastroszone blond włosy, duże okulary i tryskał nerwową energią. Podobnie jak Margot trzymał za paskiem pejcz i był ubrany na czarno, z tym że nosił dzinsy i martensy. W ręce miał grubą, niechlujną teczkę.

Nagle zrobił się tu całkiem spory ruch.

– Przyjrzyjmy się jej – powiedział. – Chodź tutaj, Carrie – zawołał mnie. Gdy podeszłam, złapał za kółko przyłączone z przodu obroży. – No chodź. – Przyciągnął mnie, strzelając lekko pejcem po moich tydkach. – Na biurko, wypnij się – rozkazał, a ja usłuchałam.

Oboje schylili się nade mną.

– Potrzeba jeszcze kilku – powiedział. – Koniecznie. Na zdjęciu będzie kolosalna różnica. Ale tylko kilku. Wiesz, jak reagują, kiedy wystawiamy towar za bardzo poznaczony. To zbyt ryzykowne.

Zrób jej jeszcze kilka śladów do katalogu, ale nie za dużo, żeby zdażyły zniknąć przed aukcją. Myślę, że się nam uda. Mnie się uda. Hej, mam jeszcze inny pomysł. Może zanim ją zabierzemy, damy jej kilka klapsów? Różowy tyłek – efekt może być niezły.

– To prawda – powiedziała kobieta, w zamyśleniu gładząc moje pośladki. – Zobaczymy, jak to będzie wyglądało. – Usiadła na biurku obok. – Dobra, Carrie – powiedziała. – Połóż mi się na kolanach.

Zamarłam na moment. Nie żeby przez ten rok u Jonathana nikt nie dawał mi klapsów. Nie zdarzało się to jednak zbyt często. Byłam przyzwyczajona do pejczów, trzcin i pasków i do dystansu, jaki tworzyły między mną a osobą, która je trzymała. Bicie gołą ręką, leżenie nago na czyichś kolanach wydawało mi się dużo bardziej intymne i poniżające. Podeszłam w końcu do kobiety, ona jednak wyczuła moje wahanie.

Z wielką ostrożnością zaczęłam kłaść się jej na kolanach. Była silna i zdecydowanym ruchem pociągnęła mnie na miejsce. Zirykowałam ją.

– Boże, Paul – powiedziała. – Widziałeś to? Naszej primadonne nie podobają się klapsy. Strasznie grymaśna ta partia towaru. Uważają, że skoro to nie my je kupujemy i sprzedajemy, nie muszą się nas słuchać. Dobra, zajmiemy się tym jutro.

Choć wiedziałam, że nie wolno mi się odzywać, zaczęłam przeproszać, kobieta jednak nie słuchała. Po prostu zaczęła mnie bić – mocno, rytmicznie. Jej dłonie wydawały się ogromne, każde uderzenie

obejmowało dużą połąć poślodka. Nie chodziło jej, jak to sobie uświadomiłam, o efekt emocjonalny; była zainteresowana wyłącznie tym, żeby mój tyłek uzyskał równomiernie różowe zabarwienie w możliwie krótkim czasie. Dla mnie jednak trwało to za długo – zaczęłam krzyczeć wniebogłosy. Numer 14 poszedł pod młotek, pomyślałam mimowolnie. Nie pierwszy pewnie i nie ostatni raz. Paul, który zaglądał jej przez ramię, wepchnął mi w usta zwiniętą w kulkę niezbyt czystą chusteczkę.

– Dzięki – powiedziała kobieta. – Ledwie słyszałam własne myśli. I jak to wygląda? – spytała, nie przestając mnie bić. – Nie ma sprawy – odparł życzliwie, wracając do roli skwapliwego obserwatora. – Och, dobrze, bardzo dobrze.

Może jeszcze z pięć uderzeń?

– Siedem – poprawiła go i było to siedem so len nych uderzeń.

Czułam się, jakby mi ktoś ugotował tyłek. Cały był gorący, parujący, spieczony. Zresztą nieważne – bolał i był podrażniony. Wyobraziłam sobie, jak topi się na nim masło; niemal słyszałam skwierczenie.

– Gotowe – powiedziała w końcu Margot. – I co, może być?

Paul złapał mnie za ramię i pociągnął na nogi. W ustach nadal miałam chusteczkę, wciąż wstrząsał mną szloch i pociągałam nosem.

– Całkiem nieźle – stwierdził i przypomniał sobie w końcu, żeby zabrać chusteczkę. – No cóż, myślę, że można spróbować. Dopilnuję, żeby to się znalazło w instrukcjach dla George’a, i dołączę knebel, dobra?

– Jasne – zgodziła się Margot. – Dlaczego nie? To pewnie podniesie jej cenę o jakieś pięć tysięcy.

W porządku, tyle w temacie twórczych wynalazków. Włączę ją do grafiku. Ćwiczenia, depilacja, ważenie, mierzenie i cała reszta.

Alergi brak, dieta zwykła. Z akt wynika, że im więcej pieprzenia, tym lepiej sobie radzi, więc umieszczę ją w górnej stre e poziomu drugiego. Jutro rano będziemy ją musieli sfotografować.

Wychłosisz ją koło dziesiątej?

Czy będziesz zajęty?

– Coś tam poprzesuвам – odparł.

– Cudownie, skarbie. Dobrze, o czym zapomniałam? Nie zaszkodzi, jak też rzucisz na to okiem.

Paul postukał w jakieś klawisze na jej komputerze, odwrócił się i powiedział: – Wygląda na to, że wszystko w porządku. Zapisz jej tylko karę na jutro.

Margot wstukała coś do laptopa.

– Będzie trochę zamieszania z innymi bazami – powiedziała – ale myślę, że się uda.

Całe szczęście, że naprawiłam tę usterkę na poziomie drugim. No cóż, chyba możemy odczytać jej prawa i odesłać do łóżka. Carrie, uklęknij i przyjmij pozycję na baczność.

Pospiesznie wykonałam polecenie, uklękłam i starając się prezentować wdzięcznie i ulegle, spojrzałam jej w oczy.

– Jestem pewna – zaczęła – że nie muszę mówić, że „odczytanie praw” to taki nasz tutejszy żarcik.

Tak nazywamy lekcję, której zamierzam ci udzielić. Bo jeśli myślisz, że w tym miejscu przysługują ci jakiegokolwiek prawa, to ktoś musiał gdzieś popełnić straszliwy błąd. Ale wyglądasz, jakbyś rozumiała, o co chodzi, więc...

Zamilkła na chwilę, po czym podjęła wątek:

– Będę się do ciebie zwracała po imieniu, bo jesteś do tego przyzwyczajona i tak jest najłatwiej.

Ale zostałam już włączona do naszego systemu i w wypadku większości interakcji imię nie będzie ci potrzebne. „Niewolnica” to całkiem odpowiednie określenie, które dużo bardziej pasuje do twojej sytuacji. To jest magazyn, centrum obróbki i zarazem ośrodek wystawowy. Zajmujemy się tutaj towarami, które zostaną wystawione na piątkowej aukcji. Wyśmienicie opiekujemy się ciałami – niektórzy z was są absurdalnie drodzy w obsłudze – zapewniamy opakowanie i prezentujemy was w taki sposób, żebyście się wydali atrakcyjni potencjalnym nabywcom. Jednak nasze obowiązki są również subtelniejszej natury – obejmują ducha, który domaga się sponiewierania i pogardy.

Zdążyliśmy się już przekonać, że choć większość was myśli o sobie jako o niewolnikach, w rzeczywistości nie macie bladego pojęcia, co to znaczy. Ty na przykład przez rok służyłaś pewnemu mężczyźnie. Och, wiem, że brałaś udział w różnych małych przedsięwzięciach, które aranżował, i to ważne doświadczenie, ale ograniczone. W rzeczywistości ten mężczyzna był twoim kochankiem, chłopa (wypowiedziała to słowo z pogardą), a nie panem, mimo że nadzorował twoje poczynania.

Całe swoje życie zorganizował wokół ciebie, dokładnie tak samo jak tobie kazał zorganizować swoje. Nie sądźmy, żeby ta sytuacja pozwoliła ci rozwinąć zdolność posłuszeństwa. Zostaniesz tu tylko pięć dni, mamy jednak nadzieję, że uznasz je za pouczające.

Przekonasz się w każdym razie, że tutaj nikt nie jest tobą szczególnie zainteresowany, że nikogo tu nie

obchodzą żadne przejawy twojej osobowości czy indywidualności. Jesteś dla nas cenna – wszyscy jesteście – jako rzadki towar, który zostanie sprzedany za dużą sumę.

Naszym zadaniem jest przepuścić cię przez tutejszy, znakomicie opracowany system.

To nasz system jest twoim panem, tak samo zresztą jak my wszyscy, którzy nim zarządzamy.

To oznacza oczywiście Paula i mnie, ale też tego tam Karla i wszystkie inne osoby, które tu pracują – kucharzy, strażników, śmieciarzy i tak dalej. Gdy będziesz się do nas zwracała, będziemy dla ciebie panem albo panią. Damy ci znać, kiedy będziesz się mogła odezwać – uważaj, żeby rozpoznawać nasze życzenia. Podoba mi się sposób, w jaki dzięki wygięciu pleców prezentujesz mi swoje piersi, ale nogi trzymasz za blisko siebie i twoja kość łonowa jest zanadto schowana. Tak lepiej. A teraz trzymaj wciąż podbródek w górze, ale opuść oczy. Nie wolno ci patrzeć nam w twarz. Jeśli potrzebujesz pomocy, żeby zdyscyplinować wzrok, pamiętaj o pejczu, który nosimy przy pasku.

Zawsze gdy będzie to możliwe, ręce będziesz miała związane. Kiedy jednak będą wolne, pamiętaj, żeby się nie dotykać. To wszystko. Podczas twojego krótkiego pobytu tutaj całkowicie się tobą zajmiemy. Szczegóły poznasz wtedy, gdy będzie to niezbędne. Co masz mi do powiedzenia, niewolnico?

– Tak, pani – udało mi się wykrztusić. – Dziękuję ci, pani.

Podniosła się.

– A teraz zwracam cię panu Karlowi. Zaprowadzi cię do łóżka. Ze mną i z Paulem spotkasz się jutro rano. Czekają cię bicie, zdjęcia i kara.

– Dziękuję ci, pani – powtórzyłam. Paul szturchnął mnie czubkiem martensa, a ja usłyszałam, jak mówię: – Dziękuję, panie – w jego kierunku.

Zostawili mnie na kolanach, ze wzrokiem potulnie wbitym w podłogę. Czułam się zmęczona. To był długi dzień.

Nie potrafiłam się dostatecznie skupić, żeby zrozumieć wszystko, co powiedziała Margot, ale wiedziałam, że następne dni będą zupełnie inne niż wszystko, co przeżyłam do tej pory. Naprawdę czułam się zagubiona. Byłam przerażona i jakoś mętnie podekscytowana tym, że oto zaczyna się coś nowego. Chciałam zatracić się jeszcze bardziej, zanurzyć w tym przyprawiającym o zawrót głowy uczuciu, ale właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że stoi nade mną Karl.

Super. Prostacki nastolatek moim panem. Jedna z najmniej pociągających osób, jakie kiedykolwiek stanęły na mojej drodze. Wiem, że o to właśnie chodziło, ale, do cholery, byłam zmęczona. Nie sądzę, żeby znał angielski, udało mu się jednak opanować tyle, ile potrzebował.

– Wyliz mi buty – zarządził, a ja wymamrotałam:

– Tak, panie – i zrobiłam, co mi kazał.

Słyszałam, jak jęczy. To go naprawdę kręciło, zaczęłam więc mieć nadzieję, że może straci nad sobą kontrolę i spuści się w spodnie. Bo jeśli nie.

Nie spuścił się. Wiedziałam, że w tej scenie będę się musiała gdzieś ukryć. Pociągnął mnie do góry za obrozę i przełożył przez biurko. Słyszałam, jak rozpina rozporek, i przestraszyłam się, że będzie straszliwie bolało. Otwórz się, powiedziałam sobie, rozluźnij się i otwórz. Potrafisz to... niewolnico. To ostatnie usłyszałam wypowiedziane głosem Margot. Jej wykład.

Zaczęłam go sobie powtarzać w głowie. To system, pomyślałam, system jest twoim panem. Karl wbił mi kutasa w dupę, a ja w kółko powtarzałam: system, system, wielki, piękny, znakomicie obmyślony system. I kiedy Karl pompował, ja wciąż słyszałam w głowie głos Margot. A potem zobaczyłam jej usta.

Co za szczęście, że zdążyłam się im przyjrzeć, zanim powiedziała, że nie wolno mi patrzeć jej w twarz. Krzyczałam głośno, wciąż mając ją przed oczami – biodra w skórzanych spodniach, ręce na klawiaturze komputera. To ona, pomyślałam, opracowała ten odrażający, straszny, cudowny system.

To ona stworzyła dla mnie ten ból i poniżenie.

Karl krzyknął i opadł na mnie. Czułam, jak kurczy się w mojej obtartej, zmalretowanej dupie, czułam, jak guziki i sprzączki jego pseudomilitarnego uniformu wbijają mi się w plecy i nogi.

Plakałam – po części z ulgi, że już po wszystkim. Przeżyłam. Ale nie ma mowy, żebym czuła coś poza oburzeniem na gwałt, jaki mi zadała ta tępą świnia, i nie ma mowy, żeby kiedykolwiek wzbudził we mnie coś na kształt szacunku. Albo żebym poczuła przy nim dreszcz erotycznego poniżenia. To obraz seksownej Margot pozwolił mi przetrwać. Margot i jej systemu. Zdaje się, że to była zdrada. No cóż, pozwij mnie, sukinsynu.

Karl podciągnął mnie do góry, a potem popchnął na kolana. Cieszyłam się, że nie muszę patrzeć na jego twarz i oglądać wyrazu oślego zadowolenia. Rozkuł mi ręce, żebym mogła wepchnąć z powrotem jego kutasa w spodnie i zasunąć suwak, a potem pociągnął mnie na nogi i popchnął przed siebie. Otworzył drzwi i wyszliśmy na korytarz.

Minęliśmy kilkoro drzwi. W pewnej chwili położył mi rękę na ramieniu, żebym się zatrzymała, a potem

wszedł do niewielkiej kuchni. Wrócił ze szklanką czegoś, co wyglądało jak mleko i faktycznie nim było. Ciepłe mleko.

Wypiłam je z nadzieją, że chcą mnie uspić i że dodali do niego jakieś środki nasenne.

Karl popchnął mnie dalej.

Mijaliśmy kolejne korytarze, aż w końcu dotarliśmy do pokoju. Był cały biały, z białym żelaznym łóżkiem, nad którym do ściany przymocowano zaczep. Zwisał z niego łańcuch. Karl kiwnięciem głowy wskazał na łóżko, a ja położyłam się na boku. Przeciągnął łańcuch przez kółko z przodu obroży i dość luźno przyczepił mi do niego ręce. A potem okrył mnie cienkim kocem. Ułożyłam się stosunkowo wygodnie, mgliście uświadamiając sobie (w mleku rzeczywiście musiały być jakieś prochy), że zasypiam w tej samej pozycji co „O” swojej pierwszej nocy w Roissy na ilustracjach Guida Crepax.

Następnego ranka obudziłam się w promieniach zimnego, niebieskawego północnego światła, które wpadało do mojego małego białego pokoiku. Firanki w oknie poruszały się lekko w łagodnych podmuchach rześkiego powietrza. Chwilę trwało, zanim przypomniałam sobie, gdzie jestem.

Przeciągnęłam się ostrożnie i zorientowałam, że łańcuch jest dość długi, żebym mogła usiąść na łóżku albo przy nim stanąć. Uznałam, że czuję się nieźle. Prawdę mówiąc, czułam się całkiem dobrze, wyjąwszy fakt, że byłam głodna i strasznie chciało mi się siku. W ogóle nie byłam przymulona – jeśli rzeczywiście dodali do mleka jakieś środki na sen, dobrze wiedzieli, jaka dawka jest odpowiednia.

Przypomniałam sobie, że jeden z dokumentów, które podpisywałam – wydawało się to tak odległe – upoważniał mojego lekarza, a raczej lekarza Jonathana, do ujawnienia tym ludziom wszystkiego na temat mojego stanu zdrowia. Pomyślałam o grubej teczce, którą miał ze sobą Paul. Co o mnie wiedzieli? A raczej czego nie wiedzieli. Wstałam i solidnie się przeciągnęłam. Ten dzień mógł przynieść wszystko.

Pewne było tylko bicie. O dziesiątej, powiedziała Margot. Prawdę mówiąc, wspominała o biciu i karze, ale choć miałam nadzieję, że po prostu wyraziła się niejasno i że to bicie miało być karą, w głębi duszy wiedziałam, że tak nie jest. W pokoju nie było zegara, nie miałam więc pojęcia, która jest godzina, ale sądząc po słońcu, do dziesiątej nie pozostało wiele czasu.

Gałka u drzwi szczęknęła i do środka weszła smukła młoda kobieta w stroju ni to pokojówki, ni to pielęgniarki, ni to zakonnicy. Szybko spuściłam wzrok, więc nie zdażyłam przyjrzeć się jej twarzy, ale myślę, że była ładna, wręcz urocza, mniej więcej w moim wieku. Miała na sobie bardzo prostą, przypominającą uniform sukienkę i nakrycie głowy podobne do kornetu. Z kieszonki wielkiego białego fartucha wystawała rączka wszechobecnego pejsza.

Trzymała porcelanowy nocnik, a przez ramię miała przewieszony biały ręcznik.

Postawiła mi nocnik między nogami i wskazała na niego gestem. Ukucnęłam i zrobiłam siku, ona zaś delikatnie wytarła mnie ręcznikiem, który okazał się ciepły i lekko wilgotny.

Wyszła z pokoju i po kilku minutach wróciła z miską pełną czegoś, co wyglądało jak kleik, spodkiem z wodą i nowym ręcznikiem. Postawiła naczynia na niskim stoliku w kącie pokoju, odczepiła mnie od łańcucha nad łóżkiem i spięła ręce za plecami.

Gestem wskazała na stolik. Domyśliłam się, że mam uklęknąć i wychłęptać kleik i wodę, tak więc zrobiłam.

Jedzenie nie miało smaku, ale sprawiało wrażenie bardzo pożywne i nie było złe.

Zresztą nikt raczej nie zostaje niewolnikiem seksualnym ze względu na kuchnię, a to przynajmniej było ewidentnie ludzkie jedzenie, zdrowe płatki ryżowe. Gdybym na podstawie śniadania miała zgadywać, co dadzą mi na obiad, postawiłabym na tofu (i słusznie). Kiedy skończyłam, kobieta wytarła mi twarz drugim ręcznikiem.

Dalsza część poranka upłynęła w milczeniu. Z pokoju wchodziło się do małej, równie białej łazienki. Kobieta zdjęła mi obrozę i obrączki, założyła ręce na kark, pomogła wejść do ogromnej wanny na lwich łapach, wyszorowała mnie, opłukała, pomogła wyjść i wytarła. Potem obcięła mi paznokcie i natarła ciało jakąś przyjemną oliwką. Umyła mi nawet zęby. Podobała mi się ta obsługa niczym w salonie Elizabeth Arden. Jasne, te zabiegi wynikały z założenia, że jestem przedmiotem, a przy odrobinie szczęścia drogim przedmiotem. Nie było to jednak takie złe. Pomyślałam, że ten system musiała zaprojektować kobieta.

Pokojówka wytarła mnie do sucha, odprowadziła do pokoju i postawiła w plamie słońca przy oknie. Założyła mi z powrotem obrozę i obrączki i spięła ręce na karku. Potem delikatnie położyła mi ręce na ramionach i pchnęła na kolana. A kiedy tak sprawnie słała łóżko i sprzątała, ja złapałam się na tym, że próbuję przybrać pozę, którą poprzedniego wieczoru kazała mi przybrać Margot.

Pokojówka pogładziła mnie po policzku i bardzo lekko pocałowała w czoło. Po czym wyszła z pokoju. Jej kroki ledwie było słychać, a drzwi tylko cichutko skrzypnęły, gdy zamknęła je za sobą.

Kłęczałam w zupełnym bezruchu jakieś dziesięć minut, po prostu czekając i sprawdzając, czy plecy

mam wygięte, nogi rozchylone, podbródek uniesiony, a oczy skierowane w dół, jak należy.

Starałam się oddychać bardzo powoli, głęboko, tak jak mnie tego uczono na zajęciach jogi.

Próbowałam cieszyć się chwilowym dobrym samopoczuciem zycznym i nie martwić o to, co się miało zdarzyć. Też pomyśl. No dobra, ale oddychanie pomagało. Nawet jeśli byłam emocjonalnie pobudzona, moje ciało i pewna istotna część ducha sprawiały wrażenie rozluźnionych i gotowych.

W końcu usłyszałam jakieś głosy za drzwiami i nagle w jasnym, cichym pokoju zapanował rozgardiasz. Do środka wmaszerowali Paul i Margot, oboje znowu ubrani na czarno. Potrafili zająć sobą całą przestrzeń. Paul miał skórzaną torbę na ramię i dużą, profesjonalnie wyglądającą kamerę.

Margot też miała torbę i laptopa. Położyli sprzęt na stoliku i gwałtownie postawili mnie na nogi, po czym wspólnie zaczęli przeprowadzać surową, choć bardzo skrupulatną inspekcję niemal wszystkich części mojego ciała, poszturchując je, trącając i popychając.

– W papierach piszą, że zawsze ma takie cienie pod oczami – zauważył Paul. – I dobrze. To mi się podoba.

Oświetlę pokój, żeby je wydobyć. Ale to od ciebie będzie zależał odpowiedni wyraz twarzy – powiedział, odwracając się do Margot.

Margot tylko pokiwała głową w zamyśleniu, po czym odwróciła się do mnie.

– Niewolnico – powiedziała – stań pod ścianą. Pozycja. Ręce na kark. Łokcie szeroko.

Nogi leciutko rozstawione, kość łonowa wygięta do przodu.

Podczas gdy ja próbowałam zastosować się do instrukcji, czując, jak piersi unoszą mi się, kiedy rozstawiam łokcie, Paul włączył bardzo jasne reflektory, które zainstalowano na przeciwległej ścianie. Zaczął majstrować przy rządki pokręteł i przełączników (umieszczonych w małej skrzynce obok), dopasowując kąt padania i jasność światła. I akurat gdy udało mi się stanąć wreszcie w pozycji, która, jak sądziłam, zadowoliłaby Margot, usłyszałam jej głos: – Teraz możesz podnieść oczy. Spójrz na mnie.

Paul zaczął mi robić zdjęcia, szukając odpowiedniego kąta i oświetlenia, Margot zaś niedbale rzuciła:

– A tak, zapomniałam powiedzieć, jaka cię czeka kara. Za to, że byłaś wczoraj opieszła i odzywałaś się nieproszona, w porze kolacji zostaniesz wystawiona w stołówce dla personelu. Jako deser dla popołudniowej zmiany.

Paul zrobił mi kolejne zdjęcie, a Margot uśmiechnęła się zadowolona. Sprytna suka.

Podejrzewam, że moje źle skrywane zaskoczenie i oburzenie było tym, co chcieli uchwycić na zdjęciu.

– Właśnie tak – krzyknął z entuzjazmem Paul. – Super, Margot. Na łóżko, niewolnico. I na czworaka.

A Margot dodała:

– Koniec z patrzeniem w twarz.

Rzuciłam się w stronę łóżka, a Paul tymczasem wyciągnął z torby garść rzemieni.

Bardzo szybko i z wielką wprawą przywiązał mi nadgarstki do kostek, tak że pośladki miałam pod odpowiednim kątem wypięte w jego stronę. Jeszcze kilka rzemieni i byłam zupełnie unieruchomiona. Tym razem przyniósł ze sobą prawdziwy knebel, usztywniony kawałek grubego materiału, który zawiązał mi z tyłu głowy. Na koniec wyciągnął ostatni rzemień, złożył go na pół i poszedł do łazienki, żeby zmoczyć i usztywnić skórę. Wylał go z nadmiaru wody i zaczął mi wymierzać starannie rozłożone razy. Bolało bardziej niż trzcinka Jonathana. Płakałam, szlochałam i bulgotałam pod kneblem. Dzięki Bogu, że nie mogłam się ruszyć. Razów jednak nie było wiele, choć czułam miejsca, gdzie się przecinały – ciemne ślady na mojej skórze bez wątplenia tworzyły wzór kratki. W końcu Margot pomogła mnie rozwiązać i z emfazą stwierdziła:

– Kawał dobrej roboty, Paul.

A ponieważ widzieli, że cała jestem zapłakana i oszołomiona biciem, przyciągnęli mnie do ściany i powiesili za obrączki na łańcuchu, do którego byłam przyczepiona w nocy. Szybko i sprawnie odsunęli łóżko, dostosowali oświetlenie i poszturchiwaniem zmusili mnie, żebym przybrała odpowiednią pozycję. Dla Paula to była pestka – ujęcie było od tyłu, więc nie musiał się przejmować moim wyrazem twarzy. Nie zdjął mi nawet knebla – po części, jak myślę, po to, żeby nie musieć mnie słuchać, ale po części też dlatego, że chciał utrzymać zdjęcia w konwencji dokumentu. Wszystko poszło błyskawicznie. Na koniec odkneblował mnie, spakował sprzęt i wyszedł w pośpiechu, zostawiając mnie sam na sam z Margot.

Margot odpięła mnie i uwolniła mi ręce.

– Na kolana. Obok mnie – powiedziała.

Zrobiłam, jak kazała, a ona tymczasem zaczęła wstukiwać coś do komputera.

Obserwowałam jej dłonie. Wreszcie zamknęła laptopa. Położyła ręce na kolanach i wyczułam, że na mnie patrzy.

– Zajmujemy się tu niewolnikami na kilka sposobów – zaczęła. – Przede wszystkim przygotowujemy was do aukcji – zbieramy informacje i opracowujemy duży, luksusowy katalog dla potencjalnych

nabywców. Dlatego właśnie zostajecie tu aż pięć dni. Tyle czasu trzeba, żeby zebrać wszystko do kupy i wydrukować. Mamy już twoje zdjęcia, a później, na siłowni, zważą cię i zmierzą.

I to by było na tyle. Myślę, że wiemy już o tobie wszystko, co powinniśmy wiedzieć.

Poza tym oczywiście karmimy was tu, dbamy o czystość, wypoczynek, ćwiczenia i pieprzenie.

Jestem pewna, że nie muszę wspominać, że każdy, kto przyjdzie do tego pokoju, żeby cię wypieprzyć, będzie twoim panem albo panią i winna mu będziesz całkowite posłuszeństwo. Takie samo posłuszeństwo masz okazywać trenerom. Będziesz ćwiczyła codziennie przez dwie i pół godziny. To będzie naprawdę zwykły trening. Niewolnicy zazwyczaj słuchają trenerów, w każdym razie nie mniej niż Cher czy Madonna. Staraj się jednak, bo jeśli nie będziesz współpracować, nie ominie cię kara. Mamy tu także centrum wystawowe. Przychodzą tam klienci, żeby was obejrzyć.

Mogą się umówić na wizytę w twoim pokoju, ale najczęściej zakupów dokonują w Ogrodzie. I tam właśnie pójdziesz w następnej kolejności. Więcej nie musisz wiedzieć.

Prawdę mówiąc, nawet to nie jest ci potrzebne i zaraz wyjaśnię dlaczego. No dobrze, co mi powiesz?

Wymamrotałam podziękowania, nie zapominając przy tym tytułować Margot „panią”, ona zaś kontynuowała:

– A teraz przejdźmy do kar. Ponieważ nie chcemy, żebyście w czasie aukcji mieli zbyt wiele śladów, wybór mamy ograniczony. Praktykujemy przede wszystkim wystawianie na widok publiczny i poniżanie.

Sięgnęła do torby, wyciągnęła dwa laminowane kartoniki. Na obu starannie wypisano: OPIESZAŁOŚĆ/ODŻYWAŁA SIĘ NIEPROSZONA. Przyczepiła je tak, że jeden dyndał z przodu mojej obroży, a drugi z tyłu.

– Będziesz je nosiła przez cały dzień na terenie ośrodka przeznaczonym dla personelu – powiedziała. – Żeby każdy, kto tu pracuje, wiedział, że znajdziesz się wśród niewolników wystawionych dziś wieczorem. Od pracowników zależy, jak cię wykorzystają. Czasami kłócą się o niewolników, na których mają największą ochotę, a czasami wymyślają grupowe gry. To dobra kara, ale, niestety, utrudnia mi życie, bo muszę na bieżąco wprowadzać zmiany. A ponieważ za każdym razem, kiedy jakiś nabywca chce spędzić z tobą dodatkowy czas, zaburza to działanie systemu – rozmywa się jego prosta dwuwartościowa logika – to dla mnie żadna przyjemność. Lepiej, żebyś nie zmuszała mnie do stosowania kolejnych kar. – Wymierzyła mi policzek.

– Dobrze, pani – powiedziałam wyraźnie. – Nie będę.

Sięgnęła do torby i wyjęła niewielką bransoletkę, którą zapięła mi ciasno na lewym nadgarstku.

Bransoletkę zrobiono z miękkiej skóry – wyczuwałam przewody zamocowane od wewnątrz. Margot otworzyła laptopa, wcisnęła jakiś klawisz, a ja poczułam serię leciutkich ukłuć, jak gdyby w nadgarstek wbiła mi się setka małych szpileczek.

Pomyślałam, że to impuls z przewodu – najmniejsza możliwa dawka elektrowstrząsów zakodowana tak, żeby odbierać ją jak ukłucie czymś ostrym, a nie porażenie prądem.

– To ci pomoże dotrzeć na miejsce – powiedziała. – Nie, nie dowiesz się gdzie.

Będziesz musiała sprawdzić przed jednym z oczu Argosa.

Zaprowadziła mnie do małego monitora zamontowanego w ścianie nieopodal drzwi.

– Przejeżdż czipem w bransoletce przed tym zielonym światelkiem – powiedziała, poruszając moim nadgarstkiem.

Usłyszałam zgrzytliwy odgłos czytnika, coś między trzaskiem a pociągnięciem nosem.

Ekran rozbłysł, pokazując schematyczną mapę. Zobaczyłam na niej moją lokalizację, otoczenie i strzałkę, która wskazywała, dokąd mam iść.

Informacja była całkiem czytelna, przynajmniej jeśli chodzi o kierunek, choć nie miałam pojęcia, dokąd mnie ta strzałka zaprowadzi.

– Mamy tutaj mnóstwo takich urządzeń – powiedziała Margot. – Dokładnie dwieście pięćdziesiąt sześć. Dlatego trudno będzie ci się zgubić, a my oczywiście zawsze będziemy wiedzieć, gdzie jesteś.

Za pięć minut impuls wokół twojego nadgarstka stanie się silniejszy i wtedy pewnie zaczniesz się spieszyć. Kiedy dotrzesz na miejsce, możesz się zalogować w Argosie. Wtedy sygnał zamilknie.

Oczywiście do czasu, gdy będziesz musiała ruszyć dalej. Myślę, że na ciebie już pora. Co powiesz na pożegnanie, niewolnico?

Gdy znów jej dziękowałam, ukłucia stały się mocniejsze, jak gdyby grubsze igły zaczęły wbijać mi się nieco głębiej w ciało. Jeszcze raz przejechałam bransoletką przed okiem Argosa, żeby sprawdzić, gdzie mam iść, i szybko ruszyłam we wskazanym kierunku.

Szłam długim korytarzem, mijając po drodze zaaferowanych ludzi. Część była naga, część ubrana, ale wszyscy sprawiali wrażenie, jakby się gdzieś spieszyli. Niektóre z ubranych osób z zadowoleniem spoglądały na znaki przy mojej obroży. Pędząc do Ogrodu, starałam się nie myśleć, co to mogło dla mnie

oznaczać i co się będzie działo wieczorem.

Wykres na ekranie Argosa był dość schematyczny, ale wystarczająco dokładny.

Pokazywał drogę prowadzącą korytarzem w lewo, potem w prawo, a na koniec drzwi wychodzące na dużą otwartą przestrzeń. Tuż przed tym, zanim dotarłam na miejsce, klucie nasiliło się jeszcze bardziej. Tym razem naprawdę zabolalo, ale niemal tego nie zauważyłam, tak zaskoczyło mnie to, co zobaczyłam przez ogromne otwarte drzwi. To było zdumiewające. Ogromna, przepiękna, przykryta kopułą przestrzeń wielkości stadionu. Fontanny, wielkie drzewa w donicach, starannie zagrabione żwirowane ścieżki i mnóstwo kwiatów. To miejsce nie udawało ogrodu na świeżym powietrzu; nie było tu sztucznej trawy ani nic w tym rodzaju – tylko cudownie kolorowe płytki i żwir, bluszcz i wytrzymałe sukulentki zasadzone na płytkich grządkach. A mimo to pełno tu było zieleni, wody – strumyczków, maleńkich wodospadów, niewielkich wzgórz i krętych ścieżek wśród miniaturowych pergoli.

Metalowa konstrukcja kopuły została wykonana w stylu art déco – jej poskręcane elementy przywodziły na myśl stację metra na bulwarze Saint-Michel – a przez ogromne szklane panele widać było zimowe, północne, szaroniebieskie niebo, kontrastujące z panującym w środku ciepłem.

Domyśliłam się, że to właśnie jest Ogród, mi jednak wydał się orientalnym pałacem rozkoszy Kubilaj Chana12, przyozdobionym kolorowymi światełkami i rozrzuconymi gdzieś tam nagimi, niekiedy bogato udekorowanymi ciałami niewolników.

Przy drzwiach stał strażnik i sprawiał wrażenie znudzonego.

– Zaloguj się w Argosie – powiedział, a gdy to zrobiłam, odpiął mi plakietki od obroży. – Przy bogaczach ich nie nosisz. Ale jeśli ich ode mnie nie odbierzesz, kiedy będziesz stąd wychodziła, wpakujesz się w kłopoty. I pospiesz się. – Wepchnął mnie przez drzwi.

Gdyby tego nie zrobił, pewnie dalej bym stała i gapiła się, ignorując ból w nadgarstku, dopóki znów nie wzrosłoby jego napięcie. Pospiesznie jednak podeszłam do następnego oka Argosa, zainstalowanego w murku obok kawiarenki na wyłożonym ceglami tarasie. Omal przy tym nie wpadłam na brodatego mężczyznę w jasnoszarym garniturze, który błogo opierał się o ścianę, podczas gdy nagi rudy chłopiec obciągał mu kutasa. Machnęłam ręką i klucie ustało. W końcu trałam na miejsce, pomyślałam, chłonąc wciąż tę scenę rodem z onirycznego poematu.

Przy stolikach, popijając wino, kawę i jedząc lody, siedziało kilka bardzo eleganckich osób w strojach z miękkich jedwabi i lnu. Wszyscy wyglądali, jakby byli na wczasach w jakimś zimowym kurorcie. Jeszcze więcej osób przechadzało się żwirowymi ścieżkami, śmiejąc się i pokazując sobie widoki, niewolników w pozach żywych posągów na cokółkach, kolumnach i przy fontannach albo cudownie przebranych za zwierzęta w niewielkim zoo i na maleńkiej karuzeli nieopodal jeziora. Od czasu do czasu, gdy jakiś niewolnik zrobił na kogoś wrażenie, zwiedzający wskazywał go gestem, on zaś podchodził, przyjmował pozycję i oferował usta, dupę, kutasa albo cipę.

Przypominało to prezentację, na którą dawno, dawno temu zabrał mnie Jonathan.

Mogłabym chłonąć Ogród godzinami – ogrom i uroda miejsca, kulturalny dźwięczny śmiech, który zdawał się rozbrzmiewać wszędzie wokół, idealna gracia i absolutne posłuszeństwo niewolników, a pośrodku tego wszystkiego moje własne ogłupiałe i niczym nieprzesłonięte zdumienie.

I właśnie wtedy mężczyzna ubrany jak kelner wepchnął mi w ręce tacę z napojami.

– Stolik koło drzewka cytrynowego – powiedział, a ja pospieszyłam we wskazanym kierunku.

Byłam teraz częścią tego wszystkiego i zamierzałam dobrze wypaść. Tylko nie rozlej ani kropelki, napomniałam się w duchu. Trzymaj się prosto i nie myśl o tym, że oni są ubrani i mają władzę, a ty jesteś goła i całkowicie zdana na ich łaskę. A kiedy poczujesz, że piersi ci się kołyszają, a ich wzrok się na nich zatrzymuje. . W żadnym razie nie wolno ci rozlać ani kropli tego, co niesiesz tym przerażającym ludziom w tak pięknym i demonicznym miejscu.

Dotarłam do stolika.

– Lody? – spytałam grzecznie, trzymając w dłoni filigranowy pucharek.

Śliczna kobieta o porcelanoworóżowej cerze i krótkich czarnych lokach uśmiechnęła się i skinęła głową. Jak na razie wszystko w porządku.

– Piwo? – kontynuowałam.

Podobnie zareagował przysadzisty starszy pan z siwymi włosami i brodą. Herbata powędrowała do wysokiego, kościstego, ogolonego na łyso mężczyzny. Postawiłam ją przed nim, gotowa skinąć grzecznie i się wycofać, ale on sięgnął wielką łapą i chwycił solidny kawałek mojego poślada. Co – jak możecie sobie wyobrazić – było naprawdę bolesne, zważywszy na baty, jakie dostawałam niecałą godzinę wcześniej. Z całych sił starałam się nie dać tego po sobie poznać.

– Lubię – powiedział łysoł – kiedy mogę chwycić w garść porządny kawałek dupy.

Podoba mi się dotyk tej tutaj.

I ślady bicia. Może była niegrzeczna, a może ktoś po prostu uznał, że tak będzie wyglądała bardziej prowokacyjnie.

Co o tym myślicie? Francis, Chloe? – A do mnie powiedział ostro: – Ty tam, odwróć się tyłem do pana i pani.

Trzymając tacę przed sobą, powoli odwróciłam się tyłem do stołu.

– Pochyl się – rozkazał łysol.

Przesunął rękę na mój krzyż i nacisnął. Zgięłam się w pasie i trzymając plecy prosto, pozwoliłam im podziwiać robotę Paula. Prezentując swoje przyozdobione pośladki, czułam się jak pawian. W ramach pociechy postarałam się, żeby mój skłon wypadł możliwie wdzięcznie – wydłużyłam mięśnie, jakby to była lekcja baletu. Cieszyłam się, że nie muszę na nich patrzeć.

Francis, siwy brodac, sprawiał wrażenie nieco znudzonego.

– André, czy Chloe naprawdę trzeba zachęcać w ten sposób? – spytał.

A potem zwrócił się do Chloe:

– I co, podoba ci się tutaj?

– Tak – odparła wprawdzie cicho, ale za to bardzo wyraźnie, a ja pomyślałam, że wcale nie potrzebowała żadnej zachęty. – To bardzo interesujące. Właśnie tak, jak się spodziewałam. I nie sądzę, żeby ta tutaj była niegrzeczna.

Zgadzam się z André. Ktoś musiał uznać, że z tymi śladami będzie wyglądać ponętniej.

Każ jej do mnie podejść, André.

– Sama jej rozkaż.

– Ty – powiedziała kobieta – niewolnico, odstaw tacę i chodź tu do mnie natychmiast.

Podeszłam ze spuszczonym wzrokiem. Poklepała moje piersi zimną łyżeczką.

– Za małe dla ciebie, Francis – powiedziała. – Myślę, że tracisz czas, siedząc tutaj z nami.

Mężczyzna pokiwał głową. W rzeczywistości już spoglądał w dal – bez wątpienia jego wzrok przyciągnęła jakaś większa para cycków.

– Spotkajmy się za godzinę – powiedział. – Powiem kelnerowi, żeby na chwilę wyłączył jej tę bransoletkę.

Dzięki, Francis, pomyślałam, gdy oddalał się w pośpiechu. André wyjął z kieszeni smycz i wręczył ją Chloe, ona zaś przyczepiła mi ją do obroży.

– Co byś powiedział na wysadzaną kamieniami obrożę, polakierowane paznokcie u stóp i złote sutki do pary? – spytała. – Może na bladoniebiesko, co? I jakaś ładna buda, żeby się miała gdzie schować. To takie słodkie, prawda?

Ta odrobina smutku, który ma w sobie. Szkoda – ciągnęła – że nie możemy sprawić, żeby stała się jeszcze smutniejsza. Dlaczego nie pozwolą jej nam wychłostać albo przynajmniej popatrzeć, jak ktoś to robi?

– Zastanów się – odparł André. – Przy takim tłumie przez tydzień do aukcji wyglądałaby jak hamburger. I tak zabawnie jest patrzeć, jak próbuje zapanować nad poniżeniem, prawda? To ta część widowiska, którą lubię najbardziej.

Moja twarz oblała się purpurą. Pewnie na myśl o tym, że miałabym być jej zwierzątkiem, z polakierowanymi paznokciami, w wysadzonej klejnotami obroży. Pchnęła mnie na kolana.

– Chodź za mną na czworakach – powiedziała. – André, naprawdę zamierzasz iść za nami w ten sposób?

– Sprawdzam tylko, czy się prosto trzyma – wymamrotał.

Wzrok miał pewnie wlepiony w mój obity tyłek.

Wyłożone płytkami przejście było twarde, zimne i śliskie dla moich kolan i dłoni.

Kobieta poprowadziła mnie wokół małego sztucznego jeziorka, raz czy dwa zatrzymując się, żeby porozmawiać z przyjaciółmi lub znajomymi, którym również towarzyszyli niewolnicy. Wreszcie usiadła na ławeczce nad wodą, w miejscu, gdzie jezioro zasilał niewielki wodospad.

– Pij – rozkazała, a ja wychłęptałam nieco wody.

– A teraz jedz – powiedziała, podciągając spódnice i pokazując olśniewająco białą, wygoloną cipę, otoczoną skomplikowanym ornamentem pasa i pończoch.

Wślizgnęłam się w nią językiem, a ona zacisnęła dłoń na smyczy. Słyszałam, jak pojękuje cicho, gdy ją lizałam, często wracając do łechtaczki, okrążając ją i drażniąc.

Nie byłam zupełnie zaskoczona, gdy poczułam kutasa André w odbycie, a jego wielkie łapska na piersiach.

Próbowałam krzyknąć, ale Chloe przytrzymała mi głowę między nogami. Podałam się więc ich rytmowi, jego pchnięciom i jej pociągnięciom, starając się być tak aktywna i zarazem pasywna, jak tego



wymagała sytuacja.

W końcu oboje doszli i pochylając się nade mną, pocałowali się łapczywie.

– A teraz weźmiemy chłopczyka – wymruczał do niej sennym głosem André. – Ślicznego małego chłopczyka. – A ponieważ Chloe odpięła smycz, uznałam, że zostałam odprawiona. Gdy zerwałam się na równe nogi, zauważyłam samotnego mężczyznę na ławce nad jeziorkiem.

Przeglądał jakieś papiery, co jak na Ogród wydawało się dość dziwne. Miałam wrażenie, że obserwował mnie, gdy byłam z André i Chloe. Nie wiedziałam, skąd mi to przyszło do głowy ani co dokładnie wyczułam poza ukierunkowaną uwagą i pewnym szczególnym bezruchem. Odwróciłam się i przez chwilę na niego patrzyłam, choć mogłam dostrzec jedynie błysk przyciemnianych okularów.

W chwili gdy przypominałam sobie, że powinnam spuścić wzrok, poczułam znów klucie w nadgarstku. Oho, prędko, żeby logika znów się nie rozmyła, pomyślałam, spiesząc do Argosa.

Monitor skierował mnie z powrotem do pokoju, gdzie pokojówka umyła mnie i dała obiad.

Zdrzemnęłam się jakąś godzinę, po czym bransoletka zaprowadziła mnie na siłownię.

Plakietki z uchybieniami znów dyndały mi przy obroży. Machnęłam bransoletką przed okiem Argosa, a stojąca nieopodal drukarka zaczęła wypluwać papier z informacjami na mój temat, żeby trener wiedział, jaki program zajęć mi ułożyć, ile czasu przeznaczyć na rozciąganie, ile na bieżnię, a ile na ciężarki.

Margot miała rację, to był zwykły trening. Taki sam jak w tness klubie dla japiszonów.

Tyle tylko, że tutaj nikt nie miał walkmana. Puszczali za to jakiś nudny radosny europop.

No i oczywiście trzeba pamiętać, że na wszystkich tutejszych urządzeniach ćwiczyli nadzy niewolnicy – zaobrączkowani, zakuci i zalogowani do systemu. Kilku, tak jak ja, miało plakietki, które oznajmiały, że tego wieczoru zostaną ukarani, a także informowały wszystkich zainteresowanych, jakiej natury wykroczenie popełnili. Moje było dość typowe, ale zauważyłam też NIEZDYSCYPLINOWANY WZROK i ROZMYŚLNE NIEPOŚLUSZENSTWO. Ta ostatnia plakietka mnie zahipnotyzowała. Była przyklejona do obroży wysokiego chłopca, który korzystał z atlasu na siłowni. Miał bardzo silne, piękne uda – takie, w których jedne mięśnie walczą z drugimi o pierwszeństwo – i długie czarne włosy związane na plecach. Zastanawiałam się, co trzeba zrobić, żeby zasłużyć na napis ROZMYŚLNE NIEPOŚLUSZENSTWO, a nie zwykłe NIEPOŚLUSZENSTWO czy moje pozbawione wyrazu: OPIESZAŁOŚĆ/ODZYWAŁA SIĘ NIEPROSZONA. Skoro ktoś dotarł tak daleko, dlaczego miałby celowo być nieposłuszny i co mogło być powodem owego rozmyślnego przewinienia? Ciekawe, czy kiedykolwiek się tego dowiem. No cóż, trzeba czymś zająć myśli, kiedy spędza się czas na bieżni.

Prawdę mówiąc, wciąż powinniśmy byli mieć spuszczone wzrok, ale do tej zasady trudno się było stosować, a trenerzy rozsądnie nie robili z tego wielkiego problemu.

Byliśmy tu przede wszystkim po to, żeby pracować – bez pracy nie ma kołaczy, jak wszyscy doskonale wiedzą. To, jak sobie radziłyśmy z podnieceniem, poniżeniem czy co tam kto czuł, to był nasz problem. Podejrzewam, że wszyscy, tak jak ja, w sekrecie porównywali się z innymi.

Niewolnicy, a w każdym razie ci, na których udało mi się rzucić okiem, mieścili się w przedziale od „w porządku” do „ośniewiająco piękny”. I wszyscy, pocący się i stękający na swoich machinach, mieli, jak się łatwo domyślić, całkiem niezłe ciała. Albo nawet więcej niż niezłe. Mogłam tylko mieć nadzieję, że „możliwości”, jakie dostrzegła we mnie Kate Clarke, dostrzeże również jakiś nabywca. W przeciwnym razie znowu będę musiała pomyśleć o studiach.

Tymczasem mój wzrok wciąż wędrował w kierunku Rozmyślnego, który szedł teraz po bieżni naprzeciwko mnie.

Miałam ochotę gapić się na niego bez przerwy – na delikatne mięśnie brzucha, nasadę fioletowego kutasa okolonętego cudownymi czarnymi lokami. Podejrzewam, że gapiłam się na niego bez przerwy, choć próbowałam, jak to ujęła Margot, „zdyscyplinować swój wzrok”. Ucieszyłam się, kiedy kazano mi przejść na ławkę do brzuszaków i musiałam się skoncentrować na własnych mięśniach.

Europop wciąż sączył się z głośników, ale moje wewnętrzne ucho włączyło kawałek ze starej radiostacji – taki, o którym nawet nie wiedziałam, że go znam (matka irytowała mnie niepomnie, śpiewając go na głos w samochodzie za każdym razem, kiedy leciał w radiu). Westchnęłam i podwyższyłam ławkę o szczebel. Świetnie, Carrie, jasne, najlepsza pora, żeby cofnąć się do seksualnej fantazji numer jeden (nie wiem nawet, czy była to fantazja moja, czy matki) – Najgorszy Łobuz w Klasie. Ten chłopak to buntownik. Zobacz, jak przestępuje z nogi na nogę.

Rozmyślny zszedł z bieżni i faktycznie przestępował z nogi na nogę, bo z jakiegoś powodu Argos się zawiesił.

W końcu jednak monitor się rozświetlił – dobra robota, Margot – i chłopak sprawdził instrukcje.

To, co rzeczywiście było niezwykle w tym miejscu, to fakt, że każdy miał tutaj własny grafik. Otóż gdybym to ja miała zajmować się grupą niewolników, traktowałabym ich jak grupę właśnie. Jak to robia

w wojsku, szkole czy tak jak to było u sir Harolda. Tymczasem tutaj wyglądało to inaczej; tutaj traktowali człowieka – zgodnie ze słowami Pani Systemu –

jak „rzadki towar”. Drogi niewolników krzyżowały się wprawdzie, ale każdy podążał własną.

Taki właśnie był cel skomplikowanego oprogramowania Margot.

Dyscyplinowanie stało się zbędne, chyba że akurat miało służyć jakimś poniżającym praktykom. Zaczęłam rozmyślać o tym, jak mało wyraźniane są niektóre formy kontroli i jak wiele możliwości mają jeszcze ci, których podnieca odprawianie rytuałów władzy i dominacji. Jonathan twierdził, że cała rzecz sprowadza się przeważnie do naśladowania struktury społecznej późnego feudalizmu, ancien régime'u w przededniu nastania mieszczańskiej demokracji. Zastanawiałam się właśnie, czy faktycznie jest to konieczne i na ile sprawdza się w tych dziwnych czasach, w których przyszło nam żyć, gdy nagle mój wzrok ściągnął Rozmyślny, który – klękł się na Boga – wyszeptał bezgłośnie „Do zobaczenia wieczorem”, po czym niespiesznie wyszedł z siłowni.

Przeraziło mnie to. Przypomniała mi się Cathy i kawałek gumowego węża. Byłam pewna, że ktoś – trener albo strażnik – musiał zauważyć. Uznałam, że w każdej chwili mogą mnie zaciągnąć do jakiegoś mrocznego lochu i tam patroszyć, ćwiartować, a może nawet łamać kołem, jednym słowem zabawiać się tak, jak to robiono w czasach wczesnego – mniejsza o szczegóły – feudalizmu. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Jeśli ktoś to zauważył, nic nie powiedział. Chłopak, musiałam przyznać, miał wycucie chwili. Może wychowywał się na ulicy. Wyobraziłam go sobie ubranego w stylu matki piosenki (wczesny Marlon Brando – to znów jej wpływ) – niebieskie dżinsy, obcisła biała koszulka i paczka papierosów wetknięta za podwinięty rękawek. Czarny wojskowy pasek.

Robociarskie buty. Uznałam, że to bardzo podniecający obrazek. No cóż, nago już go widziałam. I zobaczę znowu dziś wieczorem.

Resztę czasu na siłowni spędziłam w lekkim zamroczeniu, toteż dwie i pół godziny upłynęły tak, że prawie tego nie zauważyłam. Wreszcie odezwała się moja bransoletka i zgodnie ze schematyczną mapką ruszyłam z powrotem do swojego pokoju, gdzie kolejna pokojówka umyła mnie i dała kubek wody do picia. Zostawiła mnie jak zwykle na kolanach, w tak lubianej pozycji służalczej uważności, w oczekiwaniu – jak przypuszczałam – na kogoś, kto zgodnie z obietnicą Margot przyjdzie, żeby mnie wypieprzyć. Umyta, nakarmiona, wypoczęta, wyćwiczona i wypieprzona, mówiła. I faktycznie ktoś się zjawił – ktoś z personelu, typowy biurokrata średniego szczebla, sądząc po butach.

I pieprzył mnie, aż wióry leciały. Gdy wyszedł, przez jakieś dwadzieścia minut leżałam sobie na łóżku z twarzą w pościeli, zastanawiając się, jak wiele tego ich zdaniem „potrzebowałam”. To był ciekawy problem i całkiem przyjemny, a w każdym razie dużo przyjemniejszy niż kara, o której starałam się nie myśleć, kiedy za oknem zaczął zapadać zmrok.

Czas jednak płynął nieubłaganie i niebawem zjawiła się pokojówka, żeby mnie umyć i nakarmić – zgodnie z przewidywaniami przyniosła tofu i warzywa. Potem znów czekanie. Jologiczne wdech i wydech. Nienawidziłam suspense. Wreszcie jakiś inny strażnik, dzięki Bogu nie Karl, przyszedł i przyczepił mi do sutków – naprawdę bolało – klamerki z obrzydliwymi dzwoneczkami, po czym zniknął bez słowa.

Jakieś piętnaście minut później poczułam ukłucie bransoletki, ruszyłam więc przez korytarze, podążając za wskazówkami Argosa, a dzwoneczki złośliwie i boleśnie podzwaniały przy każdym kroku. W końcu dotarłam do małej stołówki dla pracowników i strażnik przy drzwiach wpuścił mnie do środka. To była typowa, jasno oświetlona jadalnia z bemaarami, fornirowymi stołami i plastikowymi krzesłami. Jedynym elementem łamiącym tę konwencję było wysokie na metr i szerokie na jakieś siedem i pół metra podwyższenie ustawione pod ścianą.

Kłęcząco tam już dwoje czy troje niewolników z pośladkami zwróconymi do ściany, plakietkami dyndającymi przy obrożach i spuszczonego wzrokiem. Część osób jedzących przy stolikach przyglądała się tym nieszczęśnikom, pokazując ich sobie palcami, żartując i, jak sądzę, planując dobrą zabawę. Reszta po prostu jadła, popijała kawę, kręciła się, paliła i plotkowała.

Strażnik zaprowadził mnie na podest, i tam dostrzegłam kolejny paskudny trik systemu.

Nikogo nie skuwano łańcuchem. Trzeba było po prostu wdrapać się na podwyższenie i cofać, dopóki człowiek nie nadział się na zamontowane w ścianie dildo. Bardzo przemyślnie rozmieszczono je na różnej wysokości, a strażnik potrafił wyczuć, które będzie odpowiednie – podejrzewam, że każdy nowy szybko osiągał w tym prawdziwe mistrzostwo. Dildo było duże – duże, zimne, gładkie i twarde – i na szczęście dobrze natłuszczone. Skrzywiłam się, kiedy na nie natrafiłam, co zostało nagrodzone gwizdami, wybuchami śmiechu i jedną czy dwiema obietnicami, że zanim wieczór dobiegnie końca, na pewno poczuję się z tym lepiej. Ktoś rzucił we mnie kulka papieru i trafił w twarz, a potem skórka banana, która odbiła mi się od ramienia. Czułam, że się czerwienię, spuściłam głowę, ale strażnik uniósł mi podbródek

rączką pejcza. Dzwoneczki zwisające z obolałych piersi zabrzęczały, gdy wygięłam plecy w łuk, żeby przybrać odpowiednią pozycję. Patrzyłam na twarze przy stolikach – nieciekawe, rozbawione, radosne – i naprawdę czułam się ukarana. Poniżona. To było coś zupełnie innego niż wszystko, czego doświadczyłam do tej pory.

Przypomniała mi się przemowa Jonathana – sprzed stu lat – o moim ostrym jak brzytwa krytycznym umyśle – dajcie spokój! Ci tutaj mieli gdzieś brzytwę mojego krytycznego rozumu, podobnie jak subtelne balansowanie pomiędzy uprzedmiotowieniem bohaterki a podmiotowością narracji. Byłam samotna. Nie chciałam na nich patrzeć. Musiałam wprawdzie trzymać głowę wysoko, ale możliwie nisko opuściłam powieki. Pod plaketką z napisem OPIESZAŁOŚĆ/ODZYWAŁA SIĘ NIEPROSZONA widziałam cholerne dzwoneczki, połyskujące w świetle jarzeniówek i coraz mniej wyraźne. Z całych sił starałam się nie rozplakać.

Kątem oka dostrzegłam, że do stołówki wpuszczono kilku kolejnych niewolników. Ale nie musiałam patrzeć, żeby wiedzieć, kiedy wszedł Rozmyślnie Nieposłuszny – powiedział mi to podekscytowany pomruk tłumu, żarty, gwizdy i pociski, które zaczęły lecieć w jego kierunku, zanim wszedł na podest. Wyraźnie było widać, że jest gwoździem programu, prawdziwą wisienką na torcie.

Zapomniałam o wszystkich swoich lękach i leciutko uniosłam powieki, żeby obserwować rozwój sytuacji.

Popchnięto go do tyłu i nadziano na dildo, a strażnik wykorzystał swoje pięć minut, policzkując go kilkakrotnie i pociągając za dzwoneczki na jego sutkach (zauważyłam, że miał też jeden przyczepiony do moszny). Tłumowi najwyraźniej spodobał się ten mały pokaz władzy, ale wszyscy chyba woleli, żeby chłopak wykazał się mniejszym opanowaniem (z przerażeniem poczułam, że w głębi ducha chcę tego co oni). Ale skoro nawet mnie udawało się wciąż zachować nad sobą kontrolę, powściągliwość Rozmyślnego pewnie nie zaskoczyła widzów zanadto. Zresztą wieczór był jeszcze młody.

Tymczasem ludzie w jadalni zaczęli się ze sobą kłócić. Oczywiście było dla mnie, tak samo zresztą jak i dla nich, że nie wszystkim pięćdziesięciu zgromadzonym tu osobom uda się dziś pożreć wisienkę. Część będzie się musiała zadowolić resztą tortu. Nie mogłam rozstrzygnąć, czy była to dla mnie dobra, czy też zła nowina.

Z perspektywy czasu z podziwem patrzę na to, jak zgrabnie sobie poradzili – z humorem, sprawnie i sprawiedliwie. Oczywiście był to jeden z tych krajów, gdzie każdy ma ponad miesiąc płatnego urlopu, dożywotnią opiekę medyczną i gdzie nawet monitora przy komputerze nie można zmienić, jeśli związek zawodowy nie orzeknie, że nie będzie to miało szkodliwych konsekwencji dla zdrowia.

Dodajcie do tego świadczenia pracownicze takie jak to, w którym brałam udział – takie jak to, którym byłam – a zrozumiecie, skąd to ich przyzwoite i ludzkie zachowanie. Wobec siebie, rzecz jasna.

Tak więc, o ile zdołałam się zorientować, zasady, które wymyślili na poczekaniu, były takie: Rozmyślnie Nieposłuszny miał zostać wypieprzony z obu stron przez dwie dziesięcioosobowe drużyny (oczywiście męskie – widziałam, że kobietom to się nie podoba, jak widać jednak biologia bywa przeznaczeniem, nawet pod rządami socjaldemokracji): jedna ustawiła się przy ustach, druga przy dupie chłopaka. Wygrać miała ta, której dłużej zajmie dojście. Zakłady zostały przyjęte, choć nie mogłam dociec, co miało być nagrodą. Zegnano nas z podwyższenia i zaciągnięto na środek, tak żeby każdy mógł widzieć, co się dzieje. Drużyna Dupy pochwyciła puszkę tłuszczu, którą ktoś przyniósł z kuchni.

Reszta z nas miała do odegrania role epizodyczne. Do obroży przyczepiono nam smycze, żeby tłum miał nas za co ciągać, i rozmieszczono w różnych częściach sali.

Byliśmy po prostu popcornem dla tych, którzy przyglądali się widowisku. Właściwie to nawet mi ulżyło, choć gdzieś w głębi czułam się też odrobinę dotknięta. I bądź tu, człowieku, mądry.

W każdym razie pchnięto mnie na wyłożoną linoleum podłogę i moja smycz trafiła w ręce potężnej kobiety, która siedziała nieopodal podestu. Uniosła spódnicę i przyciągnęła moją głowę do krocza.

Zaczęłam ją lizać i ssać, czując drgania ogromnego brzuszyska i ud. Spod jej spódnic słyszałam okrzyki i wybuchy śmiechu.

Po chwili kobieta szarpnęła smycz i mocno strzeliła mnie w pośladek, ja zaś odpełzłam i trafiłam w następne ręce, tym razem męskie. Mężczyzna odwrócił mnie tyłem, pochylił się i zaczął pieprzyć mnie w dupę. Cieszyłam się, że przynajmniej mogę zobaczyć, co się dzieje na podwyższeniu.

Wyglądało to tak, jak się spodziewałam. Rozmyślny klęczał, opierając się na rękach, i ssał kutasa jakiegoś wielkiego gościa, podczas gdy ten, ubrany jak kucharz, trzymał go za kucyk, żeby kontrolować ruchy jego głowy. Trudno było coś zobaczyć, ale miałam wrażenie, że Rozmyślny nie jest tylko biernym posiadaczem ust, którymi ktoś manewruje, lecz wykazuje pewną aktywność.

Tymczasem facet od strony tyłka, jakiś elektryk albo ktoś w tym rodzaju, akurat doszedł wśród wiwatów publiczności i chwając się na nogach, odsunął na bok, podczas gdy jego zastępca radośnie

zaczął wwierać się w Rozmyślnego, wzbudzając jeszcze głośniejsze wiwaty i okrzyki zachęty.

To podziałało na gościa, który wwierał się we mnie. Usłyszałam, jak krzyczę z bólu, za co zostałam nagrodzona chlaśnięciem w pierś. W końcu jednak facet doszedł, opadł na krzesło i wręczył smycz następnej osobie, która przerzuciła mnie sobie przez kolana i zaczęła wymierzać klapsy (tłum zaczął rytmicznie klaskać, akompaniując orgazmowi kolejnego faceta, który dochodził w ustach Rozmyślnego). I tak to szło: podążałam po prostu za szarpnięciami smyczy, poddając się, kiedy czyjeś ręce pchały mnie albo unosiły, oddychając tak spokojnie, jak się dało, i próbując pozostać otwarta wszędzie tam, gdzie było to potrzebne.

Kolana bolały mnie od posuwania się po kleistej podłodze, twarz miałam lepka od spermy i łez, a cała reszta ciała kleiła się od potu i brudu.

Znajdowałam się akurat pod spódnicą jakiejś kobiety, kiedy konkurs nareszcie dobiegł końca i wśród tłumu zerwały się oklaski. Wiwatom towarzyszyły oczywiście jęki i gwizdy przegranych. Nie mogłam zobaczyć, kto wygrał.

Nie żeby mnie to obchodziło. Kobieta stanowczym gestem przytrzymała moją głowę, dając znak, że mam dokończyć dzieła. Pracowałam więc wytrwale, dopóki nie usłyszałam jej jęków i dopóki nie wypuściła smyczy z rąk. Smycz podniósł strażnik, który postawił mnie na nogi. Zobaczyłam, że Rozmyślnego też pociągnięto do góry. Zrozumiałam, że musiał upaść z wyczerpania. Tłum wrzaskiem dał wyraz swojemu niezadowoleniu, po czym wybuchnął śmiechem, widząc, że pod chłopakiem uginają się kolana. Dwóch dryblasów postawiło go na nogi, a potem przeciągnęło po jadalni, żeby każdy mógł przynajmniej uszczypnąć go albo szturchnąć.

Rozmyślny jednak nie płakał. Z tego, co widziałam, wykazywał zainteresowanie otoczeniem. Oczy miał wprawdzie zaczerwienione i był wyczerpany, ale wciąż sprawiał wrażenie zdumiewająco czujnego.

Wreszcie impreza dobiegła końca. A gdy strażnik złapał mnie za ramię i odwrócił w stronę wyjścia, znów zauważyłam mężczyznę w czarnych okularach. Stał pod ścianą z założonymi rękami i wyglądał tak, jakby wszystko uważnie obserwował. A w każdym razie jakby obserwował mnie.

Może to szef ochrony albo ktoś w tym rodzaju, pomyślałam obojętnie, szykując się na powrót do pokoju. Wychodząc ze stołówki, słyszałam za sobą krzyki i czyjś rechot – wciąż znęcali się nad tym pięknym roslym chłopcem. I nigdy nie dowiedziałam się, co trzeba zrobić, żeby w takim miejscu uznano człowieka za ROZMYŚLNIE NIEPOŚLUSZNEGO.

Kolejne dni upływały mi w dużo spokojniejszej atmosferze. Mnóstwo czasu spędzałam w Ogrodzie – byłam lwem w zoo, bajecznie ustrojonym pawiem na karuzeli, posągami przy fontannie, a kilka razy także kelnerką w kawiarni – i nabrałam dużej wprawy w szybkim reagowaniu na rozkazujące kiwnięcia głową, pstryknięcia palcami czy wzgardliwe „ty tam”. Rzucałam wszystko, wdzięcznie przyklekałam, byłam bardzo uważna i otwarta i całkowicie poddawałam się badawczym palcom, twardym kutasom, klapsom i uszczypnięciom, a także komentarzom na mój temat, którymi dzielono się z towarzyszami lub innymi nabywcami.

Nieco łatwiejszym zadaniem było czekanie w pokoju na każdego, kto się zjawi.

Czasami byli to nabywcy, kiedy indziej pracownicy ośrodka. Ci ostatni chcieli mnie po prostu wypieprzyć. A ponieważ przed aukcją nie mogli zostawić mi śladów na skórze (a mój tyłek na szczęście dochodził do siebie), istniały granice bólu, który mogli zadawać. Dlatego mnóstwo było policzków i klapsów, mnóstwo strzelania pejcem, ale nic, co by bardzo bolało – pejcz był raczej dla efektu niż po to, żeby wyrządzić mi krzywdę. Nabywcy zachowywali się podobnie. Myślę, że mogła to być zasługa białego pokoiku z metalowym łóżkiem, scenerii, która przypominała tyleż pokój w burdelu, co klasztorną celę. Jak na ironię podniecało to ludzi głównie do prostego pieprzenia.

Czas upływał pocieszająco monotennie, rządziła nieustanna terażniejszość. Nigdy nie widziałam zegara, nie miałam pojęcia, która jest godzina. Wiedziałam tylko, gdzie powinnam być i co mam robić w danej chwili.

Zmuszałam się, żeby kontrolować upływ czasu, jaki pozostał do aukcji; jakaś część mnie miała wrażenie, że jestem tu od zawsze. Wciąż jednak bardzo starałam się być posłuszna, przyjmować odpowiednią pozycję, poddawać się, cokolwiek kazali mi robić.

Nieustannie rozbrzmiewało mi w głowie to, co powiedziała Margot: „system jest twoim panem”. Myślałam nieraz o niej i zastanawiałam się, czy ją jeszcze zobaczę.

Aż wieczorem piątego dnia mojego pobytu w ośrodku, w przeddzień aukcji, zupełnie zamęcili mi w głowie.

Bransoletka zaprowadziła mnie z siłowni z powrotem do pokoju i tam na łóżku leżała sukienka. Moja własna, z szarozielonej wełny – prawdę mówiąc, po prostu długi, miękki, rozpinany sweter. Jedną z tych, które kupił mi Jonathan, żebyśmy miała w czym się stawić przed komisją. A raczej przebyć drogę z hotelu

do jej siedziby. Były tam też moje buty, stały obok łóżka. Oraz pończochy, pas i śliczna bielizna marki Victoria's Street. Wszystko w kolorze głębokiej, przydymionej szarości.

Nigdy w życiu nie widziałam nic podobnego – zanim poznałam Jonathana, moja bielizna ograniczała się do typowych bawełnianych trzypaków i okazyjnego szaleństwa, jeśli się zdarzyła wyprzedaż Jockey (a za czasów Jonathana, rzecz jasna, nie nosiłam żadnej bielizny). Zwrócili mi nawet zegarek.

Czyżby chcieli mnie stąd wyrzucić? Z tego, co mi było wiadomo, nie zrobiłam nic złego.

Naprawdę spanikowałam. Podeszłam do łóżka i znalazłam niepodpisany liścik: Zdej mij ob ro żę. Weź prysznic, ubierz się i uma luj. Ar gos po wie ci, do kąd iść.

Nigdy sama nie zdejmowałam obroży. Ręce mi się trzęsły. To nic, łatwizna, zwykle sprzączki.

Tylko że pewnie właśnie mnie stąd wyrzucają. Weszłam do niewielkiej łazienki i wzięłam długi prysznic, robiąc samodzielnie wszystko to, co ludzie zwykle robią pod prysznicem. Miałam wrażenie, jakbym się przedzierała przez opary niepamięci. Przy makijażu czułam się jak niezdara, choć kiedy skończyłam, wyglądałam chyba całkiem dobrze.

Byłam otepiała, dezorientowana i czułam się oszukana. Tak się starałam. Tyle czasu. Czego ode mnie chcieli? Czego im nie dałam? Doszłam do wniosku, że pewnie chodziło o tę wymianę spojrzeń z Rozmyślnie Nieposłusznym.

Krażyłam po pokoju jak błędna owca w oczekiwaniu na impuls bransoletki. Kiedy się wreszcie odezwała, pospieszyłam do Argosa, przyjrzałam się schematycznej mapie i wyszłam. Tym razem miałam do pokonania skomplikowaną trasę pełną krętych korytarzy. Raz nawet zabłądziłam i musiałam sprawdzić drogę przed innym okiem Argosa.

Margot miała rację – tutaj nie można się było zgubić. Ostatni zestaw instrukcji kazał mi iść na górę schodami bardzo przemyślnie pokazanymi na wykresie. Czułam się, jakbym grała w jedną z pierwszych gier komputerowych, Adventure czy coś w tym rodzaju. Mogłoby mi się to nawet spodobać, gdybym tylko nie była tak spanikowana, że właśnie mnie stąd wyrzucają.

W ostatnim korytarzu znajdowały się biura, wisiała nawet tablica z jakimiś technicznymi informacjami i instrukcjami. Bardzo ładna kobieta w dzinsach i koszulce z napisem Oracle spojrzała na mnie z zaciekawieniem, kiedy przechodziłam obok, postukując obcasami. To musi być to miejsce, pomyślałam i ruszyłam w stronę oka zamontowanego w połowie korytarza, tuż obok otwartych drzwi do jakiegoś gabinetu.

Machnęłam bransoletką i bynajmniej nie zaskoczył mnie dobiegający ze środka głos Margot.

Byłam podniecona i przerażona zarazem.

– Wejdz – powiedziała szorstko, a kiedy weszłam, ledwie podniosła wzrok znad komputera. – Chwileczkę – dodała chłodnym, nieobecnym głosem. – Usiądź.

Typowe, pomyślałam. Jak zwykle poleciałam na kogoś w typie kompulsywnym. Mimo przerażenia wkurzyłam się trochę i poczułam odrzucona – nic nie mogłam na to poradzić. Usiadłam na drewnianym krześle i zaczęłam się rozglądać po tym klasztornym gabinecie. Kilka różnych komputerów, drukarka i jakieś inne urządzenia, których funkcji nie potrafiłam rozpoznać. Starannie poskładane w kupki papiery i wydruki, kopie opracowań i mnóstwo instrukcji obsługi. I zaledwie parę innych książek – Foucault, Fourier, tom z dziełami zebranymi Sade'a, zawierający Justynę i Filozofię w buduarze. W maleńkiej wnęce z boku stała zdezelowana skórzana kanapa z pledem schludnie przewieszonym przez oparcie. W oknie nie było zasłon, dlatego mogłam dostrzec łagodne nocne niebo z kilkoma gwiazdami i światła miasta w oddali.

– Tak – sapnęła triumfalnie Margot.

Stuknęła w klawisz, który uruchomił wygaszacz ekranu ze skomplikowanym geometrycznym wzorem, i spojrzała na mnie przez ramię, rozwalając się w fotelu. Zupełnie zapomniałam o strachu i złości. Margot miała na sobie swoje skórzane spodnie, czarną jedwabną koszulę, a w uszach duże srebrne koła. I uśmiechała się do mnie szelmowsko, radośnie, budząc tym moje absolutne zmieszanie, zakłopotanie i dzikie, nieme pragnienie.

– Naprawdę podoba mi się ta sukienka – powiedziała. – Twój chłopak ma niezły gust. Ale – ciągnęła, wstając i podchodząc do mnie – zupełnie nie potrzebujesz tej bransoletki.

Odpięła ją i pocałowała mnie w nadgarstek. Zalała mnie fala doznań silniejszych niż jakikolwiek wcześniejszy wstrząs elektryczny. Ale to przecież musi znaczyć, że mnie wyrzucają, pomyślałam. Nie ma obroży, nie ma bransoletki.

Margot wybuchnęła śmiechem.

– Nie martw się, nie wyrzucamy cię. Nie potrzebujesz bransoletki, w końcu jesteś ze mną. Ale mogę kazać ci z powrotem klęczeć nago na podłodze, jeśli chcesz. Tylko że zgodnie ze standardową procedurą ostatnią kolację tutaj możesz zjeść jako wolny człowiek. O ile jesteś w stanie to znieść. To twoja ostatnia

szansa, żeby zmienić zdanie.

Hej, rozchmurz się. Nie będzie żadnego tofu.

W drzwiach pojawiła się pokojówka, pchając przed sobą hotelowy stolik na kółkach przykryty białym obrusem.

Na talerzach pod ogromnymi kopulastymi pokrywkami jechała do mnie kolacja. Nie ruszyłam się z miejsca, pokojówka zaś zatrzymała stolik przede mną. Margot wzięła swoje krzesło i usiadła na wprost mnie.

Stolik był nakryty dla dwóch osób. Pokojówka zdjęła pokrywki. To była prawda.

Żadnego tofu.

Zamiast tego wszystko, co uwielbiałam. Paszтет na przystawkę. A potem łosoś. Duszone pory. Grzyby shi take. Przepyszne chrupiące pieczywo. Taką kolację, pomyślałam, zamówiłby Jonathan dla swojej dziewczyny. Margot otworzyła wino.

– Nie dziwi mnie, że wiesz, co lubię – powiedziałam, wbijając widelec w jedzenie.

Wciąż byłam zdezorientowana, potrawy jednak wysyłały czytelne sygnały. – Ale przecież wszyscy nie mogą tu dziś przyjść na kolację.

– Reszta je w swoich pokojach – odparła Margot. – A ja mam tyle roboty z przygotowaniem wszystkiego na jutro, że postanowiłam ściągnąć ciebie tutaj. Nie martw się. Mamy dość personelu, żeby zajął się wszystkimi. Ja po prostu zmieniałam parametry i w odpowiednie okienko wprowadziłam siebie.

Nagle zawstydzona upiłam łyk wina. To było tak, jakbyśmy byli na prawdziwej randce.

Margot pochyliła się nad stolikiem i bardzo delikatnie pocałowała mnie w czoło. Rozpięta jedwabna koszula odsłaniała jej piersi. Margot była naprawdę bardzo piękna, choć w pierwszej chwili człowiek nie ogarniał całości. Najpierw dostrzegało się jej energię, zdumiewające opanowanie, błysk obojczyków, cienie poniżej kości policzkowych. I zawsze szczerze, pomyślałam, władcze i ogromnie wymowne ręce.

Poczułam w cipie ukłucie, które klóciło się z moją absurdalną radością i przepysznym jedzeniem.

Otworzyłam szeroko usta, szybko je jednak zamknęłam i zaczęłam przeżuwać. Byłam tak skołowana, że nie wiedziałam, co mam czuć. Margot powiedziała, że będą mnie dziś traktować jak wolnego człowieka. Uznałam zatem, że mogę mówić, co chcę, i nie przejmować się, że zabiorą mi deser.

Tylko co takiego miałabym powiedzieć. Jedyna kwestia, jaka mi przychodziła do głowy, brzmiała: „Często tu bywasz?”

– Kiedy miałabym powiedzieć, czy zmieniałam zdanie? – spytałam. – Nie żebym zamierzała je zmieniać. Ale gdybym już teraz odpowiedziała, to musiałabym się natychmiast rozebrać?

– W zasadzie – odparła Margot – mamy zjeść razem miłą kolację i dopiero potem zadam ci to pytanie. Ty powiesz: nie, nie zmieniałam zdania, a ja każę ci to powtórzyć w bardzo formalny sposób, zbyt tandetny, żeby przerabiać to już teraz. Potem zawołam pokojówkę i usiądę wygodnie, żeby patrzeć, jak cię rozbiera i zakłada ci z powrotem obrozę, obrączki i całą resztę. Twoje ostatnie wielkie upokorzenie, zgodnie z planem, który prawdę mówiąc, niezbyt mi się podoba. To pozostałość z czasów, kiedy nie zajmowałam się tu jeszcze organizacją. Mam nadzieję, że za jakiś czas uda mi się wymyślić coś lepszego. I co, w porządku? Myślisz, że możesz się już rozluźnić?

– Tak – powiedziałam. – Myślę, że mogę. Strasznie mi to namąciło w głowie. Ale chyba mi się podoba. Jedzenie jest fantastyczne i bardzo się cieszę, że ty tu jesteś. Boże, okropnie to zabrzmiało, przepraszam. Nie chciałam mówić tego w takiej kolejności.

Zresztą wiesz, o co mi chodzi. W każdym razie, jeśli naprawdę jestem teraz wolnym człowiekiem, to chciałabym się dowiedzieć, jak tutaj trafiłaś. Bo jak ja się tu dostałam, to wiesz.

Roześmiała się. Miała cudowne usta.

– Rozumiem – powiedziała. – Wszystkie te zdrowe posiłki, które tu dostajecie, to jedna z form poniżenia. A ja trałam tutaj – ciągnęła – w taki sam sposób jak ty. Przynajmniej na początku.

Zostałam sprzedana na aukcji i spędziłam rok jako niewolnica. Prawda jest jednak taka, że nie byłam w tym dobra. Nie żebym się miała czego wstydić. Właściwie było całkiem niezłe i zostały mi miłe wspomnienia. Ale wiedziałam, że nie chcę tego ciągnąć w taki sposób, i nie miałam pojęcia, co robić dalej. Jakieś trzy tygodnie przed końcem służby mój pan wezwał mnie do swojego gabinetu.

Nigdy wcześniej tam nie byłam. To był mały, zagracony pokój pełen komputerów, wszelkiej maści sprzętu i rozbebeszonych, pozbawionych obudowy urządzeń. Nigdy niczego podobnego nie widziałam, wodziłam więc wzrokiem po wszystkich płytach i kablach. Klęczałam przed nim, a on ni z tego, ni z owego walnął mnie tak mocno, że aż mnie przewrócił.

„Nie uważasz, Margot” – powiedział. „Tej nocy czeka cię solidne lanie”.

„Tak, panie” – odparłam żałośnie. „Dziękuję, że zechciał mi pan zwrócić uwagę”.

„Ale na razie zamierzam cię tu zostawić samą na całe popołudnie. Masz sprzęt, a na półce instrukcje

obsługi.

Zobaczmy, ile uda ci dokonać”.

No cóż, to dość banalna historia – powiedziała Margot. – Postaram się ją możliwie skrócić.

Oczywiście miałam do tego talent, tak jak podejrzewał. Był prawdziwym potentatem w branży komputerowej, o czym nie miałam pojęcia.

Wiedziałaś tylko, że jest bogaty. Tamtej nocy rzeczywiście mnie oćwiczył, ale potem przed czasem zakończył moją służbę, wręczył parę dzinsów, T-shirt i zatrudnił jako praktykantkę.

– Kolejna spełniona fantazja – roześmiałam się. – Ale wróciłaś tu. Jak to się stało?

– A to już ciekawsza część historii – odparła. – W tym miejscu pojawia się twoja przyjaciółka Kate Clarke.

– Moja przyjaciółka?

Byłam tak zaskoczona, że omal nie rozlałam kawy.

Zakończenie kolacji było doprawdy spektakularne: kawa, brandy, owoce, sery i crème brûlée.

– Rozumiem, że nie twoja. Cóż, przyjaciółka twojego przyjaciela. Podejrzewam zatem, że nic nie wiesz też o liściku od niej, który masz w aktach.

Były nawet wykwintne papierosy marki Players. Zapaliła nam po jednym.

– Wiesz, nie jest to żaden entuzjastyczny list polecający. Ale też Kate nigdy nie daje entuzjastycznych rekomendacji. I tak jak się mogłam spodziewać, opisała cię bardzo trafnie.

Napisała, że masz ogromny potencjał i przeszedłś dość nierówne przeszkolenie, dlatego każdy, kto zechce cię wziąć, będzie musiał sprostać obowiązkom, jakie niesie ze sobą ta kombinacja. Ale już sam fakt, że dostaliśmy taki list, zwrócił na ciebie uwagę.

Osobliwe, pomyślałam. Każdy, kto by przeczytał ten list i znał Jonathana i Kate – a z całą pewnością byli tu tacy – wiedziałby, że nie chodziło w nim tylko o mnie. Ciekawe, dlaczego Kate tak to wszystko upubliczniła, dlaczego pozwoliła, żeby zmagania jej profesjonalizmu z jego amatorszczyzną, być może istota ich dziwacznej, frustrującej, trwającej całe życie relacji, stały się powszechnie znane.

Oj, daj spokój, Carrie, pomyślałam. Skoro mowa o wystawianiu różnych rzeczy na widok publiczny, może przydałoby się zadać kilka pytań samej sobie. Mimo to dziwnie się czułam, wiedząc, jak należy rozumieć ten list, gdy tymczasem Margot, tak doskonale panująca nad wszystkim, nie miała pojęcia.

Znowu zaczęłam słuchać jej uważnie.

– No cóż, mój były pan znał Kate. Byłam jego pierwszą niewolnicą i czuł się strasznie rozgoryczony faktem, że tak bardzo starał się wybrać kogoś ze względu na jego ciało, a w rezultacie trafił na programistkę. Jest geniuszem, jeśli chodzi o wynajdywanie odpowiednich ludzi, naprawdę jest z tego znany, ale, do cholery, przecież nie chce tego robić non stop. Dlatego po zakończeniu mojej służby nie brał już więcej udziału w aukcjach. Zaczął jeździć do Kate do Napy i kilka razy zabrał mnie tam ze sobą. Ty tam pewnie nie byłaś?

– Nie, tylko słyszałam o tym miejscu.

– Na pewno jeszcze tam tra sz, hm, w takim czy innym charakterze. Tam jest... przepysznie. To jedyne określenie, które przychodzi mi do głowy. Erotyczny raj dla podniebienia. Cieszę się, że mój były właściciel mnie tam zabrał, samej pewnie nie byłoby mnie na to stać. Ale co to był za wspaniały prezent. Bo jeśli chodzi o seks, czułam, że zabrnęłam w ślepy zaułek. Bardzo dobrze wiedziałam, co lubię, ale nie miałam ani dość czasu, ani energii, żeby o to zabiegać. I to właśnie jest takie cudowne w Kate. Jeśli dokładnie wiesz, czego chcesz, ona jest ci w stanie to zapewnić. No i można ją przy tym lepiej poznać. A raczej to ona poznaje ciebie. Któregoś dnia obie zaczęłyśmy biadolić nad całą tą staromodną otoczką, przy której wciąż obstaje sadomasochizm.

„Rozumiem – powiedziała – że oprawa z epoki jest atrakcyjna. Z tym nie mam problemu. Ale to nie mogą być jedyne dekoracje, w jakich manifestuje się władza. Przecież w realnym świecie władza utwierdza się w swoim panowaniu na każdy możliwy sposób”.

Zacząłyśmy rozmawiać o komputerach i kontroli. Ten temat ją zafascynował. I tak od słowa do słowa znalazłam się tutaj. To Kate załatwiła mi tę pracę. Ona zna w tym światku wszystkich. I bardzo mi się tu podoba. Lubię projektować środowisko, które nadaje kształt władzy. Domyśliłaś się, że to ja, prawda?

– Tak, domyśliłam – przytaknęłam. – Ale teraz, jak o tym myślę, to zaczynam się dziwić. Nie powinnaś przypadkiem zajmować się czymś takim jak wirtualna rzeczywistość? Albo, no wiesz, akcesoriami do, matko, jak to się nazywa, cyberseksu?

– Och, proszę – odparła. – Kaski i kombinezony z kablami w kroku? A co, ciebie to podnieca?

Przecież wiem, że nie. Mnie, i ciebie zresztą też, kręci władza, represyjna władza.

Przymus, sterowanie. To, że mogę ci kazać coś zrobić, dokądś pójść, zmusić, żebyś była taka, jak chcę. Ciebie, twoje ciało, twoją pra nę. A to, co lubię najbardziej, to, co zawsze mnie fascynowało, to twoje

starania i zabiegi. To cudowne, że zjawiłaś się tutaj sama, z własnej woli, że oddałaś się w moje ręce, że bycie przedmiotem to dla twojej woli i rozumu prawdziwy wyrok i duży wysiłek.

Zresztą nie chodzi tylko o relację indywidualną, między tobą a mną, ale o was wszystkich, o wszystkich niewolników, o personel i nabywców. Ktoś sprawuje władzę, wiadomo, ale relacje władzy trzeba jeszcze umieć odegrać. Ja nadaję im kształt, a ty w swoich działaniach i pragnieniach je reprodukujesz. To właśnie z tego powodu komputery mają taką erotyczną moc. Nie chodzi przecież tylko o wyra nowane narzędzia do tworzenia modelu rzeczywistości. Chodzi o to, że wyznaczają niewidzialne, a zarazem nieubłagane ścieżki władzy i przepływy energii równie solidnie jak razy Paula, które poznały twój śliczny tyłeczek.

– Rozumiem – powiedziałam. – Chyba nawet się z tobą zgadzam. Ale być może to dzieło nosi nieco większy rys indywidualizmu, niż ci się wydaje. Przecież od razu zorientowałam się, że to twoja ręka, twój umysł stoi za tym systemem. Kiedy Karl, ten prymityw, rznął mnie w dupę, tylko jedno pozwalało mi to znieść. To, że wciąż powtarzałam sobie w myślach: „To Margot, Margot stworzyła dla mnie ten ból i poniżenie”.

Margot milczała przez chwilę.

– O matko, nie to było moim celem. A w każdym razie tak mi się wydaje. I na pewno nie za to mi tutaj płacą. Ale cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Czulaś go w swojej dupie i myślałaś o mnie?

Pokiwałam głową i zapatrzyłam się w przestrzeń. Każda z nas trzymała się swojego końca stołu, jakby to był stolik do wywoływania duchów, który może udzielić nam odpowiedzi na wszystkie dręczące pytania. Margot pierwsza odzyskała zimną krew.

– W każdym razie to dobra posada, a jeśli chodzi o seks, sprawdza się jak nic innego, zważywszy na fakt, że często pracuję po dwadzieścia godzin na dobę. Mimo to. . – Patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę. – Mam swoje fantazje.

– Na przykład? – spytałam.

– Och, na przykład że gdybym miała jakieś dodatkowe sto tysięcy, to może bym cię jutro kupiła – zaczęła.

Mój oddech zrobił się płytszy.

– Zabrałabym cię do domu – kontynuowała – i biła tygodniami, codziennie coraz mocniej. Biłabym, a potem pieprzyła, a potem ty byś mi robiła dobrze ustami. I czekałabyś na to. Na kolanach, zupełnie sama, uwiązana na łańcuchu do zagłówka. Czekałabyś na dźwięk moich kroków. Biłabym cię długim pejcem z plecionką, który wisiałby na ścianie w sypialni. Cała drżąca wpatrywałabyś się w niego godzinami. A czasami zatracałabyś się całkowicie, zatracałabyś poczucie czasu i miejsca, myśląc o mnie. Wiesz, jaki mam napięty grafik. Pracuję bez przerwy, a gdy już absolutnie muszę, ucinam sobie drzemkę na tej kanapie. Mogłabym wrócić w każdej chwili.

Strzygłabyś uszami i robiła się cała wilgotna z podniecenia, myśląc, że słyszysz moje kroki. A to byłby tylko służący z jedzeniem. Czasami byłabym zbyt zajęta, żeby w ogóle wracać do domu, i wtedy posyłałabym służącego, żeby cię bił. Umiesz już powściągnąć rozczarowanie i wiesz, że musiałabyś mu okazywać posłuszeństwo. A kiedy wracałabym do domu, kazałabym ci błagać o wszystko, nawet o bicie. Musiałabyś mnie wymownie przekonywać, dlaczego powinnam się zdobyć na ten wysiłek, dlaczego tego potrzebujesz i ile ci to daje. Jesteś bardzo elokwentna, być może nawet za bardzo, więc kazałabym ci zrobić z tej twojej werbalnej inwencji dobry użytek.

Chwyciłam za krawędź krzesła. Od wielu dni nie piłam kawy ani alkoholu i prawie nigdy nie paliłam. Dlatego wszystkie te legalne używki sprawiły, że kręciło mi się w głowie, a moja cipa przypominała istny wulkan. Margot wstała, odsunęła stolik i spojrzała na mnie z góry.

– Rozbierz się, Carrie – powiedziała.

– Myślałam – wyjąkałam, rozpinając guziki – że macie tu ten, no, rytuał...

– Zamknij się – warknęła. – Chyba że chcesz znowu dostać baty.

Wstałam i po kolei zdjęłam z siebie wszystko. Zwolniłam przy bieliźnie. To ona ją dla mnie wybrała, pomyślałam, więc może chciałaby trochę popatrzeć. I rzeczywiście leciutko się uśmiechnęła. Zaraz jednak przyspieszyła znowu.

Nie ma co przeciągać struny.

– Uklęknij przed kanapą – rozkazała, kiedy byłam już naga. – Tyłem do kanapy, przodem do mnie.

I możesz na mnie patrzeć.

– Tak, pani – odparłam bez zastanowienia. – Dziękuję ci, pani.

– Grzeczna dziewczynka – powiedziała i zdjęła koszulę.

Miała małe, okrągłe piersi z bardzo ciemnymi brodawkami. Pięknie wyglądały na tle szerokich ramion. Podeszła do biurka i wzięła szarą kopertę.



– Chcę, żebyś zobaczyła, jak wyszły twoje zdjęcia. – Wręczyła mi dwie odbitki. A potem usiadła za mną okrakiem na kanapie, z rękami na moich piersiach. Jej piersi dotykały moich ramion. – Podobają ci się? – spytała z ustami przy moim uchu. – Mów prawdę, niewolnico.

Uznałam, że lepiej będzie jej posłuchać.

– Nie, pani.

Ścisnęła mnie boleśnie za piersi.

– A dlaczego?

Zdjęcia zostały zrobione niezwykle starannie, wyglądały na dokumentalne. Margot miała rację, Paul odwalił kawał dobrej roboty. Ostre światło, ogólny efekt szczerości. Coś takiego było w śladach na mojej pupie, w cieniach pod oczami, w bladości skóry... To zdjęcie mówiło, że nikomu nie schlebia, co samo w sobie było formą pochlebstwa. A skoro nie chodziło o to, żeby schlebiać gustom oglądających, to z pewnością celem było zaproszenie ich, żeby wzięli w tym udział, choćby w wyobraźni.

„Proszę – zdawały się mówić zdjęcia – jest dla ciebie. Jeśli tylko masz ochotę.

Przyjmie od ciebie wszystko, co zechcesz jej dać: pieśczętę, pchnięcie ręką albo kutasem, bicie. To zależy tylko od ciebie. Zainteresowany?”

Przerażało mnie, w jaki sposób pozowałam do tych fotogra i. Na zdjęciu od frontu wypychałam lekko kość łonową, jakbym oferowała gościom coś do jedzenia. Sprawiałam wrażenie zaszokowanej i oburzonej, ale mimo to taką właśnie pozę przybrałam. Nawet na zdjęciu od tyłu, które zrobili, kiedy wciąż jeszcze łkałam i piekło mnie po biciu, trzymałam się dzielnie. Zaskakująco pewnie stałam na nogach. Pamiętałam, że zwisałam powieszona za nadgarstki, tymczasem w rzeczywistości moja poza była dużo bardziej prowokacyjna. Nie mogłam zaprzeczyć; zupełnie nieświadomie zrobiłam to, czego chcieli ode mnie Paul i Margot. Obnosiłam się ze śladami bicia.

Wystawiałam na widok publiczny. Wyglądałam, jakbym była dumna z tego, że potrafię znosić ból.

Obnosiłam się przed każdym, przed obcymi, którzy mogli zrobić ze mną, co tylko chcieli; oferowałam się temu, kto da więcej.

– Dlaczego nie, niewolnico? – spytała Margot po raz kolejny, tym razem wykręcając mi sutki tak, że aż wciągnęłam gwałtownie powietrze.

– Bo są przerażające, pani – grałam na zwłokę. Wiedziałam, że chce usłyszeć więcej. – Wyglądam... wyglądam, jakbym chciała, żeby mnie zraniono – wymamrotałam.

– I? – nalegała.

– Wyglądam, jakby mógł mnie mieć każdy – odparłam ze smutkiem. – I jakbym była z tego dumna.

– To znakomite zdjęcia – stwierdziła Margot i kreśląc koła, przesunęła dłoń niżej, w stronę mojego brzucha. – Właśnie teraz w kilku drogich hotelach i apartamentach w mieście jakieś tuzin osób patrzy na nie i zastanawia się, czy chciałoby cię wypieprzyć, czy skrzywdzić i czy można by cię tak wytresować, żebyś była wszystkim, czego chcą.

Wyglądasz jak... młode wino. Beaujolais nouveau. Głęboka nuta wciąż jeszcze się rozwija, ale słodczy pieści język i porusza serce. Nie każdy ma na nie ochotę, ale to rozkosz jedyna w swoim rodzaju.

Jej dłoń dotarła do mojej waginy. Palce zaczęły powoli szukać sobie drogi. Miałam ochotę upuścić zdjęcia, ale bałam się. Patrzyłam więc na swoją podobiznę i czułam Margot. Dotarła do łechtaczki. Nie spieszyła się. Usłyszałam swój jęk. Upuściłam zdjęcia i oparłam się o jej obciążone skórą uda, nagie piersi. Czułam jej włosy, usta na mojej szyi.

I wtedy przestała.

Bez wysiłku przerzuciła nade mną nogę i wstała. Odwróciła się do mnie twarzą.

– Wychłostałabym cię, gdybym mogła – powiedziała. – Z rozkoszą patrzyłabym, jak płaczesz i drzysz. Ale nie mogę. Poradzimy sobie inaczej.

Podeszła do szuflady i wyciągnęła z niej kawałek czarnej skóry i coś jeszcze. Uprząż dla mnie?

Nie, dla siebie, zauważyłam jak przez mgłę, że przymocowuje sobie duże dildo. Gruby kawałek przezroczystego plastiku – wirtualny fal us, pomyślałam mimowolnie. Rozsunęła jakieś suwaki przy spodniach i czarna skóra odpadła, odsłaniając wkłęsły brzuch. Nogi wciąż jednak miała w nogawkach. A potem szybko założyła uprząż, podczas gdy ja patrzyłam na nią z podziwem. Jasna skóra na tle czarnej, błyszczący, przezroczysty, zagięty w górę członek, bezczelny uśmiech, skupione spojrzenie.

Kłęczałam przed kanapą. Wepchnęła mi dildo głęboko w usta, a potem wyciągnęła i porwała mnie do góry.

Położyła się na kanapie i pociągnęła mnie tak, żebym usiadła na niej okrakiem z dildem głęboko w cipie. Jęcząc, podnosiłam się i opuszczałam, jej palce zaś bawiły się moimi sutkami. Subtelnie poruszała biodrami. Ręce, które znalazły się teraz na moim tyłku, ścisnęły pośladki i poruszały się wraz ze mną. A ja podążałam z nią ślepo, widząc jej twarz przez gęstą mgłę rozkoszy. Twarde dildo zanurzało się

głęboko, moje jęki przybierały na sile, aż zamieniły się w krzyk orgazmu.

Nie dała mi zbyt wiele czasu na odpoczynek. Szybko zepchnęła mnie na dół i zmusiła, żebym przyjęła pozycję na czworakach. Zdjęła uprząż i popchnęła moją głowę w dół.

Lizałam ją, ssałam i kąsałam. Chciałam zrobić wszystko, czego mogłaby zapragnąć.

Chciałam usłyszeć, jak krzyczy. I udało mi się.

Zdjęła ręce z mojej głowy i pogładziła mnie po plecach i pośladkach. Leżałam z głową na jej kolanach.

Usłyszałam niski śmiech. Uniosła moją głowę i długo całowała mnie w usta.

Trzymałam ją mocno.

– Myślisz – wymruczałam – że cię jeszcze kiedyś zobaczę? Poza jutrem?

Kilka razy skubnęła mnie w szyję, zanim odpowiedziała.

– Hm, mam swoje kontakty. Nie korzystam z nich zbyt często, ale to chyba czyni je tym cenniejszymi.

Więc jeśli zdarzy się to, co myślę. . No cóż, może mnie jeszcze zobaczysz.

Ale tylko jeśli będziesz pracować tak ciężko, że prawie o mnie zapomnisz.

Popatrzyłam na nią błagalnie.

– Nie – powiedziała. – Nie powiem nic więcej.

Westchnęłam, choć oczywiście wcale nie byłam zaskoczona.

– Nigdy cię nie zapomnę – zapewniłam, całując ją w rękę.

– Nie zapomnisz kogo? – spytała surowo.

– Nie zapomnę cię, pani – odparłam potulnie, spuszczać wzrok.

Koniec sielanki.

Nie chciałam się ruszać, ale Margot wstała i zaczęła szukać koszuli. Zapięła ją byle jak i podeszła do biurka, żeby wziąć moją bransoletkę. Wciąż klęczałam przed kanapą z głową na ramieniu, ale kiedy ujrzałam ten rekwizyt, odwróciłam się, wyprostowałam i podniosłam rękę, biernie pozwalając zapiąć ją sobie na nadgarstku.

– Wstań – rozkazała Margot, a gdy to zrobiłam, zaprowadziła mnie do drzwi. – Jeśli zapomniałaś drogi do swojego pokoju, to Argos ci pomoże.

Oczywiście. I właśnie wtedy, gdy otworzyła drzwi, poczułam ukłucie bransoletki.

– Jutro rano będziesz strasznie zmęczona – powiedziała, wypychając mnie łagodnie na korytarz. – Wszyscy pozostali niewolnicy zjedli na kolację tofu, wzięli specjalną kąpiel i zrobiono im masaż.

Oczywiście poza tym zwariowanym chłopakiem z kucykiem, który pewnie wciąż jeszcze jest w kuchni i obsługuje wszystkie pracujące tam kobiety.

Parsknęła śmiechem i pocałowała mnie w czoło. Byłam zbyt zmęczona i zaspokojona, żeby czuć cokolwiek poza rozbawieniem.

– Śpij dobrze, Carrie – powiedziała i zamknęła drzwi.

A kiedy machnęłam ręką przed okiem Argosa, półprzytomnie próbując zrozumieć coś ze schematu, który pojawił się na monitorze, usłyszałam gwałtowny stukot klawiszy.

# Rozdział 7

## Co dalej?

Następnego dnia rano – o ile w ogóle można nazwać porankiem tę porę, kiedy obudziła mnie pokojówka – byłam już znacznie mniej radosna. Na dworze było ciemno, a ja czułam się koszmarne.

Pokojówka przygotowała mi kąpiel i zrobiła szybki masaż, co odrobinę pomogło.

Podejrzewam, że nadrabiała zaległości z poprzedniego wieczoru. Skrzywiłam się żałośnie, gdy przypomniałam sobie, jak chętnie kupiłam gadkę Margot. Ostatnia wieczerza. Jasne. Każdy dostaje to, co lubi. Carrie srocza dała łososia, a innym. ? Jednej dała na miseczkę, innej dała na łyżeczkę? Ale wspomnienia z nocy były całkiem rozkoszne i w sumie niewiele straciłam. Najwyżej trochę snu. Zresztą lepsze pospieszne przygotowania niż mnóstwo czasu na to, żeby w przerażeniu czekać, co przyniesie dzień.

I oczywiście gdy tylko pomyślałam o tym, że mogłabym czekać na to w przerażeniu, natychmiast zrozumiałam, że faktycznie jestem przerażona. Rzecz w tym, że czym innym było zostać poderwaną na jakimś przyjęciu przez Jonathana, który w istocie stanowił sumę moich wszystkich dotychczasowych zadrzeń, a czymś zupełnie innym poddać ciało i wolę – na rok – każdemu, kto tylko będzie miał kasę. To może być ktoś obrzydliwy. Albo tępy. Ktoś, kogo poza tym wcale nie będę lubiła.

Wybrałam dla siebie sytuację absolutnego braku wyboru. Tym zaś, co mnie najbardziej dziwiło, kiedy patrzyłam na sprawę w ten sposób, było to, że nie bałam się jeszcze bardziej, że wciąż tego chciałam i że aż tyle zakończeń nerwowych w moim ciele było pobudzonych, podnieconych i w stanie gotowości.

Bo tak właśnie było. Z zapałem wychłęptałam ryżowy kleik i poddałam się wszystkiemu, co pokojówka zechciała zrobić z moim ciałem. Umyła mnie, umalowała, przyczepiła plakietkę z numerem 14 z obu stron obroży, zakuła mi lewą kostkę w zimną, wąską, metalową obrączkę, po czym zostawiła mnie samą w pokoju.

Niedługo potem poczułam ukłucie w nadgarstku i wyszłam na korytarz. I po raz pierwszy nie podążałam samotnie swoją ścieżką przez ośrodek. Tym razem płynęliśmy falą – nadzy, kołysząc cyckami i kutasami, z numerkami dyndającymi przy obroży, ze strachem i determinacją na twarzy.

Cały pochód zmierzający dobrze już znaną trasą do Ogrodu.

Gdy dotarłam na miejsce, strażnik w galowym uniformie, z krótkofalówką w dłoni, zdjął mi bransoletkę, sprawdził numer i ustawił w błyskawicznie formującym się szeregu niewolników.

Wszystko działo się tak szybko i przebiegało tak sprawnie, że zupełnie nie miałam czasu myśleć. Gdy zbliżyłam się do drzwi, zauważyłam, że Ogród wypełnia tłum elegancko ubranych nabywców, a samo miejsce zostało cudownie przystrojone jasnymi jedwabnymi namiotami i chorągwiami w kolorach zaczerpniętych ze średniowiecznego brewiarza.

Pośrodku wzniesiono podium z cokółami po obu stronach. Stało już na nich kilkoro niewolników.

Strażnik przy drzwiach szepnął coś do ucha niewolnicy na początku kolejki – widziałam tylko piękne proste popielatoblond włosy sięgające pośladków i długie zgrabne nogi. Wtem rozległ się głos trąbki i strażnik z całej siły walnął dziewczynę w tyłek.

Wybiegła przed podium, gdzie stał inny strażnik, odwróciła się, ukłękła i pocałowała ziemię przed tłumem nabywców. Tymczasem prezenter na scenie wyczytał jej numer i podał stronę w katalogu, na której można było znaleźć więcej informacji. Strażnik przed podium złapał ją za nadgarstek i poprowadził na cokół.

W tym czasie następny niewolnik dostał w tyłek i wybiegł na środek z takim wdziękiem, z jakim mnie się chyba nigdy nie uda. A potem już była moja kolej.

Ledwie słyszałam instrukcje szeptane do ucha, ale wyglądało na to, że nie było w nich nic zaskakującego, nic, czego nie domyśliłabym się, patrząc. Po prostu nie mogłam, nie byłam w stanie – tam było tylu ludzi! Co za błąd.

Chciałam wymknąć się cichcem do pokoju, zastanowić się nad tym wszystkim później i... Raczej usłyszałam, niż poczułam, ostry dźwięk uderzenia w pośladek, a potem już biegłam, czując tylko gładkość zimnych płytek pod stopami i spojrzenie tysiąca oczu wyroczni na ciele. Jest strażnik.

Zatrzymać się. Odwrócić. Ukłęknąć i pocałować ziemię. On wie, gdzie mnie zaprowadzić, wystarczy, że pójdę za nim na tamten cokół, mijając po drodze grupę ludzi przyglądających mi się z uwagą. Zobaczyłam Chloe śmiejącą się do Francisa i André. I tych okropnych szpanerów, którzy pewnego ranka

przyszli do mnie do pokoju, żeby urządzić sobie zbiorowe obciążanie, a teraz wyglądali, jakby z rozkoszą wspominali to wydarzenie. W oddali dostrzegłam też Margot – ze zmarszczonymi brwiami śledziła rozwój wypadków niczym dyrygent, który ma w pamięci całą symfonię. Jonathan, cały blady, jakby dopiero co wyrwał się z pracoholicznego ciągu, wpatrywał się we mnie intensywnie, zaciągając się mocno papierosem. Dostrzegłam też Kate Clarke energicznie ujmującą go pod rękę i torującą sobie drogę przez tłum.

I oto strażnik już przypinał długi łańcuch od cokołu do obrączki na mojej kostce.

– Głowa do góry – mruknął. – Opuść wzrok. I oddychaj.

Z tym oddychaniem to była dobra rada, zwłaszcza że wszyscy niewolnicy musieli biec do swoich cokołów. Została ostatnia godzina, w czasie której kupujący mogli nas sobie obejrzeć i sprawdzić.

Czułam na sobie mnóstwo spojrzeń i palców, było sporo poszturchiwania, kuksańców, dużo śmiechu i komentarzy. Wolałam, kiedy wygłaszano je w językach, których nie znałam. Zdaje się, że po arabsku. I po japońsku. Nie podnosiłam wzroku. I wciąż pilnowałam oddechu. Starłam się nie koncentrować na jednostkach, wolałam widzieć kłębiącą się wokół, wielogłową jak Hydra, wieloreką jak Siwa, kolorową, wielojęzyczną i cudownie ubraną ludzką masę.

Dlatego byłam zaskoczona, gdy nagle ten tłum wokół mnie się rozstał. Uniosłam odrobinę oczy, tylko tyle, żeby dostrzec znajomy już błysk ciemnych, zabarwionych na szaro okularów. A kiedy je błyskawicznie opuściłam, mój zaszokowany mózg idiotycznie zarejestrował, że żaden szef ochrony nie mógłby sobie pozwolić na tak drogie buty jak te, na które właśnie patrzyłam. Poczułam zimne, suche palce rozdzielające mój tyłek, jakby to była obrana mandarynka.

– Spójrz, Stefanie – usłyszałam słowa wypowiedziane bardzo starannie i osobliwie bez akcentu po angielsku, niewątpliwie jednak przez obcokrajowca. – Przez cały tydzień miała taki sam wyraz twarzy. Nie umie nad nim zapanować. Przebija się przez to mierne wyszkolenie, jakie odebrała.

Czysta namiętność do posłuszeństwa. Co myślisz?

Drugi głos nie był równie wyraźny, ale i tak trudno mi go było słuchać, trudno mi było zwracać uwagę na cokolwiek poza własną reakcją na jego palce w moim wnętrzu.

Chciałam, żeby te palce zmusiły mnie do czegoś – czegoś trudnego, bolesnego, czegoś, czego nigdy wcześniej nie robiłam, ale co starałabym się zrobić z całych sił, byle tylko wciąż mnie dotykały. I właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, gdzie jesteśmy i jak bliska byłam utraty zmysłów.

Teraz chciałam tylko nie pozwolić sobie na orgazm, nie zatracić się w dygocie, nie rozpląnąć w powodzi łez. Mój brzuch zaczął drżeć, a on to zauważył, pogładził go delikatnie i miłosiernie wyjął ze mnie pozostałe palce.

– Musi się jeszcze bardzo wiele nauczyć – powiedział cicho do Stefana, który moim opuszczonym oczom przedstawiał się jako rozmyta para kowbojek z czarnej wężowej skórki. – Ale myślę, że się zrozumiemy, nie sądzisz?

Niedługo potem zaprowadzono mnie do dużego, niebiesko-różowego jedwabnego namiotu za sceną, żeby przygotować do właściwej licytacji. Potężny facet w idiotycznie wyglądającym skórzanym stroju – George, jak się domyśliłam – bez słowa zakneblował mnie, przerzucił przez kolano i w milczeniu, beznamiennie spuścił mi najstraszniejsze lanie w życiu. Czułam się po nim jak wrak człowieka, chwiałam na nogach i łkałam tak, że trzeba mi było otrzeć twarz i pocieszyć, co zresztą George zrobił bardzo kompetentnie, gładząc mnie po czole i całując w policzek. I gdy już zaczęłam czuć się zupełnie nieźle – z wyjątkiem pośladków – praktycznie bez ostrzeżenia wyciągnięto mnie na podium. Ledwie pamiętając instrukcje, które mi przekazano przed chłostą, opadłam na kolana i ucałowałam ziemię przed licytатorem. Przyciągnął uwagę publiczności, udając, że jest zaskoczony widokiem mojego tyłka w kolorze ulubionego przez Elbę Schiaparel i różu, i dość dokładnie zapoznał z nim zgromadzonych.

Spytał, czy mnie bolało, a kiedy odparłam: „Tak, proszę pana”, mocno mnie uszczypnął. Nie potrałam powstrzymać łez i kilka spłynęło mi po policzku, ale byłam dumna, że się nie rozszołałam, i ucieszyłam się, słysząc pojedyncze oklaski, które zdawały się świadczyć, że zostało to dostrzeżone. I znów przypominałam sobie, żeby oddychać.

Na szczęście zaraz potem rozpoczęto aukcję. Licytator trzymał mnie mocno za ramię, a gdy czułam, że tempo zwalnia, prowadził mnie kawałek, żeby pokazać różne części mojego ciała, lub zaczynał rozwodzić się nad szczegółami, które zwiększały moją wartość – listem od Kate Clarke czy też faktem, że można mi było wymierzać karę po francusku. Podium było oświetlone bardzo jasno, dlatego nie mogłam dostrzec licytujących. Usłyszałam kobiecy głos – rozpoznałam Kate – ale wiedziałam, że nie licytuje na poważnie, tylko droczy się z Jonathanem, a może też łechce nieco jego ego, pomagając podnieść cenę. Zorientowałam się, że jestem trochę rozczarowana tym, że nie bierze na serio udziału w licytacji.

Przede wszystkim jednak byłam oszołomiona – laniem, ekspozycją, niezwykłym, szarpiącym

wnętrznosciami uczuciem, które wywołał we mnie ostatni nabywca, a także świadomością, że ta wielkobudżetowa, widowiskowa scena w technicolorze będzie miała konsekwencje w rzeczywistości. Tu i teraz zapadała właśnie decyzja dotycząca roku mojego życia. A ja mogłam tylko czekać i zastanawiać się, w co takiego się wpakowałam.

Jedynym szczegółem, który zarejestrowałam, było ostatnie uderzenie młotka i okrzyk „Sprzedana panu Constantowi na rok za 92500 dolarów”.

Na koniec zdjęto mi metalową obręczkę i obrożę z numerem, zaprowadzono do małego namiotu gdzieś za podium i powiedziano, żebym się przygotowała. Kilka minut później do środka wszedł ubrany na czarno młody mężczyzna z krótkim kucykiem i w czarnych kowbojkach.

Powiedział, że ma na imię Stefan i jest sekretarzem pana Constanta. Sprawiał wrażenie surowego, ale też stosunkowo serdecznego.

– Na kolana – powiedział. – Wprawdzie dowiesz się wszystkiego w swoim czasie, ale zanim stąd wyjedziemy, przyda ci się trochę informacji, żebyś miała na czym się oprzeć.

Pan Constant część życia spędza na pewnej greckiej wyspie, a część na Manhat anie. Swój czas dzieli między zajmowanie się pieniędzmi – ma niezwykle oddany personel, który mu w tym pomaga – i bardzo, bardzo surową opiekę nad niewolnikami – czyli od teraz tobą i chłopcem o imieniu Tony. A, oczywiście zatrudnia też trenera, który zajmie się wami pod jego nieobecność albo gdy będziemy zbyt zajęci.

My? Ciekawe, czym jeszcze zajmuje się ów oddany personel. Ten tutaj miał na przykład bardzo ładne usta.

Stefan przyłapał mnie na tym spojrzeniu i powiedział:

– Uważaj! – po czym ciągnął dalej: – Pan Constant jest bardzo skrupulatny, ale i bardzo sprawiedliwy. A także wspaniałomyślny. Poza tym jest też dość kreatywny i lubi niezwykle okazje – to dlatego taką frajdę sprawiło mu kupno ciebie. Raz na jakiś czas wydaje bajeczne przyjęcia.

Mogłabyś tra ć dużo gorzej. Mimo to jednak ważne będą, jak sędzę, postępy w nauce...

Pokiwałam głową. Oczywiście, że będą postępy w nauce.

Podał mi wysokie sznurowane czarne buty. Gdy je wkładałam, sięgnął do kieszeni i wręczył mi kopertę.

Otworzyłam ją i w środku znalazłam ten oto liścik:

Droga Carrie!

Wiem, że będziesz sobie dalej radziła tak samo świetnie i dzielnie jak dotąd. W ciągu tego roku zajdziesz wysoko.

Wystawiłem cię na sprzedaż, bo chciałem się przekonać, czy mnie – i tobie – uda się tego dokonać. Ale też dlatego, że gdybym tego nie zrobił, chciałbym zakończyć tę grę i przekonać się, czy moglibyśmy zostać przyjaciółmi. Albo kochankami. Albo czymś innym.

Sprawdzić, czy gdybyśmy poszli razem do kina, podobałyby się nam te same filmy.

Wciąż tego chcę i jest to dla mnie równie zaskakujące, jak niepokojące. Będę w Place d’Horloge w Awinionie za rok 15 marca. To dwa tygodnie po zakończeniu twojej służby. Przyjedź, jeśli zechcesz.

Poznam cię po okularach i niezgrabnych buciorach. Będiesz mogła zapłacić za swoją kolację. Do diaska, Constant tak dobrze zainwestuje twoje pieniądze, że będziesz mogła zapłacić też za moją.

Salut. J.

PS. Po twoim wyjeździe przeczytałem Mirrorshades . Ciekawa książka, prawda?

Pomyślałem, że może chciałabyś ją dokończyć, dlatego postanowiłem ci ją odesłać.

Dostaniesz ją, kiedy dotrzesz na miejsce. Od czasu do czasu pozwolą ci czytać książki w ramach relaksu.

Miałam ochotę tupnąć nogą – w sztywnym nowym bucie – ze złości. Samolubny, zepsuty buc, pomyślałam.

Nieuczciwy. Romantyczny amator, pomyślałam jeszcze, zaskakując tym sama siebie.

Cholera, akurat kiedy udało mi się przez to wszystko przebrnąć. Też sobie znalazł moment na to swoje wstydlive, żalodne i jakże niechętnie wyznanie. Mężczyzna. Obiecał, że stworzy narracyjną formę dla moich fantazji. Kto by pomyślał, że ta forma okaże się cholernym harlequinem?

I wtedy właśnie dotarł do mnie humor całej tej sytuacji. O, Jonathanie, pomyślałam, słyszałam o lęku mężczyzn przed zaangażowaniem, ale ty swoje uniki doprowadziłeś do granic absurdu. Żeby aż tak bać się zaprosić mnie do kina. Nie wspominając o kolacji.

Zachichotałam na myśl o tym, jak sprawnie poradziła sobie Margot. I to w najmniej sprzyjających okolicznościach. Zgniotłam liścik, żeby go wyrzucić, ale po chwili zmieniłam zdanie.

Bardzo powoli wygładziłam papier. Dali mi metalową kasetkę na dokumenty, których nie będę potrzebowała przez ten rok. Świadectwo urodzenia, prawo jazdy, książeczka czekowa, dyplom. Ta

śmieszna umowa, przy której upierał się Jonathan, że nie będę mogła korzystać ze swoich 654 dolarów. Cztery klatki zdjęć, które razem ze Stuartem zrobiliśmy w jednej z budek u Woolwortha, śmiejąc się i wykrzywiając niemiłosiernie.

Stuart zechce go zobaczyć, pomyślałam, kładąc list na wierzchu i zamykając kasetkę. A poza tym chętnie skończę Mir ror sha des. Gorzej, że gdzieś w tyle głowy majaczyła myśl: ciekawe, które opowiadanie podobało się Jonathanowi najbardziej. Niech go szlag!

Stefan schował kasetkę do teczki – zauważyłam, że ma w niej też moje akta – a potem opatulił mnie szorstkim czarnym płaszczem, wyprowadził z Ogrodu i poprowadził korytarzem do wyjścia.

Przed budynkiem stała limuzyna z panem Constantem w środku. Wsiadłam do samochodu i zajęłam miejsce obok niego, czekając, aż mi powie, w jaki sposób powinnam go witać.

- 1 Dosłownie: odzyskać noc. Marsze pod hasłem Women unite, take back the night („Kobiety, zjednoczmy się i odzyskajmy noc”), będące wyrazem protestu przeciwko gwałtom i innym formom przemocy seksualnej, są organizowane na całym świecie od 1977 roku (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumaczki).
- 2 Określenie debat w łonie drugiej fali feminizmu dotyczących przede wszystkim kobiecej seksualności – stosunku do pornogra i, sadomasochizmu, kwestii transgenderowych itp.
- 3 Amerykańska pisarka i działaczka, przedstawicielka feminizmu proseksualnego.
- 4 Amerykańska antropolożka kulturowa zajmująca się problemami seksu i gender.
- 5 Amerykańska pisarka i reżyserka zaangażowana w działania na rzecz praw kobiet i mniejszości seksualnych.
- 6 Działająca w latach 1978–1983 lesbijsko-feministyczna organizacja zwolenniczek BDSM z siedzibą w San Francisco.
- 7 Amerykański pisarz, autor esejów i powieści erotycznych; biseksualny transmężczyzna.
- 8 Amerykańska socjolożka, przedstawicielka feminizmu proseksualnego.
- 9 Amerykański pisarz, autor erotyków gejowskich.
- 10 E. Dickinson, Wier sze wy bra ne, tłum. S. Barańczak, Znak, Kraków 2000, s. 53.
- 11 Aluzja do powieści Thomasa Pynchona 49 idzie pod mło tek ( The Cry ing of Lot 49).
- 12 Nieprzetłumaczalna gra słów: dome (ang. kopuła) i plea sure dome (por. S.T. Coleridge, Ku bla Khan).